

## **O książce**

Zbiór ośmiu opowiadań koncentrujących się na okresie dojrzewania, brutalna opowieść o końcu niewinności. Z szokującą śmiałością pisarz podejmuje tematy uchodzące za tabu – ocierające się o perwersję relacje seksualne, przemoc prowadząca do zbrodni, masturbację, kazirodztwo, gwałt. Przybliży czytelnikowi zagmatwany świat ludzkiej psychiki. Jakie są konsekwencje rodzicielskiej nadopiekuńczości? Jak rodzi się moralne zepsucie? Czy morderstwo można popełnić z nudy?

*Dla Elaine*  
STEREOMETRIA

W roku 1875 na licytacji „cennych ciekawostek” w Melton Mowbray mój pradziadek, w towarzystwie M, swojego przyjaciela, kupił penisa kapitana Nichollsa zmarłego w roku 1873 w więzieniu w Horsemonger. Penis, zakonserwowany w szklanym słoju

wysokości dwunastu cali, zachował się, jak to zanotował mój pradziad owego dnia wieczorem w swoim diariuszu, „w pięknym stanie”. Na tej samej licytacji można było nabyć również

„niewymowną część świętej pamięci lady Barrymore. Przypadła Samowi Israelsowi za cenę pięćdziesięciu gwinei”. Mój pradziadek upierał się, że te dwie rzeczy stanowiłyby wspaniały komplet, ale M mu ten pomysł wyperswadował. Oto znakomita ilustracja ich przyjaźni. Mój pradziadek podpała-teoretyk, M, człowiek czynu, który wiedział, kiedy licytować. Pradziadek żył sześćdziesiąt dziewięć lat. Z tego przez czterdzieści pięć codziennie przed pójściem spać zasiadał i zapisywał swoje myśli w dzienniku. Te dzienniki leżą teraz na moim stole, czterdzieści pięć tomów oprawnych w cielejącą skórę, a na lewo siedzi kapitan Nicholls w szklanym słoju. Mój pradziadek żył z dochodu, jaki mu przynosił

wynalazek jego ojca, zmyślna haftka używana przez gorseciarki aż do wybuchu pierwszej wojny światowej. Pradziadek lubił plotki, liczby i teorie. Lubiał także tytoń, dobre porto, potrawkę z zająca i

— z rzadka — opium. Uważał się za matematyka, chociaż nigdy nie pracował ani nie opublikował żadnej książki. Tak samo nigdy nie podróżował ani nie doczekał się tego, żeby jego nazwisko znalazło się na łamach „Timesa”, nawet po śmierci. W roku 1869

poślubił Alice, jedyną córkę wielbego Toby’ego Shadwella, współautora niezbyt wysoko cenionego dzieła o dzikich kwiatach Anglii. Jestem przekonany, że mój pradziad był wspaniałym

pamiętnikarzem, i kiedy skończę redagowanie jego dzienników i zostaną one wydane, z pewnością doczeka się należnego mu

uznania. A ja wezmę wtedy długi urlop i wyjadę gdzieś, gdzie jest zimno, czysto i bezdrzewnie, na przykład na Islandię czy w

rosyjskie stopy. Zawsze sobie myślałem, że na koniec, po tym wszystkim, rozwiódę się ze swoją żoną Maisie, o ile to będzie możliwe, ale teraz już nie ma takiej potrzeby.

Maisie często krzyczała przez sen i musiałem ją budzić.

— Obejmij mnie — prosiła. — To był straszny sen. Już kiedyś mi się to śniło. Leciałam samolotem nad pustynią. Ale tak naprawdę to nie była pustynia. Zeszłam tym samolotem niżej i wtedy zobaczyłam, że to tysiące niemowląt spiętrzonych aż po horyzont, nagich, włączających jedno na drugie. Kończyło mi się paliwo i musiałam lądować. Usiłowałam znaleźć miejsce, więc leciałam dalej i dalej, wypatrując miejsca do lądowania...

— Ale teraz już śpij — mówiłem, ziewając. — To był tylko sen.

— Nie — płakała. — Nie wolno mi teraz zasnąć, jeszcze nie.

— Dobrze, ale przynajmniej ja chcę zasnąć — broniłem się.

— Muszę wcześniej wstać.

Potrząsała mnie za ramię.

— Proszę cię, jeszcze nie zasypiaj. Nie zostawiaj mnie tu samej.

— Ale przecież ja jestem w tym samym łóżku — mówiłem.  
— Nie zostawiam cię.

— To nie o to chodzi. Nie zostawiaj mnie na jawie. — Ale mnie już się zamykały oczy...

Ostatnio nabrałem zwyczajów mojego pradziadka. Zanim się położę, siadam sobie na pół godziny, żeby przemyśleć miniony dzień. Nie mam żadnych matematycznych wizji ani seksualnych teorii do zanotowania. Głównie zapisuję to, co ja powiedziałem Maisie i co Maisie powiedziała mi. Czasami, dla uzyskania całkowitego spokoju, zamykam się w łazience, siadam na sedesie i kładę sobie notatnik na kolanach. Poza mną znajduje się czasem w łazience jakiś pajak czy dwa. Włazą po rurze i siedzą tam, idealnie nieruchome, na tle jaskrawej bieli emalii. Pewnie się zastanawiają, dokąd to one trafiły. Po godzinach takiego czajenia się zawracają, zdumione czy też zawiedzione, że niczego więcej nie zdołały się dowiedzieć. O ile wiem, mój pradziadek tylko raz wspomniał o pajakach. Ósmego maja 1906 roku napisał: „Bismarck jest pajakiem”.

Popołudniami Maisie przynosiła mi herbatę i opowiadała swoje koszmarne sny. Ja zwykle wtedy przeglądałem stare gazety, robiłem indeksy, spisywałem różne rzeczy, to odkładałem jakiś tom, to znów brałem inny. Maisie powiadała, że jest w złej formie.

Ostatnio po całych dniach przesiadywała w domu, gapiąc się na książki z dziedziny psychologii i okultyzmu, i prawie co noc miewała złe sny. Od czasu kiedy wymieniliśmy ciosy w sensie fizycznym, czatując na siebie pod drzwiami łazienki z tym samym butem, nie miałem dla niej współczucia. Jej problem w dużej mierze wynikał z zazdrości. Była bardzo zazdrosna... o czterdziestopięciotomowy dziennik mojego pradziadka i o upór i energię, z jakimi przygotowywałem go do druku. Maisie nie robiła nic. Kiedy weszła z herbatą, odkładałem właśnie jeden tom i brałem następny.

— Czy mogę ci opowiedzieć mój sen? — spytała. — No więc leciałam tym samolotem nad czymś w rodzaju pustyni...

— Później mi opowiesz, Maisie. Jestem bardzo zajęty. — Po jej wyjściu gapiłem się na ścianę przed biurkiem i myślałem o M, który przez piętnaście lat regularnie przychodził do pradziadka na kolację aż do swojego nagłego i niezrozumiałego zniknięcia któregoś wieczoru w roku 1898. M był w pewnym sensie uczonym, a zarazem człowiekiem czynu. Na przykład wieczorem dziewiątego sierpnia 1870 roku omawiają z pradziadkiem pozycje przy stosunku i M mówi mojemu pradziadkowi, że pozycja a

posteriori jest najbardziej naturalna w świecie z powodu położenia lechtaczki i dlatego, że małpy człekokształtne też ją preferują. Mój pradziadek, który kopulował może ze sześć razy w całym swoim życiu, i to z Alice w pierwszym roku ich małżeństwa, zastanawia się głośno, co na to kościół, na co M z miejsca mu odpowiada, że teolog z siódmego wieku, Theodore, uważał kopulację od tyłu za grzech równy masturbacji, a tym samym zasługujący na pokutę czterdziestu zdrowasiek. Później tego samego wieczoru mój

pradziadek udowodnił matematycznie, że maksymalna ilość pozycji nie może przekraczać liczby pierwszej siedemnastu. M wyszydził go i oświadczył, że widział kolekcję rysunków Romano, ucznia Rafaela, w której autor pokazał dwadzieścia cztery pozycje.

A ponadto, dodał, słyszał o niejakim panu F.K. Forbergu, który wymieniał dziewięćdziesiąt. Herbata, którą mi Maisie postawiła, była już zimna, kiedy sobie o niej przypomniałem.

Ważny etap rozkładu naszego małżeństwa osiągnęliśmy w sposób następujący. Pewnego wieczoru siedziałem w łazience i spisywałem naszą rozmowę na temat kart do taroka<sup>1</sup>, kiedy nagle Maisie zaczęła walić w drzwi i szarpać za gałkę.

— Otwórz mi! — zawołała. — Chcę wejść.

Odpowiedziałem:

— Musisz chwilę poczekać. Już kończę.

— Wpuść mnie zaraz! — krzyknęła. — Ty wcale nie używasz klozetu!

— Poczekaj — odpowiedziałem i napisałem jeszcze jedną czy dwie linijki. Teraz już Maisie kopała w drzwi.

— Dostałam miesięczki i muszę sobie coś wziąć! — Zignorowałam jej wrzaski i skończyłem pisać coś, co wydawało mi się szczególnie ważne. Gdybym to zostawił na później, umknęłyby mi pewne detale. Ponieważ Maisie się uspokoila, uznałem, że jest w sypialni. Ale kiedy otworzyłem drzwi, stwierdziłem, że stoi przede mną z butem w ręce. Z całej siły wyrznęła mnie obcasem w głowę, tak że ledwie zdołałem zrobić lekki unik. Obcas trafił mnie w czubek ucha i rozciął mi je paskudnie.

— Masz — powiedziała, omijając mnie i wchodząc do łazienki. — Teraz krwawimy oboje. — I zatrzasnęła za sobą drzwi.

Podniosłem pantofel i trzymając chusteczkę przy uchu, stałem cicho i cierpliwie pod drzwiami. Maisie siedziała w łazience z dziesięć minut, a kiedy wyszła, trafiłem ją dokładnie w sam czubek głowy. Nie zostawiłem jej czasu na żaden ruch. Stała przez chwilę bardzo spokojnie, patrząc mi prosto w oczy.

— Ty padalcu — wydyszała i poszła do kuchni opatrzeć

sobie głowę.

Wczoraj podczas kolacji oświadczyła, że człowiek zamknięty w celi tylko z kartami do taroka miałby praktycznie klucz do wszystkiego. Stawiała sobie karty po południu i do tej pory leżały porozkładane na podłodze.

— Czy mógłby wyczytać z kart plan ulic Valparaiso? — zapytałem.

— Jesteś głupi — odparła.

— Czy karty mogłyby mu powiedzieć, jak najlepiej założyć pralnię, jak zrobić automat do smażenia omletów i cynaderek?

— Jesteś strasznie ograniczony — narzekała Maisie. — Masz bardzo wąskie horyzonty i zawsze wiadomo, co powiesz.

— A czy mógłby — nalegałem — powiedzieć mi, kim był M albo dlaczego...

— Te sprawy się nie liczą! — krzyknęła. — Nie są ważne.

— Ale to też wiedza. Czy mógłby to ujawnić?

Zawahała się.

— Owszem, mógłby.

Uśmiechnąłem się i nic nie powiedziałem.

— Ciekawe, co w tym śmiesznego? — wzruszyła ramionami, zaczynała być zła. Chciała, żeby jej wykazać, że nie ma racji. — Po co zadajesz te wszystkie bezsensowne pytania?

Znów wzruszyła ramionami.

— Chciałem się przekonać, czy rzeczywiście masz na myśli wszystko.

Maisie, bębniąc palcami po stole, wrzasnęła:

— Pocałuj mnie w dupę! Dlaczego zawsze się tak ze mną drażnisz?! Dlaczego nie powiesz czegoś sensownego? — W tym momencie zrozumieliśmy, że osiągnęliśmy punkt, do którego zmierzały wszystkie nasze rozmowy, i zapanowało pełne goryczy milczenie.

Nie posunę się w pracy nad dziennikami, dopóki nie

wyjaśnię tajemnicy otaczającej M. Po piętnastu latach przychodzenia na kolację i dostarczania mojemu pradziadkowi bogatego materiału do jego teorii M po prostu znika z kart diariusza. We wtorek szóstego grudnia mój pradziadek zaprosił go na sobotnią kolację i mimo że M przyszedł, pradziadek w tym dniu zapisuje po prostu: „M na kolacji”. W inne dni ich rozmowy podczas tych posiłków są potraktowane bardzo obszernie. M był na kolacji w poniedziałek piątego grudnia i rozmowa dotyczyła geometrii; wszystkie zapiski z owego tygodnia dotyczą tego samego tematu. Nie ma najmniejszego śladu jakiegokolwiek antagonizmu między panami. Poza tym M był mojemu pradziadkowi potrzebny. M dostarczał mu materiału, był dobrze poinformowany, znał Londyn i wiele razy był na kontynencie. Wiedział wszystko o socjalizmie i Darwinie i miał znajomego w ruchu na rzecz wolnej miłości, przyjaciela Jamesa Hintona. M był człowiekiem światowym w sensie, w jakim mój pradziadek, który tylko raz w życiu opuścił Melton Mowbray, żeby pojechać do Nottingham, nie był. Nawet w młodości pradziadek wolał teoretyzować przy kominku; nie potrzebował niczego więcej poza historiami, których mu dostarczał M. Na przykład pewnego wieczoru w czerwcu 1884 roku M, który właśnie przyjechał z Londynu, zdał mojemu pradziadkowi sprawę z tego, jak ulice w stolicy są zapaskudzone i zawałone końskim łajnem. W tym samym tygodniu pradziadek przeczytał esej Maltusa *Prawo ludności*. Również z tego wieczoru datuje się pełen podniecenia zapisek w dzienniku na temat broszury, którą chciałby napisać i opublikować. Miała nosić tytuł „De Stercore Equorum”. Broszura nigdy nie została opublikowana, a najprawdopodobniej nawet napisana, ale od tego wieczoru poczynając przez dwa tygodnie, pradziadek robił w dzienniku szczegółowe notatki. W „De Stercore Equorum” (O końskim łajnie) przyjmuje, że populacja końska rośnie w postępie geometrycznym, i na podstawie szczegółowego planu ulic oblicza, że do roku 1935 stolica będzie nieprzejezdna. Przez „nieprzejezdna” pradziadek rozumie warstwę (sprasowaną) o przeciętnej grubości jednej stopy na każdej większej ulicy. Opisał też eksperymenty, jakich dokonywał przed swoimi stajniami w celu zbadania ściśliwości końskiego nawozu, co udało mu się przedstawić matematycznie. Była to oczywiście czysta teoria. Jego wyniki opierały się na założeniu, że przez najbliższe pięćdziesiąt lat nikt nie będzie tego łajna uprzętał. Jest wysoce prawdopodobne, że to właśnie M wyperswadował mojemu pradziadkowi ten projekt.

Pewnego ranka, po długiej, ciemnej nocy koszmarów sennych Maisie, leżeliśmy w łóżku i ja powiedziałem:

— O co ci właściwie chodzi, Maisie? Dlaczego nie wrócisz do pracy? Te twoje spacerki, te analizy, przesiadywanie w domu, wylegiwanie się przez całe ranki, tarok, te koszarne sny... o co ci właściwie chodzi?

— Chodzi mi o to, żeby sobie wyprostować w głowie. — Co mówiła już nieraz przedtem.

— Twoja głowa, twój umysł — powiedziałem — to nie jest kuchnia hotelowa, kapujesz, z której możesz powyrzucać różne rzeczy w rodzaju starych puszek od konserw. Twój umysł bardziej niż miejsce przypomina rzekę, ruchomą i zmieniającą się cały czas.

— Nie zaczynaj tego wszystkiego od początku. Nie mam zamiaru prostować rzek, mam zamiar wyprostować sobie w głowie.

— Ale ty musisz coś robić — próbowałem ją przekonać. — Nie możesz nie robić nic. Dlaczego nie wrócisz do pracy? Jak pracowałaś, nie miałaś koszmarnych snów. Nigdy nie byłaś taka nieszczęśliwa.

— Muszę się trzymać od tego wszystkiego z daleka — powiedziała. — Nic z tego nie rozumiem.

— Moda — odparłem. — To wszystko moda. Modne metafory, modne czytanie, modna choroba. Co ty wiesz o Jungu na przykład? Czytasz dwanaście stron na miesiąc.

— Przestań — prosiła. — Wiesz, że to do niczego nie prowadzi.

Ale ja nie przestałem.

— Nigdzie nie byłaś — ciągnąłem. — Nigdy nic jeszcze nie zrobiłaś. Jesteś miłą dziewczyną nawet bez dobrodziejstwa nieszczęśliwego dzieciństwa. Twój sentymentalny buddyzm, ten mistycyzm dla ubogich, twoje pseudochińskie metody leczenia, astrologia rodem z brukowców... nic z tego nie jest twoje własne, żadnej z tych rzeczy nie wypracowałaś sama. Wpadłaś w to wszystko. Wpadłaś w bagno szacownych przeczuć. Brak ci oryginalności czy pasji, żeby wyczuwać cokolwiek innego poza swoim własnym nieszczęściem. Po co wypełniasz swoją wyobraźnię cudzymi banałami i narażasz się tylko na koszarne sny? — Wstałem z łóżka, rozsunałem zasłony i zacząłem się ubierać.

— Mówisz jak na seminarium z literatury — powiedziała Maisie. — Dlaczego mi jeszcze utrudniasz? — Zaczęła się rozczulać nad sobą, ale się opanowała. — Kiedy tak mówisz — podjęła — czuję się jak miętoszony świstek papieru.

— A może właśnie uczestniczymy w seminarium z literatury



— odparłem ponuro. Maisie usiadła w łóżku zapatrzona w swoje kolana. Nagle zmieniła ton. Poklepała poduszkę i powiedziała łagodnie:

— Chodź. Chodź tu, usiądź koło mnie. Chcę cię dotknąć.  
Chcę, żebyś ty dotknął mnie... — Ale ja wzdychałem i byłem już w drodze do kuchni.

W kuchni zrobiłem sobie kawę, którą zabrałem do gabinetu.  
W ciągu źle przespanej nocy uświadomiłem sobie, że klucz do zniknięcia M może być zawarty na stronach dotyczących geometrii. Do tej pory zawsze je opuszczałem, ponieważ nie interesuje mnie matematyka. W poniedziałek piątego grudnia 1898 roku M i mój pradziadek dyskutowali o *vescia piscis* — najwyraźniej przedmiot pierwszej tezy Euklidesa — który dał podstawy planom wielu budynków kultu religijnego w starożytności. Przeczytałem dokładnie przebieg rozmowy, usiłując, jak mogłem najlepiej, zrozumieć zawartą w niej geometrię.

Następnie, przewróciwszy kartkę, znalazłem przydługą anegdotę, którą M opowiedział jeszcze tego samego wieczoru po wniesieniu kawy i zapaleniu przez panów cygar. Dokładnie w chwili kiedy zacząłem czytać, weszła Maisie.

— A ty? — zagadnęła, jakby w naszej wymianie zdań nie było godzinnej przerwy. — Ty masz tylko te swoje książki. Grzebiesz się w przeszłości jak mucha w gównie.

Byłem oczywiście wściekły, ale uśmiechnąłem się i powiedziałem wesoło:

— Grzebię się? Być może, ale to przynajmniej jakiś ruch.

— Ty już do mnie nie mówisz — odparła Maisie — grasz mną jak w kręgle mechaniczne, na punkty.

— Witaj, Hamlecie — wygłosiłem i usiadłem w fotelu, czekając cierpliwie, co ma mi jeszcze do powiedzenia. Ale ona nie odezwała się więcej. Wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi.

M zaczął opowiadać mojemu pradziadkowi:

We wrześniu 1870 wpadły mi w ręce dokumenty, które nie tylko unieważniają wszystko, co zgodnie z naszą wiedzą stanowi podstawy stereometrii, ale także podważają kanony praw fizycznych i zmuszają człowieka do ponownego określenia swojego miejsca w naturalnym porządku rzeczy. Te dokumenty wydają się ważniejsze niż prace Marksa i Darwina razem wzięte. Zostały mi powierzone przez młodego amerykańskiego matematyka i są owocem pracy Dawida Huntera, również matematyka, i Szkota. Amerykanin nazywał się Goodman. Przez wiele lat

korespondowałem z jego ojcem w związku z jego pracą na temat cyklicznej teorii menstruacji, która — o dziwo — jest dalej w naszym kraju dość powszechnie dyskredytowana. Młodego Goodmana spotkałem w Wiedniu, gdzie uczestniczył wraz z

Hunterem i matematykami z kilkunastu krajów w międzynarodowej konferencji matematycznej. Goodman był blady i bardzo wzburzony i zamierzał wracać do Ameryki następnego dnia, mimo że konferencja jeszcze się nie skończyła. Powierzył te dokumenty mojej opiece i powiedział, żebym je oddał Dawidowi Hunterowi, jeśli go kiedykolwiek spotkam. A następnie, po

wielkich perswazjach i naleganiu z mojej strony, powiedział mi, czego był świadkiem trzeciego dnia konferencji. Spotkania

zaczynały się codziennie o wpół do dziesiątej wygłoszeniem jakiegoś referatu i dyskusją. O jedenastej wnoszono napoje i wtedy wielu uczestników zebranych wokół stołu politurowanego na

wysoki połysk wstawało i przechadzając się po obszernej, eleganckiej sali, ucinało z kolegami pogawędki. Konferencja miała trwać dwa tygodnie i zgodnie z dawno ustalonym programem

wszyscy najwybitniejsi matematycy mieli przeczytać swoje doniesienie jako pierwsi, po nich nieco mniej wybitni i tak dalej, według hierarchii, co wywoływało, jak to bywa w środowiskach ludzi wysoce inteligentnych, przypadkowe, ale silne zawiści.

Hunter, chociaż zdolny matematyk, jako człowiek młody był praktycznie nieznany poza swoim uniwersytetem macierzystym, czyli edynburskim. Zgłosił na konferencję pracę, którą uważał za bardzo ważną w dziedzinie stereometrii, a ponieważ w tym

panteonie zajmował miejsce dość poślednie, wyznaczono mu na wystąpienie przedostatni dzień trwania konferencji, kiedy to już wielu luminarzy zdążyłoby wrócić do swoich krajów. Tak więc trzeciego dnia rano, kiedy służba wniosła napoje, Hunter zerwał

się nagle z miejsca i zwrócił się do kolegów w momencie, kiedy zaczęli wstawać z krzeseł. Był to duży mężczyzna z kudłatą

czupryną i mimo młodego wieku odznaczał się autorytetem, który sprawiał, że szmery rozmów ucichły.

— Panowie — rzekł — wybaczone mi, proszę, tę niewłaściwą formę wystąpienia, ale mam do poruszenia sprawę najwyższej wagi. Otóż odkryłem płaszczyznę bez powierzchni. — Pośród ironicznych uśmiezków i rozbawienia zebranych Hunter wziął ze stołu dużą białą kartkę papieru. Scyzorykiem zrobił w niej nacięcie długości jakichś trzech cali nieco w bok od środka. Potem szybko, w bardzo skomplikowany sposób poskładał kartkę i trzymając ją wysoko, tak żeby wszyscy mogli to zobaczyć, przeciągnął jeden róg przez nacięcie, w wyniku czego kartka zniknęła. — Popatrzcie, panowie — powiedział Hunter, demonstrując zgromadzonym puste ręce — oto płaszczyzna bez powierzchni.

Maisie weszła do pokoju, umyta już i pachnąca mydłem toaletowym. Stała za moim krzesłem i położyła mi ręce na ramionach.

— Co czytasz? — spytała.

— Fragmenty dziennika, których do tej pory nie czytałem. —

Zaczęła mi delikatnie masować kark. Podziałaoby to na mnie kojąco, gdyby to był pierwszy rok naszego małżeństwa. Ale był to rok szósty, więc jej zabiegi wywołały we mnie rodzaj napięcia, które odczuwałem wzdłuż krzyża. Maisie czegoś chciała. Żeby ją powstrzymać, położyłem jej prawą dłoń na lewej ręce, a ona, biorąc to za pieszczotę, pochyliła się i pocałowała mnie w okolice ucha. Jej oddech pachniał pastą do zębów i grzanką. Pociągnęła mnie za ramię.

— Chodźmy do sypialni — wyszeptała. — Nie kochaliśmy się już ze dwa tygodnie.

— Wiem — powiedziałem. — Wiesz, jak to jest... z tą moją pracą. — Nie pragnąłem ani Maisie, ani żadnej innej kobiety. Chciałem jedynie móc przewrócić następną kartkę dziennika mojego pradziadka. Maisie zdjęła ręce z moich ramion i stanęła koło mnie. W jej milczeniu była taka nagła zaciekłość, że poczułem napięcie jak sprinter na starcie. Sięgnęła ręką po zamknięty szczelnie słoje z kapitanem Nichollsem. Kiedy go podniosła, penis kapitana leniwie podryfował z jednej strony słoja w drugą.

— Jesteś taki cholernie zadowolony z siebie! — wrzasnęła, a zaraz potem cisnęła słoje o ścianę przed moim stołem.

Instynktownie zasłoniłem twarz z obawy przed odpryskami szkła.

Kiedy otworzyłem oczy, usłyszałem swój głos:

— Dlaczego to zrobiłaś? To należało do mojego pradziadka.

— Wśród potłuczonego szkła i coraz intensywniejszego odoru formaliny leżał kapitan Nicholls, wylany na skórzaną oprawę dziennika mojego pradziadka, szary, wiotki, złowrogi, z cennej ciekawostki przemieniony w ohydne świństwo.

— To było podłe. Dlaczego to zrobiłaś? — powtórzyłem.

— Idę się przejść — odpowiedziała Maisie i strzeliła drzwiami, tym razem już wychodząc z pokoju.

Długo nie ruszałem się z miejsca. Maisie zniszczyła coś, co przedstawiało dla mnie wielką wartość. Kapitan Nicholls stał w gabinecie pradziadka za jego życia, a potem stał w moim, łącząc w ten sposób moje życie z jego życiem. Zebrałem z kolan kilka odłamków szkła, gapiąc się na stusześdziesięcioletni kawałek innej ludzkiej istoty leżący na moim stole. Patrzyłem na niego i myślałem o tych wszystkich homunkulusach, które się wzdłuż niego roili. Myślałem o tych miejscach, w których był, Kapsztad, Boston, Jerozolima, podróżując w ciemnym, cuchnącym wnętrzu skórzanych spodni kapitana Nichollsa, by od czasu do czasu

wychynąć na oślepiające słońce i pozbyć się ładunku moczu w jakimś zatłoczonym miejscu publicznym. Myślałem też o

wszystkich rzeczach, których dotykał, o ich cząsteczkach, o badawczych rękach kapitana Nichollsa w samotne,

nieodzwajemnione noce na morzu, o zapoconych ściankach piczek młodych dziewcząt i starych prostytutek — ich cząsteczki muszą istnieć do dziś w postaci drobniutkiego pyłu unoszonego wiatrem od Cheapside do Leicestershire. Ciekawe, jak długo istniałyby w tym szklanym słoju. Zacząłem sprzątać bałagan. Przyniosłem z kuchni kubeł na śmieci. Zmiotłem i pozbierałem wszystkie

odłamki szkła, jakie zdołałem znaleźć, i wytarłem formalinę. A następnie, ujawszy kapitana Nichollsa za jeden koniec, usiłowałem przełożyć go na gazetę. Żołądek podjeżdżał mi do gardła, kiedy napletek zaczął mi się usuwać pod palcami. Wreszcie zamknąłem oczy i zawiąawszy go starannie w gazetę, zaniósłem do ogrodu i pochowałem pod geranium. Przez cały czas usiłowałem

pohamować wzbierającą we mnie urazę do Maisie. Chciałem wrócić do przerwanej lektury. Zasiadłem w fotelu, wytarłem kilka kropel formaliny, która rozmazała atrament, i zabrałem się do czytania.

Na minutę sala zamarła i wydawało się, że z każdą sekundą zamiera coraz bardziej. Pierwszy odezwał się dr Stanley Rose z Uniwersytetu w Cambridge, który miał wiele do stracenia z powodu płaszczyzny bez powierzchni Huntera. Swoją pozycję, istotnie bardzo znaczną, opierał na opublikowanych przez siebie *Zasadach stereometrii*.

— Jak pan śmie. Jak pan śmie obrażać to czcigodne zgromadzenie bezwartościową sztuczką kuglarza. — I czując poparcie w podnoszącym się szumie, dodał: — Powinien się pan wstydzić, młody człowieku, naprawdę wstydzić. — Po tych słowach sala wybuchła jak wulkan. Z wyjątkiem młodego Goodmana i służby, która w dalszym ciągu stała z napojami, wszyscy obrócili się przeciwko Hunterowi bezsensownym oskarżycielskim bełkotem, stekiem inwektyw i gróźb. Niektórzy z wściekłości walili w stół, inni wymachiwali zaciśniętymi

pięściami. Jeden bardzo wąły dżentelmen z Niemiec padł w ataku apopleksji i trzeba go było sadzać na krześle. A pośród tego wszystkiego stał Hunter, silny i przynajmniej na pozór niewzruszony, z głową nieznacznie przechyloną na bok, palcami lekko oparty o długi, politurowany stół. Fakt, że głupia sztuczka kuglarza mogła wywołać tyle szumu, wyraźnie świadczył o

rozmiarach ukrytego niepokoju i Hunter doceniał to z pewnością.

Ucisząc raz jeszcze zebranych podniesioną ręką, powiedział:

— Panowie, wasze zainteresowanie jest zrozumiałe, dlatego przedstawię kolejny dowód, tym razem ostateczny. — To powiedziawszy, usiadł i zdjął buty, a następnie wstał i zdjął marynarkę, po czym spytał, czy ktoś mu pomoże na ochotnika, na co wystąpił młody Goodman. Hunter przedostał się przez tłum do sofy, która stała pod jedną ze ścian, i sadwiąc się na niej, powiedział otumanionemu Goodmanowi, żeby wracając do Anglii, zabrał jego pracę i zatrzymał, dopóki on się po nią nie zgłosi.

Kiedy matematycy zgromadzili się wokół sofy, Hunter przewrócił się na brzuch i wygiął ręce do tyłu, przyjmując dziwną pozę i robiąc coś w rodzaju pętli. Następnie poprosił Goodmana, żeby mu w tej pozycji przytrzymał ręce, i przewrócił się na bok,

wykonywać całą serię energicznych, szarpanych ruchów, w wyniku których udało mu się przełożyć przez tę pętlę jedną ze stóp. Wtedy poprosił

swego pomocnika, żeby go przewrócił na drugi bok, po czym, wykonując podobne ruchy jak poprzednio, przełożył drugą stopę.

Jednocześnie w taki sposób wygiął cały tułów, że i głowa przeszła mu przez tę pętlę — tyle że w kierunku przeciwnym. Z pomocą asystenta Hunter zaczął przewlekać nogi i głowę przez pętlę. To właśnie wtedy szacowne zgromadzenie wydało z siebie, jak jeden mąż, skowyt niedowierzania. Hunter zaczął zniknąć i kiedy jego nogi i głowa przechodziły pomiędzy ramionami z coraz większą łatwością, wydawało się, że go wsysa jakaś niewidzialna siła... już go prawie nie było. Wreszcie... zniknął... zniknął całkowicie, nic z niego nie zostało.

Opowieść M rozpałała wyobraźnię mojego pradziadka do

białości. Tego dnia zapisał w dzienniku, jak to usiłował wpłynąć na swego gościa, „żeby natychmiast posłał po tę pracę”, mimo że była druga nad ranem. M jednak zapatrywał się na sprawę znacznie bardziej sceptycznie. „Amerykanie — powiedział — lubują się w takich fantastycznych historiach”. Ale zgodził się przynieść pracę nazajutrz. Jak się okazało, M tego dnia nie był u pradziadka na kolacji, umówił się z kimś innym, ale zjawił się późnym popołudniem z opracowaniem Huntera. Przed wyjściem

powiedział pradziadkowi, że czytał je wiele razy i że nie widzi w nim żadnego sensu. Nie zdawał sobie wtedy jeszcze sprawy z tego, jak bardzo nie docenia mojego pradziadka jako matematyka

amatora. Siedząc przed kominkiem w salonie, z kieliszkiem sherry, dwaj panowie umówili się na kolację w sobotę. W ciągu

najbliższych trzech dni pradziadek przerywał sobie lekturę pracy Huntera zaledwie po to, żeby coś zjeść i się przespać. W tym czasie w jego dzienniku nie ma dosłownie nic innego. Całe strony są pokryte bazgrołami, diagramami i symbolami. Wyglądało na to, że Hunter wynalazł zupełnie nowy system znaków, dosłownie

nowy język, na wyrażenie swoich pomysłów. Pod koniec drugiego dnia pradziadek dokonał pierwszego przełomu. U dołu strony, zapelnionej matematycznymi bazgrołami, napisał: „Pojęcie

wymiarów to funkcja świadomości”. W zapiskach z następnego dnia przeczytałem: „Zniknęło mi w rękach”. Pradziadek na nowo odkrył płaszczyznę bez powierzchni. Miałem przed sobą jak na dłoni szczegółową instrukcję, krok po kroku, jak poskładać arkusz papieru. Kiedy przewróciłem następną kartkę, nagle zrozumiałem tajemnicę zniknięcia M. Niewątpliwie zachęcony przez mojego pradziadka wziął tamtego wieczoru udział w eksperymencie

naukowym, prawdopodobnie z bardzo sceptycznym nastawieniem.

W tym miejscu bowiem mój pradziadek wykonał całą serię szkiców przedstawiających coś, co na pierwszy rzut oka robiło wrażenie pozycji jogi. Z pewnością była to odpowiedź na zagadkę tajemniczego zniknięcia M.

Ręce mi drżały, kiedy robiłem miejsce na biurku. Wybrałem czysty arkusz papieru maszynowego i rozłożyłem go przed sobą. Z łazienki przyniosłem brzytwę. Następnie, grzebiąc w szufladzie, znalazłem stary cyrkiel, zaostrzyłem ołówek i osadziłem w nim.

Przewróciłem dom do góry nogami w poszukiwaniu bardzo dokładnej stalowej linijki, która mi kiedyś służyła do

dopasowywania ram okiennych, i byłem gotów. Przede wszystkim należało przyciąć papier do odpowiednich wymiarów. Arkusz,

który Hunter tak niedbale wziął ze stołu, musiał być staranie przedtem przygotowany. Długości krawędzi musiały wyrażać

pewien określony stosunek. Z pomocą cyrkla wyznaczyłem środek arkusza i poprowadziłem przez niego linię równoległą do jednego z boków, którą pociągnąłem aż do krawędzi. Potem musiałem

zbudować prostokąt o wymiarach odpowiednich do boków arkusza papieru. Środek tego prostokąta wypadł na linii w taki sposób, że ją podzielił według złotego środka. Z wierzchołka prostokąta poprowadziłem krzyżujące się łuki, znów o określonych

proporcjonalnych promieniach. To samo powtórzyłem w dolnej części prostokąta i kiedy połączyłem dwa punkty przecięcia, uzyskałem linię, wzdłuż której należało naciąć kartkę. Potem przystąpiłem do wyznaczania linii, wzdłuż których miałem ją poskładać. Każda z nich wyrażała swoją długością, stopniem

nachylenia i punktem przecięcia z innymi jakąś tajemniczą wewnętrzną harmonią liczb. Kiedy już podzieliłem łuki, poprowadziłem linie i poskładałem kartkę, poczułem, że na ślepo posługuję się najwyższą, najbardziej przerażającą formą wiedzy, matematyką absolutu. Kartka, kiedy ją złożyłem po raz ostatni, przybrała kształt geometrycznego kwiatu, z trzema

koncentrycznymi pierścieniami wokół nacięcia w środku. Był w tym układzie taki jakiś dziwny spokój i taka doskonałość, coś tak odległego, a zarazem zniewalającego, że w miarę jak na niego patrzyłem, zapadałem w lekki trans, a mój umysł stawał się jasny, bierny. Potrząsnąłem głową i odwróciłem wzrok. Nadszedł czas, żeby wywinąć kwiat i przeciągnąć go przez nacięcie. Była to operacja bardzo delikatna i stwierdziłem, że znów drżą mi ręce.

Uspokajałem się jedynie, patrząc w sam środek figury. Zacząłem kciukami zbliżać brzegi papierowego kwiatu do środka i podczas tej czynności czułem dziwne odrętwienie u nasady czaszki.

Przygiąłem kwiat jeszcze trochę, papier na moment błysnął jaśniejszą bielą i wtedy wydało mi się, że znika. Mówię „wydało mi się”, ponieważ w pierwszej chwili nie byłem pewien, czy czuję go jeszcze w rękach, a nie widzę, czy widzę, a nie czuję, czy też może wyczuwam, że znika, podczas kiedy jego zewnętrzne

właściwości pozostają. Odrętwienie rozeszło mi się po całej głowie i ramionach. Moje zmysły były zbyt niedoskonałe, żeby ogarnąć to, co się działo. Pojęcie wymiarów to funkcja świadomości, pomyślałem. Złożyłem ręce i stwierdziłem, że nic w nich nie mam, ale nawet kiedy je znów otworzyłem i stwierdziłem, że są puste, to i tak nie byłem pewien, że kwiat zniknął całkowicie. Zostało wrażenie, powidok — nie na siatkówce jednak, ale w samej świadomości. Dokładnie w tej chwili otworzyły się za mną drzwi i Maisie powiedziała:

— Co ty robisz?

Powróciłem, jak gdyby ze snu, do pokoju i do lekkiego zapachu formaliny. Akt zniszczenia kapitana Nichollsa miał miejsce dawno, dawno temu, ale zapach ożywił moje rozżalenie, które ogarnęło mnie jak drętwa. Maisie stała oparta w drzwiach, opatulona w gruby płaszcz i wełniany szal. Wydawała się bardzo odległa i kiedy na nią patrzyłem, mój żal przeszedł w zwykłe małżeńskie znudzenie. Pomyślałem: dlaczego ona rozbiła ten słój?

Bo chciała się ze mną kochać? Bo chciała tego penisa? Bo była zazdrosna o moją pracę i

próbowała zniszczyć związek, jaki miała ona z życiem mojego pradziadka?

— Dlaczego to zrobiłaś? — spytałem głośno, mimo woli.  
Maisie parsknęła. Otworzyła szerzej drzwi i zobaczyła mnie pochylonego i wpatzonego we własne ręce.

— Przesiedziałeś tu całe popołudnie, myśląc o tym? — zachichotała. — A co się z nim stało? Wyssałeś go może?

— Pochowałem go — odparłem — pod geranium.

Weszła nieco głębiej do pokoju i powiedziała poważnie:

— Przepraszam cię za to. Naprawdę bardzo cię przepraszam.  
Zrobiłam to, zanim zdążyłam pomyśleć. Przebaczysz mi? —  
Zawahałem się przez chwilę, a następnie, ponieważ moje znużenie zaowocowało nagłą decyzją, powiedziałem:

— Tak, naturalnie, że ci przebaczam. To był ostatecznie tylko kutas marynowany. — I oboje roześmieliśmy się. Maisie podeszła i pocałowała mnie, a ja odwzajemniłem ten pocałunek, rozchylając jej usta językiem.

— Nie jesteś głodny? — spytała, kiedy skończyliśmy już z całowaniem. — Może bym zrobiła jakąś kolację?

— Aha — powiedziałem. — Byłoby cudownie. — Maisie pocałowała mnie w czubek głowy i wyszła z pokoju, a ja wróciłem do moich studiów, obiecując sobie, że dziś wieczór będę się starał być dla niej jak najmiłszy.

Później siedzieliśmy w kuchni, jedząc posiłek, który ugotowała, i upijając się powoli butelką wina. Wypaliliśmy też skręta, pierwszego razem od dłuższego czasu. Maisie mówiła, jak to zamierza w lecie przyszłego roku podjąć pracę w komisji

zalesiania przy sadzeniu drzew w Szkocji. Ja z kolei opowiedziałem jej o rozmowie pradziadka z M na temat stosunku od tyłu i że według teorii pradziadka podstawowa liczba pozycji nie przekracza siedemnastu. Śmieliśmy się oboje i Maisie ścisnęła mnie za rękę, i w ciepłym zaduchu kuchennym kochanie

dosłownie wisało między nami w powietrzu. A potem włożyliśmy płaszcze i poszliśmy na spacer. Była prawie pełnia. Szliśmy główną ulicą, która biegnie koło naszego domu, a potem skręciliśmy w wąską uliczkę, gdzie stał dosłownie dom przy domu z maleńkimi wypieszczonymi ogródkami. Nie rozmawialiśmy

wiele, ale nasze ręce były złączone i Maisie mówiła mi, jak bardzo jest zapruta i szczęśliwa. Doszliśmy do niewielkiego parku, który był zamknięty, więc staliśmy przed bramą, patrząc na księżyc przez prawie bezlistne gałęzie. Po powrocie do domu Maisie

wzięła rozkosznie ciepłą kąpiel, a ja poszedłem do gabinetu, żeby posprządać jakieś szczegóły. Nasza sypialnia jest ciepłym, wygodnym pokojem, na swój sposób luksusowym.

Łóżko ma

wymiary siedem na osiem stóp i zrobiłem je sam w pierwszym roku naszego małżeństwa. Maisie uszyła bieliznę pościelową, ufarbowała ją na głęboki, intensywny błękit, a poszewki na poduszki wyhaftowała. Jedyne oświetlenie pokoju stanowiła lampa ze starym abażurem z prymitywnie wyprawionej koziej skóry.

Maisie kupiła go od jakiegoś domokrażcy. Od dość dawna nie interesowałem się sypialnią. Leżeliśmy obok siebie w płataninie prześcieradeł i koców — Maisie zmysłowa i rozmarzona po kąpieli, ja wsparty na łokciu. Maisie powiedziała sennie:

— Po południu szłam nad rzeką. Drzewa są teraz piękne, dęby, wiązy... jakieś dwie mile za mostem rosną dwa buki czerwone, powinienesz je teraz obejrzeć... aaach, jak dobrze. — Przewróciłem ją na brzuch i głaskałem po plecach. — Są jeżyny — mówiła — największe, jakie w życiu widziałam, rosną wzdłuż ścieżki, i dziki bez. Zrobię jesienią trochę wina... — Pochyliłem się nad nią, pocałowałem w kark i wykręciłem jej ręce do tyłu.

Lubiła, żeby się nią tak bawić, i poddała się temu z rozkoszą. — A rzeka jest naprawdę spokojna — mówiła. — Wiesz, drzewa się w niej odbijają i liście spadają do wody. Przed zimą musimy się razem wybrać nad rzekę i iść tak w liściach. Znalazłam takie fajne miejsce. Nikt tam nie chodzi... — Trzymając jedną ręką ramiona Maisie złączone, drugą przybliżałem jej nogi ku tej pętli... —

siedziałam tam z pół godziny bez ruchu, jak drzewo. Widziałam szczura wodnego, jak biegł na przeciwległym brzegu, i różne rodzaje kaczek, które lądowały i zrywały się do lotu na rzece.

Słyszałam pluski, ale nie wiedziałam, skąd pochodzą, a potem zobaczyłam dwa pomarańczowe motyle, prawie mi usiadły na

ręce. — Kiedy już przełożyłem jej nogi, Maisie powiedziała: — Pozycja numer osiemnaście. — Roześmieliśmy się cicho oboje. — Chodź, pójdziemy tam jutro, nad rzekę — powiedziała, a ja delikatnie zbliżałem jej głowę do pętli z ramion. — No, ostrożnie, to boli! — krzyknęła nagle, próbując mi się wyrwać. Ale było za późno. Głowę i nogi miała już w pętli z ramion i już je zacząłem przepychać. — Co ty wyprawiasz!? — wrzasnęła. Teraz jej pozycja wyrażała niewiarygodne piękno, szlachetność ludzkiej formy i — tak jak w papierowym kwiecie — fascynującą siłę symetrii. Znów wpadłem w trans, czując narastającą drętwość z tyłu głowy. Kiedy już jej przyciągnąłem ręce i nogi, Maisie przypominała wywróconą skarpetkę. — O Boże — westchnęła. —

Co ty wyprawiasz? — Jej głos doszedł mnie jakby z daleka. A potem zniknęła... nie, nie zniknęła. Mówiła teraz bardzo cichutko.

— Co ty wyprawiasz? — Było to już tylko echo jej pytania nad ciemnoniebieską pościelą.

## **DOMOWYM SPOSOBEM**

Jeszcze teraz widzę naszą ciasną, zbyt jasno oświetloną łazienkę i Connie, jak z ręcznikiem zarzuconym na ramiona siedzi na brzegu wanny i



placze, podczas kiedy ja puszcza ciepłą wodę i pogwizduję — w takim byłem dobrym nastroju — *Teddy Bear* Elvisa Presleya; pamiętam, zawsze takie rzeczy pamiętałem,

kudelki z narzuty wirujące na powierzchni wody, ale dopiero całkiem niedawno w pełni zdałem sobie sprawę, że jeśli to był

koniec jakiegoś określonego epizodu, w tym stopniu oczywiście, w jakim epizody z życia wzięte mają koniec, to właśnie Raymond stanowił, jakby się można wyrazić, jego początek i środek, a jeśli w ludzkich życiowych sprawach nie ma czegoś takiego jak

epizody, to właściwie powinienem kategorycznie uznać, że ta opowieść jest o Raymondzie, a nie o dziewictwie, stosunku,

kazirodztwie i samogwałcie. Zacznę więc od stwierdzenia, że — ze względów, które staną się jasne dopiero znacznie później, i wobec tego musicie być cierpliwi — otóż zacząłem od stwierdzenia, że uświadomienie mi mojego dziewictwa właśnie przez Raymonda zakrawa na ironię. Pewnego dnia w Finsbury Park Raymond

podszedł do mnie i kierując mnie w stronę krzewów laurowych, w tajemniczy sposób zginał i rozginał mi przed nosem palec,

obserwując mnie jednocześnie bardzo uważnie. Patrzyłem tępo, nic nie rozumiejąc. Następnie sam zgiąłem i rozprostowałem

palec; najwidoczniej tego Raymond oczekiwał, bo wyraźnie się rozpromienił.

— Kapujesz? — zapytał. — Kapujesz! — Pod wpływem jego rozradowania powiedziałem, że tak, w nadziei, że teraz pozwoli mi spokojnie zginać i rozginać palec i o własnych siłach dochodzić sensu zaskakującej symboliki tych gestów. Ale Raymond złapał mnie za kłapy z niezwykłą natarczywością.

— No, to jak z tym będzie? — wydyszał. Grając na zwłokę, zgiąłem palec wskazujący i powoli rozprostowałem obojętnie i pewnie — do tego stopnia obojętnie i pewnie, że Raymond wstrzymał oddech i zeszywniał. Spojrzałem na swój wyprostowany palec i powiedziałem:

— To zależy. — Zastanawiałem się, czy zdołam jeszcze dziś ustalić, o czym rozmawiamy.

Raymond miał wtedy piętnaście lat, a więc był o rok starszy ode mnie, i chociaż uważałem się za mądrzejszego z nas dwóch —

dlatego zresztą musiałem udawać, że rozumiem znaczenie i doniosłość jego palca — to jednak w gruncie rzeczy on wiedział, co jest grane, i on był odpowiedzialny za moją edukację. To Raymond wreszcie odsłonił przede mną tajniki dorosłego życia, które sam rozumiał intuicyjnie, ale nigdy do końca. Świat, który mi pokazał, jego fascynujące szczegóły z całą skarbnicą mądrości i grzechami, świat, dla którego był czymś w rodzaju mistrza

ceremonii, nigdy w gruncie rzeczy mojemu przyjacielowi nie odpowiadał. Znał go dość dobrze, ale ten świat — jakby można powiedzieć — nie chciał znać jego. Tak więc choć Raymond

pierwszy wyjął papierosy, to jednak ja nauczyłem się prawdziwie głęboko zaciągać, wypuszczać kółka dymu i osłaniać dłońmi

zapałkę jak gwiazdor filmowy, podczas kiedy on krztusił się i marudził; tak samo później,

kiedy Raymond dorwał marihuanę, o której nigdy nie słyszałem, to też ja się pierwszy zaprawiłem, aż do stanu euforii, podczas kiedy Raymond przyznał — na co mnie by nigdy nie było stać — że nie czuje kompletnie nic. I znów chociaż to Raymond, ze swoim grubym głosem i puchem zarostu,

wprowadził nas na pierwsze filmy grozy, to właśnie on siedział później z palcami w uszach i z zamkniętymi oczami. Nie jest to bagatelka, jeśli wziąć pod uwagę, że w ciągu jednego tylko

miesiąca obejrzelśmy dwadzieścia dwa takie filmy. A kiedy ukradł z domu towarowego butelkę whisky, żeby mnie zapoznać z alkoholem, to znowu ja przez dwie godziny chichotałem, w pijanym widzie patrząc, jak jego dosłownie wywraca na drugą stronę. Moje pierwsze długie spodnie też należały przedtem do Raymonda — sprezentował mi je na trzynaste urodziny. Na niego, jak zwykle, były o cztery cale za krótkie, wypchnięte na udach, wisiały mu w kroku, a na mnie — była to jakby parabola naszej przyjaźni — pasowały jak ulał, prawdę powiedziawszy tak dobrze leżały, tak cudownie się w nich czułem, że przez rok nie nosiłem żadnych innych. A potem był dreszczyk kradzieży w sklepach.

Pomysł, tak jak mi go przedstawił Raymond, wydawał się zupełnie prosty. Idziesz do księgarni Foyle'a, ładujesz książki w kieszenie, a potem zasuwasz z nimi do handlarza na Mile End Road, który z rozkoszą daje ci połowę ceny. Na pierwszy skok wzięłem płaszcz ojca, którym majestatycznie zamiatałem chodnik. Spotkaliśmy się z Raymondem przed księgarnią. Był w samej koszuli, bo zostawił

płaszcz w metrze, ale uważał, że sobie i tak poradzi, więc weszliśmy do księgarni. Podczas kiedy ja upychałem po licznych kieszeniach cienkie tomiki poważnej poezji, Raymond wrzucał po kolei za koszulę siedem tomów wydania *variorum* *Dzieł* Edmunda Spensera. Dla kogoś innego śmiałość tego przedsięwzięcia stwarzałyby szansę sukcesu, ale odwaga Raymonda była bardzo niepewna, miała w sobie coś niebezpiecznego — wywodziła się z całkowitego oderwania od realiów sytuacji. Gdy bowiem Raymond wybierał książki z półki, cały czas stał za nim zastępca kierownika księgarni. A kiedy ja wymykałem się ze swoim łupem, obaj stali już przy drzwiach. Posłałem przyjacielowi, w dalszym ciągu

tulącemu książki do piersi, konspiracyjny uśmiech i podziękowałem zastępcy kierownika, który machinalnie przytrzymał mi drzwi. Na szczęście próba kradzieży w wykonaniu Raymonda była tak beznadziejna, a jego wymówki tak idiotyczne i przejrzyste, że kierownik uznał go najwyraźniej za niespełna rozumu i puścił.

No i wreszcie, co najbardziej chyba znamienne, Raymond zapoznał mnie z wątpliwymi rozkoszami masturbacji. Kiedy miałem dwanaście lat, a więc o świcie mojego seksualnego dnia, myszkowaliśmy pewnego razu w piwnicy zbombardowanego

domu, szukając jakichś pozostałości po mieszkańcach, kiedy nagle Raymond spuścił spodnie, jakby się chciał odlać, i zaczął z coraz większym wigorem masować sobie kutasa, zachęcając mnie,

żebym poszedł w jego ślady. Spróbowałem i wkrótce ogarnęła mnie fala ciepłej, nieokreślonej rozkoszy, która nasilając się, przeszła w płynne, miękkie uczucie, jak gdyby lada chwila miały ze mnie ulecieć wnętrzności. A nasze ręce bez przerwy nieprzytomnie pompowały. Zaczynałem właśnie gratulować

Raymondowi, że odkrył tak niekosztowny, a jednocześnie przyjemny sposób spędzania czasu, zastanawiając się jednocześnie, czyby całego życia nie poświęcić temu cudownemu doznaniu — i patrząc na to teraz, z perspektywy, sędzę, że pod wieloma względami poświęciłem — no więc miałem powiedzieć

wiele różnych rzeczy, kiedy nagle uniosło mnie za kark — ciągnąc, skręcając i rwąc — ręce, nogi, wnętrzności — a po tym wszystkim... dwie krople spermy trysnęły na niedzielną marynarkę Raymonda — bo była to niedziela — i spłynęły mu do kieszeni na piersi.

— Hej — powiedział, przerywając swoje zajęcie. — Co ty wyprawiasz? — Nie mogąc ciągle jeszcze przyjść do siebie po tym rujnującym doświadczeniu, milczałem. Nie byłem w stanie nic powiedzieć. — Ja ci pokażę, jak się to robi — usiłował mnie przekonać, delikatnie wycierając lśniąca spermę z ciemnej marynarki — to tak, jak splunąć.

A więc w wieku lat czternastu posiadałem pod jego kierunkiem znajomość licznych rozrywek, które słusznie kojarzyłem ze światem dorosłych. Paliłem mniej więcej dziesięć papierosów dziennie, piłem whisky przy każdej okazji, znajdowałem upodobanie konesera w brutalności i sprośności, paliłem ciężką żywicę cannabis sativa, ale choć świadom swego przedwczesnego rozbudzenia seksualnego, o dziwo, nigdy nie

próbowałem zrobić z niego użytku — moja wyobraźnia nie karmiła się jeszcze wtedy własnymi fantazjami czy ciętymi. A wszystkie te przyjemności finansował pośrednik z Mile End Road.

W moich świeżo nabytych gustach Raymond był mi Mefistofešem, był niezdarnym Wergiliuszem dla mojego Dantego, wskazując mi drogę do raju, gdzie on sam nie miał wstępu. Nie mógł palić, bo kasłał, po whisky miał torsje, filmy go przerażały albo nużyły, haszysz nie robił na nim wrażenia i podczas gdy ja u sufitu piwnicy zburzonego domu robiłem dosłownie stalaktyty, on nie robił zgoła nic.

— Może — powiedział ponuro pewnego popołudnia, kiedyśmy stamtąd wychodzili — może jestem już trochę za stary na takie rzeczy.

Kiedy więc Raymond, stojąc teraz przede mną, w skupieniu zginał i rozginał palec, czułem, że kryje się za tym jeszcze jedna wybita pluszem komnata tego mrocznego a rozkosznego

domostwa, któremu na imię dojrzałość, i że jeśli tylko wytrzymam i ocalę dumę, ukrywając własną ignorancję, to wkrótce Raymond ją przede mną odsłoni, a ja się do niej dostanę.

— No cóż, to zależy. — Szliśmy przez Finsbury Park, gdzie kiedyś, w czasach niesfornej młodości, mój przyjaciel karmił gołębie tłuczonym szkłem, gdzie razem w stanie błogosławionej niewinności godnej *Preludium 3* upiekliśmy żywcem papużkę Sheili Harcourt, która mdlała obok na trawie, gdzie

jako młodzi chłopcy chowaliśmy się w krzakach, żeby ciskać kamieniami w pieprzące się w altance pary; a więc idziemy przez Finsbury Park i Raymond mówi:

— Kogo znasz? — Zaraz, kogo ja znam? W dalszym ciągu  
błądziłem po omacku, więc w obawie, że Raymond, chaotyczny z natury, po prostu  
zmieni temat, powiedziałem:

— A ty kogo znasz?

— Lulu Smith — odparł i to mi wyjaśniło wszystko, a  
przynajmniej wiedziałem, o co chodzi, bo moja niewinność była wielka. Lulu Smith! Lulu  
Kruszynka! Samo jej imię ścisnęło mi jąca chłodną ręką. Lulu Lamour, o której mówiono, że nie  
tylko zrobiłaby wszystko, ale że nawet robiła. Tak jak istnieją kawały żydowskie i kawały o  
słoniach, tak samo istniały kawały o Lulu, którym właśnie zawdzięczała ona swoją niezwykłą  
legendę. Lulu Trzcinka — w głowie mi się kręci — której bezmiar ciała można porównać jedynie  
z ogólnie znanym bezmiarem jej apetytu i

odwagi seksualnej, jej ordynarność jedynie z ordynarnością, którą prowokowała, a  
legendę jedynie z rzeczywistością. Lulu Zulu! —

która, jak niosła fama, pozostawiła po sobie w północnym  
Londynie smugę zaślinionych kretynów, pustynię złamanych serc i kutasów, przerzucając  
w ten sposób pomost między Shepherds

Bush a Holloway i między Ongar a Islington. Lulu! Jej tłusta talia i roześmiane świńskie  
oczka, dojrzałe uda i pulchne paluszki; Lulu

— falujące, rozparzone cielsko pensjonarki, która — jak wieść niesie — robiła to z  
żyrafą, z kolibrem, z człowiekiem w

sztucznym płucu (zaraz potem zmarł), z jakiem, z Cassiusem

Clayem, z małpką kapucynką, z batonikiem czekoladowym Mars, z dźwignią biegów  
morrisa mini swojego dziadka (a co za tym idzie, z policjantem drogowym).

Finsbury Park był przesycony duchem Lulu Smith i po raz  
pierwszy odczułem jakieś nieokreślone tęsknoty i zwykłą  
ciekawość. Z grubsza wiedziałem, jak się to robi — czyż bowiem w długie letnie  
wieczory nie widywałem spiętrzonych jedno na drugim ciał we wszystkich zakamarkach parku,  
czyż nie rzucałem w nie kamieniami i torbami z wodą? — czego teraz przesądnie żałowałem. I  
nagle kiedyśmy, idąc przez park, stąpali ostrożnie wśród agresywnie wyglądających zasp psich  
gówien,

uświadomiono mi moje dziewictwo, którego pożałowałem;  
wiedziałem, że to ostatnia komnata w owym domostwie, bez  
wątpienia najbardziej luksusowa, wyposażona w wyrafinowane  
urządzenia i niebezpieczne atrakcje, a fakt, że nigdy tam nie byłem, że tego nie  
dostałem, nie miałem, wisiał nade mną jak anatema, był moją zmorą, oczekiwałem więc od  
Raymonda, który w dalszym ciągu stał przede mną ze sztywnym palcem, że mi  
wyjawi, co mam zrobić. Bo Raymond powinien wiedzieć...

Po szkole poszliśmy do Finsbury Park Odeon. Podczas kiedy  
nasi rówieśnicy dłubali w nosie nad swoimi zbiorami znaczków czy lekcjami, Raymond i  
ja spędzaliśmy tu wiele godzin,

zastanawiając się głównie nad łatwymi sposobami zarobienia pieniędzy i wypijając ogromne kubki herbaty. Czasami rozmawialiśmy z robociarzami, którzy tu przychodzili. Brakowało tylko Millaisa<sup>4</sup>, żeby nas namalował, jak siedzimy przykuci do miejsc, zasłuchani w ich niezrozumiałe fantazje i opowieści o wyczynach — transakcjach z kierowcami ciężarówek, o ołowiu z dachów kościołów, o paliwie, które zniknęło z wydziału inżynierskiego miasta, a potem o cipach, o spódniczkach, o głaskaniu i biciu, o pieprzeniu i odsysaniu, o dupach i cyckach, z tyłu, z góry, z dołu, z przodu, z i bez, o drapaniu i darciu, lizaniu i sraniu, o mokrych, ciekących piczach, ciepłych i niewyczerpanych, o innych, które są zimne i suche, ale warte grzechu, o kutasach, starych i wiotkich albo młodych i jurnych, o orgazmie zbyt szybkim, zbyt późnym lub żadnym, o tym, ile razy dziennie, o towarzyszących temu dolegliwościach, o ropieniu i puchnięciu, o miękkim wrzodzie i żalach, o zapaleniu jajników i nieczynnych jądrach, słuchaliśmy, kogo i jak pieprzą śmieciarze, jak spółkują spółdzielcy, co górnik może na przodku, o aktach erekcyjnych budowniczych, ile inkasent ma na liczniku, jak to piekarz wkłada i wyjmuje, jak facet z gazowni obwąchuje, jaką rurkę ma hydraulik, co elektryk wtyka w gniazdko, jak lekarz wstrzykuje, prawiczka udziela porady prawnej, jak malarz macha pędzlem — i tak dalej, skarbnica wyświechtanych kalamburów i aluzji, formuł, sloganów, folkloru i brawury. Słuchałem, nie rozumiejąc, zapamiętując i katalogując anegdoty, którymi sam się kiedyś miałem posłużyć, magazynując opowieści o perwersjach i obyczajach seksualnych, w gruncie rzeczy wszystko, co dotyczyło moralności seksualnej, tak że kiedy w końcu zacząłem cokolwiek rozumieć, na podstawie własnego doświadczenia, miałem właściwie gotową kompletną edukację, która, wzbogacona o szybką lekturę co ciekawszych fragmentów z Havelocka Eblisa<sup>5</sup> i Henry'ego Millera, zyskała mi reputację młodzieńczego konesera stosunku, do którego dziesiątki mężczyzn — a szczęśliwie i kobiet — zwracały się o poradę. A to wszystko, ta cała reputacja, która trafiła za mną na uczelnię artystyczną i ożywiła moją tam karierę — wszystko to po jednym zaledwie sztosie, który stanowi przedmiot niniejszej opowieści.

A więc było to w tej samej kawiarni, w której zapamiętywałem, nic nie rozumiejąc — otóż Raymond wsadził palec w ucho filiżanki i powiedział:

— Lulu Smith pokaże ci to za szylinga. — Byłem bardzo zadowolony. Byłem zadowolony, że nie robimy nic na chybcika, że nie zostanę sam na sam z Lulu Zulu i z koniecznością dokonania tego przerażającego i tajemniczego, zadowolony, że pierwsze spotkanie z tą nieuniknioną przygodą będzie rekonesansem. A poza tym widziałem w życiu tylko dwie nagie baby. Świńskie filmy, które oglądaliśmy w tym czasie, były w gruncie rzeczy nie dość świńskie — pokazywały tylko nogi, plecy i ekstatyczne twarze szczęśliwych par, pozostawiając resztę naszej obrzmiałej wyobraźni i nie wyjaśniając nic. Co zaś do tych dwóch nagich bab — były to moja matka, wielka i groteskowa, z festonami obwisłej skóry jak u ropuchy, i moja dziesięcioletnia siostra, paskudny wypłosz, na którego ledwie mogłem patrzeć, nie mówiąc już o dzieleniu wanny. A zresztą szyling to nie pieniądze, biorąc pod uwagę fakt, że obaj z Raymondem byliśmy zamożniejsi od

większości spotykanych w kawiarni robotników. Szczerze mówiąc, byłem bogatszy od wszystkich moich licznych wujów, mojego

biednego przepracowanego ojca czy wreszcie od kogokolwiek z mojej rodziny. Śmiałem się na myśl o dwunastogodzinnym dniu pracy ojca we młynie, o jego wymizerowanej pobielonej mąką złej twarzy, kiedy wieczorem wracał do domu, a jeszcze głośniejsze

śmiałem się na myśl o tych tysiącach, które co rano wylewały się z szeregowych domów, takich jak nasz, żeby tyrać przez cały

tydzień, wypoczywać w niedzielę, a potem znów w poniedziałek do młynów, do fabryk, tartaków, przystani, co wieczór starsi, bardziej zmęczeni, a wcale nie bogatsi; siedząc nad filiżanką herbaty, śmieliśmy się z Raymondem z tej naszej cichej zdrady —

życia spędzonego przez tych ludzi na dźwiganiu, kopaniu, popychaniu, pakowaniu, sprawdzaniu, w pocie i męce dla zysków innych; z tego, że dla lepszego samopoczucia lata upodlenia podnoszą do rangi cnoty, dumni, że nie opuścili ani dnia w piekle; ale nade wszystko śmiałem się, kiedy wujek Bob czy Ted, czy mój ojciec dawali mi w prezencie jednego ze swoich ciężko

zarobionych szylingów — a na specjalne okazje banknot dziesięcioszylingowy — śmiałem się więc, bo wiedziałem, że jedno dobre popołudnie w księgarni przynosi więcej niż ich tygodniowe tyranie. Musiałem się oczywiście śmiać dyskretnie, bo przecież popsucie im takiej przyjemności byłoby niewłaściwe, zwłaszcza że nie miałem wątpliwości, jak bardzo to przeżywają.

Widzę go jeszcze teraz, wuja czy ojca, jak przemierza nasz niewielki salonik, z monetą albo banknotem w ręce, snując wspomnienia, sypiąc anegdotami, udzielając mi życzliwych rad — o krok od rozkoszy dawania, w samopoczuciu tak dobrym, że przyjemnie było patrzeć. Czuli się — i przez ten jeden moment byli — wspaniali, mądrzy, rozważni, hojni i wylewni, a może nawet, kto wie, trochę święci; patrycjusze obdarzający swego siostrzeńca czy syna w najmądrzejszy, najbardziej wielkoduszny sposób owocami swojej roztropności i bogactwa, bogowie we

własnej świątyni — a kimżeż byłem ja, żeby odtrącać ich dary? Popychła fabryczne przez pięćdziesiąt godzin tygodniowo, potrzebowali tych salonowych misteriów, tych mitycznych spotkań Ojca z Synem, dlatego ja, wrażliwy i świadom wszystkich

niuansów sytuacji, przyjmowałem pieniądze, narażając się na znudzenie i powstrzymując uczucie rozbawienia, by później

dosłownie konać ze śmiechu. Na długo przedtem, nim zdałem sobie z tego sprawę, byłem studentem, i to obiecującym studentem, w szkole ironii. A więc szyling nie był ceną zbyt wygórowaną za spojrzenie na niewysłowione, na samo serce tajemnicy, cielesnego Graala, na piczkę Lulu Kruszyнки, dlatego ponaglałem Raymonda, żeby jak najszybciej zorganizował oglądanie. Raymond wchodził

gładko w swoją zwykłą rolę reżysera, marszczył brew z ważną miną, mamrotał coś na temat spotkań, terminów, miejsc i płacenia i wypisywał cyfry na odwrocie koperty. Należał do tej rzadkiej kategorii ludzi, którzy nie tylko znajdują wielką przyjemność w organizowaniu wydarzeń, ale są w tym jednocześnie beznadziejni.

Było więc wysoce prawdopodobne, że przyjdziemy nie tego dnia i nie o tej porze, że wyniknie nieporozumienie co do ceny czy też czasu oglądania, ale jedno mieliśmy jak w banku — pewniejsze niż cokolwiek innego, niż nawet to, że jutro wszędzie słońce — a mianowicie, że

w końcu cipa, którą zobaczymy, będzie naprawdę ekstra. Bo jednak życie niezaprzeczalnie sprzyjało Raymondowi i chociaż w tamtych czasach nie potrafiłbym wyrazić moich uczuć w tylu słowach, to przecież czułem, że w uniwersalnym układzie ludzkich losów — losy Raymonda i moje znajdowały się na

antypodach. Fortuna bowiem płatała mu nieustanne figle, ciskając może i nieraz piaskiem w oczy, ale nigdy nie plując w twarz ani nie deptając po życiowych odciskach — pomyłki, straty, zdrady i krzywdy Raymonda były wszystkie, w ostatecznej ocenie, raczej śmieszne niż tragiczne. Pamiętam na przykład taki przypadek, kiedy zapłacił siedemnaście funtów za ważącą dwie uncje cegielkę haszyszu, który, jak się okazało, nie miał z haszyszem nic

wspólnego. Żeby więc odbić sobie straty, Raymond wziął ten towar do znanego burdelu w Soho i usiłował go opchnąć pewnemu tajniakowi, który szczęśliwie nie nastawał na wymierzenie mu kary. Ostatecznie — przynajmniej jeszcze wtedy — nie istniał akt prawny, który by wzbraniał handlu sproszkowanym końskim

gównem, nawet jeśli było opakowane w aluminiową folię. I wreszcie bieg na przełaj. Raymond, mierny biegacz, znalazł się w dziesiątce stanowiącej reprezentację szkoły w zawodach

okręgowych. Zawsze chodziłem na te zawody. Prawdę powiedziawszy, żadnego innego sportu nie oglądałem w tak podniosłym nastroju, z taką przyjemnością i podnieceniem jak dobry bieg na przełaj. Lubilem patrzeć na umęczone, wykrzywione twarze zawodników, kiedy wpadali w tunel flag i przekraczali linię mety; szczególnie interesowali mnie ci, co finiszowali mniej więcej po pierwszej pięćdziesiątce, dając z siebie więcej niż którykolwiek z pozostałych uczestników konkurencji i rywalizując między sobą dziko o sto trzynaste miejsce. Obserwowałem, jak potykając się, wbiegają w tunel flag, łapią się za gardła, rzygają, młóć ramionami i padają na trawę — świadom, że mam przed

sobą obraz próżnych wysiłków. Liczyła się bowiem tylko pierwsza trzydziestka i kiedy ostatni z tej grupy przybywali na metę, publiczność zaczynała się już rozchodzić, pozostawiając resztę zawodników ich osobistym rywalizacjom — i to właśnie ten

moment szczególnie silnie działał na moją wyobraźnię. Długo jeszcze po odejściu sędziów zostawałem, żeby patrzeć, jak w zapadającym szybko mroku późnego zimowego popołudnia ostatni zawodnicy przełazą przez linię mety. Padającym pomagałem

wstać, tym, którzy krwawili z nosów, podawałem chusteczki, wymiotujących waliłem w plecy, masowałem dotknięte kurczem łydki i palce — istna Florence Nightingale, z tą jedynie różnicą, że ja czułem podniecenie, radosną fascynację zwycięskim duchem przegrywających, którzy dla jakiejś złudy podejmowali ten

śmiertelny wysiłek. Przeżywałem chwile duchowego uniesienia, miałem łzy w oczach, kiedy po dziesięciu, piętnastu, a nawet dwudziestu minutach czekania na tym wielkim, ponurym stadionie, otoczonym ze wszystkich stron przez fabryki, słupy sieci elektrycznej, brzydkie domy i garaże, wśród wzmagającego się wiatru, który zwiastował paskudną mżawkę, a więc kiedy tak

czekałem w ciężkim zapadającym zmroku — dostrzegłem nagle na końcu bieżni niezdarną białą plamkę zbliżającą się wolno do mety i drętwymi stopami odmierzającą na mokrej trawie całkowity bezsens sutego mikroprzeznaczenia. I tam właśnie, pod zaciągniętym stołecznym niebem, jakby dla połączenia w jedną złożoną całość ewolucji organicznej i ludzkiego dążenia i

umieszczenia jej w moim zasięgu, maleńka, przypominająca

amebę plamka na końcu bieżni przybiera ludzki kształt, nie  
zaprzestając jednak swego dążenia i brnąc zdecydowanie w swym bezsensownym  
wysiłku osiągnięcia mety — samo życie  
pozbawione twarzy, stale odnawiające się życie, które — gdy ludzki kształt składa się jak  
syczoryk, padając na ziemię — raduje moje serce; przeżywam moment uniesienia w całkowitym  
zapamiętaniu niezdrowego i ostatecznego utożsamienia się z  
kosmicznym procesem życiowym, któremu na imię Logos.

— Pech, Raymond — mówiłem wtedy wesoło, wręczając mu  
sweter. — Życzę ci, żeby następnym razem poszło lepiej. — A Raymond, uśmiechając się  
blado, mądry smutną wiedzą Arlekina i Feste'a, że z tych dwóch to przecież komediant, a nie  
tragik posiada atut, dwudzieste drugie spośród arkanów, którego literą jest Than, a symbolem  
Sol6, tak więc kiedy opuszczaliśmy prawie już ciemny stadion, Raymond odpowiadał z  
uśmiechem:

— Ostatecznie to przecież tylko bieg na przełaj, tylko gra, kapujesz.

Obiecał, że przedstawi naszą propozycję boskiej Lulu Smith  
nazajutrz po szkole, a ponieważ ja zostałem zobowiązany do  
zajęcia się młodszą siostrą wieczorem, kiedy rodzice pojedą na wyścigi psów do  
Walthamstow, pożegnałem się z Raymondem w  
kawiarni. Przez całą drogę do domu myślałem o cipie. Widziałem ją w uśmiechu  
konduktorki, słyszałem w ryku ulicznego ruchu, wietrzyłem w wyziewach fabryki pasty do  
butów, domyślałem się pod spódnicami przechodzących kobiet, czułem w czubkach  
palców, węszyłem w powietrzu, rysowałem w wyobraźni, a  
podczas kolacji, na którą było mięso w cieście, pochłaniałem, jakbym sprawował jakiś  
niewysłowny obrządek, genitalia z  
ciasta i kiełbasy. I mimo wszystko w dalszym ciągu nie  
wiedziałem dokładnie, co to takiego ta cipa. Pożerałem moją siostrę wzrokiem przez stół.  
Przesadziłem trochę, mówiąc, że jest paskudnym wypłoszem — przyszło mi właśnie do głowy,  
że to  
mimo wszystko nie taka zła dziewczyna. Miała wystające zęby, nie da się ukryć, i trochę  
zbyt zapadnięte policzki, ale nie na tyle, żeby to było widać po ciemku, a z umytymi włosami, tak  
jak teraz, mogła od biedy uchodzić za zwyczajną brzydulę. Nic więc  
dziwnego, że siedząc nad mięsem w cieście, zastanawiałem się, jakby tu przymilnością  
czy po prostu jakimś małym wybiegiem doprowadzić do tego, żeby Connie zaczęła się uważać,  
choćby nawet przez kilka minut, za kogoś więcej niż tylko siostrę, powiedzmy za piękną, młodą  
damę, może gwiazdę filmową i,  
wiesz co, Connie, może byśmy tak wypróbowali w łóżku tę  
wzruszającą scenę, wyskakuj ze swojej beznadziejnej piżamy, a ja się zajmę światłem... I  
wtedy, silny tak zdobyty  
doświadczeniem, mógłbym stawić czoło straszliwej Lulu,  
namiętnie i beztrosko, i cała ta koszmarna męka odeszłaby w cień i straciła znaczenie i  
kto wie, może mógłbym nawet zerznąć Lulu od czasu do czasu gdzieś tam w połowie numeru.

Nigdy nie lubiłem zajmować się Connie. Była opryskliwa,  
wymagająca, rozpaskudzona i zamiast oglądać telewizję, chciała, żeby się z nią bez



przerwy bawić. Zwykle posuwałem zegarek i pakowałem ją do łóżka o godzinę wcześniej. Dzisiaj cofnąłem zegarek. Jak tylko matka z ojcem wyszli na wyścigi psów, spytałem ją, w co by się chciała pobawić, może sobie wybrać, na co ma ochotę.

— Ja się nie chcę z tobą bawić.

— A dlaczego?

— Bo przez całą kolację gapiłeś się na mnie jak głupi.

— Oczywiście, że się gapiłem, bo się zastanawiałem, w co byś się najbardziej chciała pobawić, dlatego na ciebie patrzyłem, nic więcej. — Wreszcie zgodziła się na chowanego, co zaproponowałem ze specjalnym celem. — Otóż w naszym domu można się było chować tylko w dwóch pokojach i oba były sypialniami. Connie miała się chować pierwsza. Zakryłem oczy i zacząłem liczyć do trzydziestu, cały czas nasłuchując kroków w sypialni rodziców, dokładnie nade mną; wreszcie z satysfakcją usłyszałem skrzypienie łóżka, co znaczyło, że Connie włązi pod ich puchową kołdrę — jej drugie w kolejności ulubione miejsce.

Zawołałem: „Szukam!” i ruszyłem na górę. Wchodząc na schody, nie byłem jeszcze zdecydowany, co zrobię — może po prostu

rozejrzę się w sytuacji, zobaczę co i jak, nakreślę w myśli plan na przyszłość — ostatecznie wystraszenie młodszej siostry, która by się nie zawahała przed wypaplaniem wszystkiego ojcu, co by z pewnością wywołało jakąś scenę, wrzaski i płacze, a z mojej strony skomplikowane kłamstwa, właśnie teraz, kiedy moja

najnowsza obsesja wymagała ode mnie całej energii, nie byłoby rzeczą rozsądną. Kiedy jednak znalazłem się na górze i cała krew odpłynęła mi z mózgu do krocza, dosłownie rzecz by można, z

poczucia własnej zmysłowości, no więc kiedy łapałem oddech na najwyższym stopniu i zaciskałem wilgotną dłoń na gałce drzwi do sypialni, byłem już zdecydowany zgwałcić moją siostrę.

Łagodnie popchnąłem drzwi i zawołałem przymilnym głosem:

— Connieeee, gdzie jesteś? — Zwykle chichotała w odpowiedzi, ale tym razem było zupełnie cicho. Wstrzymując oddech, podszedłem na palcach do łóżka i zaśpiewałem: — A ja wiem, gdzie jesteś. — I pochylony nad wymownym wzgórkim

pod kołdrą wyszeptałem: — No, a teraz cię mam. — I zacząłem odkrywać wzdętą kołdrę delikatnie, niemal czule, zaglądając w mroczne ciepło pod spodem. Półprzytomny z podniecenia odkryłem kołdrę całkowicie i oto miałem przed sobą rozłożone niewinnie i bezradnie pizamy moich rodziców, a kiedy

odskoczyłem w zdumieniu, oberwałem cios w nerki pełen tak okrutnego wigoru, na jaki stać jedynie siostrę wobec brata. Connie tańczyła z radości, a za nią huśtały się otwarte drzwi szafy.

— A ja cię widziałam, a ja cię widziałam, a ty mnie nie! —

Żeby się choć trochę odegrać, kopnąłem ją w goleń, a następnie usiadłem na łóżku, żeby się zastanowić, co dalej, podczas gdy Connie, jak zwykle komediantka, padła z bekiem na podłogę.

Podziałało to na mnie deprymująco, więc zszedłem na dół przeczytać gazetę, pewien, że Connie wkrótce tu za mną przyjdzie. I rzeczywiście, przyszła, nadęta.

— A w co teraz byś się chciała pobawić? — spytałem.

Usiadła na brzegu sofy, robiąc podkówki i pochlipując, pełna nienawiści. Miałem już zamiar porzucić cały ten plan i zająć się oglądaniem wieczornego programu w telewizji, kiedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł odznaczający się taką prostotą i elegancją, przejrzystością i pięknem formy, jednym słowem pomysł, który gwarantował powodzenie jak szyty na miarę garnitur. Jest taka zabawa, której żadna z kochających dom, pozbawionych wyobraźni małych dziewczynek w rodzaju Connie

nie potrafi się oprzeć, zabawa, którą Connie zdręczała mnie od momentu, kiedy nauczyła się niezbędnych słów, która na moich chłopięcych latach położyła się cieniem jej nieustannych błagań i moich nieuchronnych odmów, krótko mówiąc, była to taka zabawa, że wolałbym raczej spłonąć na stosie, niż zostać na niej nakrytym przez przyjaciół. I oto teraz wreszcie mieliśmy się bawić z Connie w mamę i tatę.

— A ja znam taką zabawę, Connie, która ci się na pewno spodoba — powiedziałem. Oczywiście nie mogła odpowiedzieć, ale ja zawiesiłem głos jak przynętę. — Znam taką zabawę, która się tobie spodoba. — Uniosła głowę.

— Niby jaką?

— Tę, w którą zawsze chciałaś się bawić.

Rozpromieniła się.

— W mamę i tatę? — Connie doznała przeobrażenia, popadła w ekstazę. Przyniosła ze swojego pokoju wózki, lalki, Kuchenki, lodówki, łóżeczka, filiżanki, pralkę i psią budę i wśród gorączkowej krzątaniny porozstawiała to wszystko dokoła mnie.

— A teraz ty chodź tutaj, nie, tam, a tu może być kuchnia, a to są drzwi, którymi wchodzisz, tylko nie depcz tutaj, bo tu jest ściana, no więc ja wchodzę i coś do ciebie mówię, a potem ty mówisz do mnie i wychodzisz, a ja robię lunch. — Pograżyłem się w mikrokosmosie beznadziejnych, nużących codziennych trywialności, przerażających szczegółików życia naszych rodziców i ich przyjaciół, które Connie tak bardzo chciała małpować.

Chodziłem więc do pracy i z powrotem, do baru i z powrotem, szedłem wysłać list i wracałem, chodziłem po zakupy i wracałem, czytałem gazetę, szczypałem celuloidowe policzki mojego

potomstwa, znów czytałem gazetę, znów szczypałem policzki,  
znów szedłem do pracy i wracałem. A Connie? Connie po prostu gotowała na kuchence,  
zmywała w zlewozmywaku, prała, karmiła, kładła spać i budziła swoich szesnaście lalek,  
nalewała kolejną herbatę i pławała się w szczęściu. Była międzygalaktyczno-ziemską  
boginią-panią domu, posiadała i panowała nad wszystkim, co ją otaczało, widziała wszystko,  
wiedziała wszystko, mówiła mi, kiedy mam wyjść, kiedy przyjść, w którym jestem pokoju, co  
mam powiedzieć, jak i kiedy. Była szczęśliwa. Była całkowita, nigdy nie widziałem, żeby  
jakakolwiek ludzka istota osiągnęła taki stopień pełni — cała w uśmiechach, otwartych,  
radosnych i niewinnych, jakich nigdy dotąd nie widziałem — przeżywała raj na ziemi. W  
pewnym momencie, jak gdyby oniemiała cudem, który jej się  
zdarzył, w ekstatycznym uniesieniu przerwała w pół zdania,  
usiadła na piętach z błyszczącymi oczyma i wydała z siebie jedno długie, śpiewne  
westchnienie rzadkiego i niewypowiedzianego szczęścia. Myśleć w tej chwili o zgwałceniu jej  
było czymś  
nieprzyzwoitym. Wróciwszy z pracy po raz dwudziesty w ciągu półgodziny,  
powiedziałem:

— Connie, zapominamy o jednej z najważniejszych rzeczy,  
które robią razem mamy i tatusiowie. — Nie była wprost w stanie uwierzyć, że mogliśmy  
o czymkolwiek zapomnieć, i koniecznie chciała wiedzieć, co to takiego. — Oni się pieprzą,  
Connie, wiesz przecież, na czym to polega.

— Pieprzą się? — To słowo w jej ustach jakoś dziwnie nie  
miało znaczenia, bo też i nie miało rzeczywiście — przynajmniej jeśli chodziło o mnie.  
Cały problem polegał na tym, żeby mu to znaczenie nadać. — Pieprzą się? A co to znaczy?

— To jest to, co robią wieczorami, jak się położą do łóżka, zanim zasną.

— Pokaż mi. — Wyjaśniłem jej, że w tym celu musielibyśmy  
iść na górę i właśnie położyć się do łóżka.

— Nie, nigdzie nie pójdziemy. Możemy się bawić, że tu jest  
łóżko. — Wskazała kwadratowy wzór na dywanie.

— Nie mogę jednocześnie i bawić się, i pokazywać ci. —  
Tak więc znów wchodziłem na górę, znów waliło mi w skroniach, a moja męskość  
sterczała dumnie. Connie też była dość  
podniecona, w dalszym ciągu rozgorączkowana szczęściem i  
zadowolona z nowego obrotu, jaki przybrała zabawa.

— Przed wszystkim — powiedziałem — zdejmują ubranie.  
— Popchnąłem ją na łóżko i palcami prawie bezużytecznymi z  
podniecenia zacząłem rozpinąć jej piżamę, aż wreszcie siedziała przede mną naga,  
pachnąca jeszcze słodko po kąpieli i  
rozchichotana ze szczęścia. Wtedy i ja się rozebrałem i usiadłem koło niej, ale w gatkach,  
żeby jej nie spłoszyć. Jako dzieci na tyle przywykliśmy do swojej nagości, żeby ją traktować  
naturalnie, chociaż właściwie była to już przeszłość i teraz wyczuwałem skrupowanie Connie.

— Jesteś pewien, że oni robią właśnie to?

Moją własną niepewność przyćmiła teraz żądza.

— Tak — odparłem — to jest bardzo proste. Ty masz tam dziurkę, a ja w nią wsadzam swojego ptaszka. — Zatkaną sobie usta ręką, chichocząc niesamowicie.

— To głupie. A po co oni to robią? — Musiałem przyznać w duchu, że istotnie było w tym coś niedorzecznego.

— Oni to robią, bo w ten sposób mówią sobie nawzajem, że się lubią. — Connie doszła do wniosku, że ja to wszystko zmyślam, w czym znów do pewnego stopnia miała rację. Patrzyła na mnie szeroko rozwartymi oczyma.

— Czy oni są pomyleni? Dlaczego sobie tego po prostu nie powiedzą? — Znalazłem się w defensywie, czułem się jak stuknięty uczoney, który wyjaśnia zasady nowego wynalazku — stosunku płciowego — sceptycznym racjonalistom.

— Ale wiesz co — powiedziałem mojej siostrze — chodzi nie tylko o to, to jest jeszcze bardzo fajne uczucie. Oni chcą to fajne uczucie osiągnąć.

— Fajne uczucie? — W dalszym ciągu nie mogła mi uwierzyć. — Osiągnąć? Uczucie? Jak to osiągnąć uczucie?

— Pokażę ci. — Przewróciłem ją na łóżko, a sam położyłem się na niej, jak to widywałem na filmach, które oglądaliśmy razem z Raymondem. Dalej miałem na sobie gatki. Connie gapiła się na mnie bezmyślnie, nawet nie przestraszona; w gruncie rzeczy

bardziej chyba znudzona. Kręciłem się z boku na bok, usiłując zdjąć majtki bez wstawania.

— Ja naprawdę nic nie rozumiem — narzekała Connie spode mnie. — Nie osiągam żadnego uczucia. A ty?

— Poczekaj — mruknąłem, jednocześnie samymi czubkami palców zsuwając majtki z nóg. — Jak tylko poczekasz chwileczkę, to ci pokażę. — Zaczynałem tracić cierpliwość do Connie, do siebie, do całego wszechświata, ale przede wszystkim do swoich gatek, które nieustępliwie oplatały mi kostki. Wreszcie byłem wolny. Ten mały zrobił się twardy i lepki na brzuchu Connie i teraz, unosząc się nieco na jednej ręce, drugą usiłowałem

wmanewrować jej go między nogi. Szukałem maleńkiej szparki

Connie, nie mając zielonego pojęcia, co tam znajdę, ale oczekując, że lada moment zamienię się w istny wir doznań. Przypuszczam, że spodziewałem się tam znaleźć ciepłą,

mięsiłą czeluść, ale w miarę jak dźgałem i szperałem, szturchałem i muskałem, przekonywałem się, że nie ma tam nic, poza napiętą, nieustępliwą skórą. A tymczasem Connie leżąc na wznak, od czasu do czasu komentowała sytuację:

— Oooch, tędy siusiam, jestem pewna, że mama i tata nie robią nic takiego. — W ręce, na której się wspierałem, czułem mrowienie i mimo że wszystko mnie szczypało, coraz rozpaczliwiej pchałem i szturchałem. I za każdym razem Connie mówiła: — W dalszym ciągu nie mam żadnego uczucia. —

Czułem, jak tracę kolejną uncję męskości. Wreszcie musiałem odpocząć. Usiadłem na brzegu łóżka, żeby się zastanowić nad swoją beznadziejną porażką, gdy tymczasem za mną Connie

unosła się na łokciach. Po chwili łóżko zaczęło się trząść od bezgłośnych spazmów i obróciwszy się, zobaczyłem, jak po wykrzywionej twarzy niemej i wijącej się w konwulsjach hamowanego śmiechu Connie płyną łzy.

— Co się stało? — spytałem, ale ona zdołała jedynie wskazać niejasno w moim kierunku i jęknąć, zanim opadła na łóżko wstrząsana bezradnie drgawkami śmiechu. Usiadłem koło niej, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć, ale pewny, że ponowienie próby nie wchodzi na razie w grę. W końcu zdołała coś wykrztusić. Usiadła i wskazując na mojego cały czas sztywnego fiuta, powiedziała:

— Ale to... ale to... — chwycił ją następny atak, zanim wreszcie zdołała dokończyć na jednym cienkim pisku — ...głupio wygląda... ale to głupio wygląda. — Po czym znów padła w kolejnym paroksyzmie histerycznego chichotu. A ja siedziałem dalej w moim samotnym otumanieniu, ostudzony i porażony tym ostatecznym upokorzeniem, które uświadomiło mi, że to, co mam koło siebie, nie jest prawdziwą dziewczyną, nie jest autentyczną przedstawicielką swojej płci; nie był to naturalnie chłopiec, ale również i nie dziewczyna — po prostu moja siostra, mimo wszystko. Spojrzałem na swojego zwiędłego wacka, zastanawiając się nad jego smętnym wyglądem, i kiedy już miałem zacząć się ubierać, Connie, spokojna wreszcie, dotknęła mego łokcia.

— Ja wiem, gdzie się go wkłada — powiedziała i położyła się na łóżku z szeroko rozłożonymi nogami, o co nie przyszło mi do głowy ją poprosić, a następnie ukosiła się pomiędzy poduszkami. — Ja wiem, gdzie jest ta dziurka.

W jednej chwili zapomniałem, że to siostra, i mój fiutek zerwał się, ciekawski i pełen nadziei, na zapraszający szept Connie. A ona już znów weszła w rolę, podjęła zabawę w mamę i tatę i już znów panowała nad sytuacją. Ręką pokazała mi drogę do swojej ciasnej, suchej, dziecinnej piczki i przez chwilę leżeliśmy tak w zupełnym bezruchu. Żałowałem, że nie może mnie zobaczyć Raymond — byłem zadowolony, że zwrócił mi uwagę na moje dziewictwo — żałowałem, że nie może mnie zobaczyć Lulu

Kruszynka, szczerze mówiąc, gdyby moje życzenia zostały spełnione, predefilowałyby przez sypialnię wielu moich przyjaciół i znajomych, żeby mnie nakryć w tej imponującej pozie.

Ponieważ bardziej niż cokolwiek — eksplozję w głowie, klucie w żołądku, palenie w kroczu czy męki duszne — czego, szczerze mówiąc, nie odczuwałem w ogóle — a więc bardziej nawet niż

samą myśl o tym wszystkim, czułem dumę, dumę z tego, że pieprzę, nawet jeśli to była tylko Connie, moja dziesięcioletnia siostra, nawet gdyby to była kulawa koza, i tak byłbym dumny z tego, że leżę w tej męskiej pozycji, dumny już na zapas, że będę mógł powiedzieć „a ja się pieprzyłem”, że należę całkowicie i nieodwołalnie do tej wyższej połowy ludzkości, która wie, co to coitus i która brała udział w zapładnianiu świata.

Connie też leżała zupełnie spokojnie, z półprzymkniętymi oczyma, oddychając głęboko — spała. Już dawno minęła jej pora kładzenia się do łóżka i ta dziwna zabawa ją wyczerpała. Po raz pierwszy poruszyłem się delikatnie w przód i w tył, tylko kilka razy, i to wystarczyło, żebym się spuścił w żaloszny, niedynamiczny, ledwie zaspokajający sposób. Connie obudziła się wściekła.

— Zsikaleś mi się do środka. — Zaczęła płakać. Nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robię, wstałem i zacząłem się ubierać. Niewykluczone, że był to jeden z najżałośniejszych aktów płciowych znanych kopulującej części ludzkości, na który złożyły się: kłamstwo, podstęp, upokorzenie, kazirodztwo, zaśnięcie mojej partnerki, mój szczątkowy orgazm i szloch, który wypełnił teraz sypialnię, ale i tak byłem rad z niego, z siebie, z Connie, rad z tego, że mam sprawę z głowy, że przestanie być problemem.

Zaprowadziłem Connie do łazienki i puściłem wodę — wkrótce mieli wrócić rodzice i Connie powinna spać w swoim łóżku.

Wreszcie wszedłem w świat dorosłych, byłem z tego zadowolony, ale nie miałem ochoty właśnie teraz oglądać nagiej dziewczyny ani w ogóle żadnej nagości jeszcze przez jakiś czas. Jutro powiem Raymondowi, żeby nie myślał o spotkaniu z Lulu, chyba że zechce iść sam. Byłem pewien, że nie zechce.

## OSTATNI DZIEŃ LATA

Mam dwanaście lat i leżę na brzuchu prawie nagi w słońcu za domem na trawie i wtedy po raz pierwszy słyszę jej śmiech. Nie wiem, nie ruszam się, po prostu zamykam oczy. Jest to śmiech dziewczyny, młodej kobiety, krótki i nerwowy, jakby się śmiała z czegoś niezabawnego. Mam twarz do połowy w trawie, którą

ściąłem przed godziną, i czuję zapach ziemi. Od rzeki wieje lekka bryza, późne popołudniowe słońce kąsa mnie w plecy i

jednocześnie dźga mnie ten jej śmiech, jakby to wszystko było jednym, jakby się w mojej głowie łączyło w jeden smak. Śmiech cichnie i słyszę już tylko, jak wiatr szarpie kartki mojego komiksu, jak gdzieś na górze płacze Alice, i czuję, jak cały ogród ogarnia letni bezwład. I wtedy zdaję sobie sprawę, że do mnie idą, i siadam tak gwałtownie, że kręci mi się w głowie i wszystko nagle traci kolor. No więc ta tłusta kobieta, czy też dziewczyna, idzie do mnie z moim bratem i jest tak gruba, że jej ręce nie zwisają całkiem pionowo. Wokół szyi ma dosłownie dętki. Patrzą na mnie oboje i rozmawiają na mój temat, i kiedy są już całkiem blisko, wstają, a kobieta potrząsa moją ręką i w dalszym ciągu nie spuszczając ze mnie oka, wydaje szczekliwy, nerwowy odgłos. To właśnie ten dźwięk dopiero co usłyszałem — jej śmiech. Ma dłoń gorącą,

mokrą i różową jak gąbka i dołączki u nasady palców. Mój brat przedstawia mi ją jako Jenny. Przeznaczył dla niej sypialnię na poddaszu. Jenny ma wielką twarz, okrągłą jak czerwony księżyc, i grube szkła, za którymi jej oczy wydają się duże jak piłki golfowe.

Kiedy puszcza moją rękę, zapominam języka w gębie. Ale za to mój brat Peter gada i gada, mówi jej, jakie mamy w ogródku

warzywa i kwiaty, a potem ustawia ją tak, żeby miała między drzewami widok na rzekę, zanim wreszcie zabierze ją z powrotem do domu. Mój brat, dokładnie dwa razy starszy ode mnie, jest bardzo dobry w tego rodzaju rzeczach, to znaczy w gadaniu.

Jenny zajmuje poddasze. Zaglądałem tam czasem, żeby sobie pogrzebać w starych pudłach czy popatrzeć na rzekę przez małe okienko. Właściwie nic tam specjalnego w tych pudłach nie ma, trochę starych łańców i jakieś wykroje. Być może niektóre z nich należały do mojej matki. W jednym kącie leżą na kupie stare ramy bez obrazów. Kiedyś tam poszedłem, bo padał deszcz, a na dole Peter kłócił się z tamtymi. Pomogłem Josému wysprzątać strych na sypialnię. José był chłopcem Kate, ale na wiosnę zabrał od niej swoje rzeczy i przeniósł się do wolnego pokoju koło mnie. Pudła i ramy wytaskaliśmy do garażu, a że porysowaliśmy podłogę na

czarno, położyliśmy dywany. Wzięliśmy zapasowe łóżko ode mnie i zanieśliśmy je na górę. Z łóżkiem, stołem, krzesłem, szafką i pochyłym sufitem jest tam akurat dość miejsca na dwie osoby w pozycji stojącej. Cały bagaż Jenny to mała walizeczka i torba.

Biorę od niej te rzeczy, a ona wchodzi za mną na górę, dysząc coraz ciężiej. W połowie trzeciej kondygnacji schodów zatrzymuje się, żeby zaczerpnąć tchu. Za nami idzie mój brat Peter i wszyscy troje wciskamy się na poddasze, jakbyśmy tu mieli razem

mieszkać i jakbyśmy po raz pierwszy oglądali ten pokój. Pokazuję jej okno, żeby sobie mogła patrzeć na rzekę. Jenny siedzi ze swoimi wielkimi łokciami na stole. Od czasu do czasu słuchając jednej z historii Petera, przytyka do wilgotnej, czerwonej twarzy dużą, białą chustkę. Siedząc na łóżku za nią, mam okazję

podziwiać jej ogromne plecy, a pod krzesłem grube, różowe nogi, które się stopniowo zwężają i na samym dole kipią z malutkich pantofelków. Jenny jest wszędzie różowa. Zapach jej potu

wypełnia pokój. Przypomina on zapach świeżo ściętej trawy i przychodzi mi do głowy, że nie powinienem go zbyt głęboko

wdychać, bo się stanę tak samo gruby jak ona. Wychodzimy, żeby Jenny mogła się rozpakować, a ona dziękuje nam za wszystko i kiedy jestem już w drzwiach, wydaje swoje krótkie szcęknięcie, nerwowy śmiech. Mimo woli patrzę na nią, a ona też gapi się na mnie swoimi powiększonymi oczami przypominającymi piłki golfowe.

— Nie jesteś specjalnie gadatliwy, co? — mówi, a ja oczywiście jeszcze bardziej zapominam języka w gębie. Wobec tego uśmiecham się tylko i schodzę po schodach.

Jest akurat moja kolej, żeby pomóc Kate w gotowaniu kolacji. Kate jest wysoka, szczupła i smutna. Dokładne przeciwieństwo Jenny. Jak będę miał dziewczyny, to będą takie jak Kate. Ona jest bardzo blada, nawet o tej porze lata. I ma włosy dziwnego koloru. Kiedyś słyszałem, jak Sam mówił, że są koloru brązowej koperty. Sam jest jednym z przyjaciół Petera i też tutaj mieszka i chciał

wnieść swoje rzeczy do sypialni Kate, kiedy się José wyprowadził. Ale Kate trochę zadziera nosa i nie lubi Sama, bo jest za hałaśliwy. Gdyby się do niej wprowadził, toby zawsze budził Alice, jej małą. Kiedy Kate i José są w tym samym pokoju, to się im zawsze przyglądam, żeby zobaczyć, czy na siebie patrzą, ale oni nigdy nie patrzą. Kiedyś w kwietniu wszedłem po południu do pokoju Kate, żeby coś pożyczyć, i Kate z Josém leżeli razem w łóżku i spali. Rodzice Joségo pochodzą z Hiszpanii, więc on ma bardzo ciemną skórę. Kate leżała na wznak z jedną ręką wyciągniętą, a José, przytulony do niej, z głową na jej ramieniu.

Nie mieli na sobie piżam i byli przykryci tylko do pasa. Byli tacy czarno-biali. Dłuższy czas stałem w nogach łóżka i się im przyglądałem. Zupełnie jakbym odkrył jakąś tajemnicę. I potem nagle Kate otworzyła oczy i bardzo cicho powiedziała mi, żebym się wynosił. Wydaje mi się to bardzo dziwne, że tak wtedy leżeli razem, a teraz nawet na siebie nie spojrzą. Ze mną by tak nie było, gdybym leżał z głową na ramieniu jakiejś dziewczyny. Kate nie lubi gotować. Dużo czasu zabiera jej pilnowanie, żeby Alice nie brała noży do buzi albo nie wylewała na siebie w kuchni

czajników z wrzącą wodą. Kate woli się ubierać i wychodzić albo godzinami rozmawiać przez telefon, co i ja bym robił, gdybym był dziewczyną. Kiedyś nie było jej do późna i mój brat Peter musiał położyć Alice spać. Kate jest zawsze smutna, kiedy coś mówi do Alice, kiedy jej mówi na przykład, co ma robić; wychodzi to tak cicho, jakby w ogóle nie miała ochoty się do niej odzywać. Tak samo jak do mnie — jakby to wcale nie było mówienie. Na widok moich pleców w kuchni bierze mnie na dół do łazienki i przykłada mi w różnych miejscach watkę zamoczoną w płynie galmanowym.

Widzę ją w lustrze, jej twarz nie ma właściwie żadnego wyrazu.

Wydaje przez zęby coś w rodzaju świstu czy też westchnienia, a kiedy chce, żebym się wystawił inną częścią pleców do światła, popycha mnie albo pociąga za rękę. Pyta mnie cicho i szybko, jaka jest ta dziewczyna z góry, a kiedy jej mówię: „Jest bardzo tłusta i tak się głupio śmieje”, nawet mi nie odpowiada. Kroję jarzyny i nakrywam do stołu, a potem idę nad rzekę zajrzeć do mojej łódki.

Kupiłem ją za swoje pieniądze po śmierci rodziców. Docieram do pomostu już po zachodzie słońca i rzeka jest czarna, upstrzona czerwonymi plamami przypominającymi gałganki na strychu. Dziś rzeka wydaje się powolna, a powietrze ciepłe i gładkie. Nie odwiązuję łódki, mam zbyt obolałe od słońca plecy, żeby

wiosłować. Wchodzę tylko do środka i siedzę kołysany łagodnie przez falę, patrząc, jak czerwone szmaty toną powoli w czarnej wodzie i zastanawiając się, czy przypadkiem nie wciągnąłem w płuca za dużo zapachu Jenny.

Kiedy wchodzę do domu, właśnie zaczynają jeść. Jenny siedzi koło Petera, ale na mój widok nie podnosi wzroku znad talerza nawet wtedy, kiedy koło niej siadam. Wydaje się przy mnie taka wielka, a jednocześnie tak jest nisko pochylona nad talerzem, jakby wołała, żeby jej nie było, więc robi mi się jej żal i mam ochotę się do niej odezwać. Ale nic mi nie przychodzi do głowy.

Prawdę powiedziawszy, nikt nie ma nic do powiedzenia podczas tego posiłku, każdy jeździ nożem i widelcem po talerzu i tylko od czasu do czasu ktoś mruknie, żeby mu coś podać. Zwykle bywa inaczej w czasie jedzenia, zawsze coś się dzieje. Ale dziś jest między nami Jenny, cichsza niż ktokolwiek z nas i większa, ze wzrokiem wbitym w talerz. Sam odchrząkuje i spogląda na nasz koniec stołu, na Jenny, spoglądamy wszyscy, z wyjątkiem jej jednej, która jakby na coś czekała. Sam znów odchrząkuje i mówi:



— Gdzie przedtem mieszkałaś, Jenny? — Ponieważ nikt się nie odzywa, brzmi to drętwo, jakby Sam był w jakimś biurze i wypełniał dla niej urzędowy formularz, a Jenny, w dalszym ciągu nie podnosząc wzroku znad talerza, odpowiada:

— W Manchesterze. — I patrzy na Sama. — Miałam tam mieszkanie. — I wydaje swoje krótkie szczeknięcie, prawdopodobnie dlatego, że wszyscy jej słuchamy i się na nią gapimy; a potem znów pochyla się nad swoim talerzem, podczas kiedy Sam mówi coś w rodzaju: „Aha, rozumiem”, zastanawiając się jednocześnie, co by tu jeszcze powiedzieć. Na górze Alice zaczyna płakać, więc Kate wstaje, znosi ją na dół i sadza sobie na kolanach. Mała przestaje płakać i pokazuje na każde z nas po kolei, wykrzykując: „Uch, uch, uch” i tak dalej, dokoła stołu, a my jemy w milczeniu. Jakby nam zwracała uwagę, że nie mamy nic do powiedzenia. Kate każe jej być cicho, na swój smutny sposób, jak zawsze kiedy coś mówi do Alice. Czasem wydaje mi się, że jest taka dlatego, że Alice nie ma ojca. Mała zupełnie nie przypomina matki, jest bardzo jasna i ma za duże uszy. Z rok czy dwa lata temu, kiedy była niemowlakiem, myślałem, że jej ojcem jest José.

Ale on ma czarne włosy i właściwie w ogóle nie zwraca na nią uwagi. Kiedy już wszyscy skończyli gorące danie, pomagam Kate zebrać naczynia, a Jenny proponuje, że weźmie Alice na kolana.

Alice w dalszym ciągu pokrzykuje i wskazuje na różne przedmioty w pokoju, ale na kolanach u Jenny uspokaja się. Może dlatego, że to największe kolano, jakie kiedykolwiek widziała. Kate i ja wnosimy owoce oraz herbatę i podczas kiedy obieramy

pomarańcze i banany, jemy jabłka z własnych drzew, nalewamy herbatę i podajemy dzbanuszki z mlekiem i cukier, wszyscy

zaczynają mówić i śmiać się jak zwykle, jakby ich nic nie hamowało. A Alice ma rzeczywiście prawdziwą frajdę, siedząc na tych kolanach Jenny, która robi ze swoich nóg galopujące konie albo ląduje nagle na brzuszku Alice ręką, jakby to był ptak, albo pokazuje jej różne sztuczki z palcami i mała cały czas krzyczy, że chce jeszcze. Pierwszy raz w życiu słyszałem, żeby tak się śmiała.

A potem Jenny patrzy na Kate, która obserwuje ich zabawę z takim wyrazem twarzy, jakby oglądała telewizję. Jenny oddaje Alice matce — nagle czuje się winna, że tak długo trzymała małą na kolanach i że było im tak dobrze. Alice cały czas domaga się:

„jeszcze, jeszcze”, kiedy jest już w drugim końcu stołu, a nawet pięć minut później, kiedy matka niesie ją na górę do łóżka.

Na prośbę mojego brata wcześniej rano nazajutrz zanoszę

Jenny kawę do pokoju. Kiedy wchodzę, jest już ubrana, siedzi przy stole i przykleja znaczki do listów. Robi wrażenie mniejszej niż wczoraj wieczorem. Okno jest szeroko otwarte i do pokoju wpada poranne powietrze, i wygląda na to, że Jenny już dawno wstała.

Przez okno widzę rzekę wijącą się pomiędzy drzewami, lekką i spokojną w słońcu. Zamierzam wyjść na dwór. Mam ochotę przed śniadaniem zobaczyć swoją łódkę. Ale Jenny chce pogadać. Każe mi siąść na łóżku i powiedzieć coś o sobie. Nie zadaje mi żadnych pytań, a ponieważ nie wiem, jak zacząć, siedzę cicho i patrzę, jak adresuje listy i popija kawę. Ale mnie to nie przeszkadza. Pokój jest w porządku. Powiesiła na ścianie dwa obrazki. Jeden to fotografia w ramce przedstawiająca małpę w zoo, która zwisa z gałęzi do góry nogami, z dzieckiem przytulonym do brzucha.

Łatwo zgadnąć, że to zoo, bo w dolnym rogu fotografii widać czapkę dozorca i kawałek

jego twarzy. Drugi obrazek to kolorowa ilustracja wycięta z pisma i przedstawiająca dwoje dzieci, które biegają brzegiem morza, trzymając się za ręce. Słońce zachodzi i wszystko ma kolor głębokiej czerwieni, nawet dzieci. Jest to bardzo dobry obrazek. Jenny kończy listy i pyta mnie, gdzie chodzę do szkoły. Mówię jej o nowej szkole, do której mam pójść po wakacjach, o dużej szkole ogólnokształcącej w Reading. Ale jeszcze tam nie byłem, więc nie mam wiele do powiedzenia.

Widzi, że znów wyglądam przez okno.

— Idziesz nad rzekę? — pyta.

— Tak, muszę zajrzeć do mojej łodzi.

— Mogę iść z tobą? Pokazałbyś mi rzekę, co? — Czekam na nią przy drzwiach i patrzę, jak wciska swoje pulchne, różowe stopy w płaskie, małe pantofle i jak czesze króciutkie włosy szczotką, która ma na odwrocie lustereko. Idziemy przez trawnik do furty w końcu ogrodu i dalej ścieżką wśród wysokich paproci. W połowie drogi nad rzekę przystaję, żeby posłuchać trznadla, a ona mi mówi, że nie potrafi odróżnić po śpiewie żadnego ptaka. Większość dorosłych nigdy by się nie przyznała, że czegoś nie wie. Kawalek dalej przystajemy więc znów pod starym dębem, tuż przed miejscem, w którym ścieżka dochodzi do nabrzeża, żeby mogła posłuchać kosa. Wiem, że tam siedzi kos, zawsze o tej porze rano tu śpiewa. Kiedy dochodzimy, milknie i musimy chwilę spokojnie poczekać, żeby znów zaczął. Stojąc tak przy na pół spróchniałym starym pniu, słyszę inne ptaki na drzewach i szum rzeki podmywającej brzeg za zakrętem. Ale nasz ptak odpoczywa. Coś w tym milczącym czekaniu musi działać Jenny na nerwy, bo ścisza sobie mocno nos, żeby nie wydać tego swojego szczeknięcia. Ale ja tak bardzo chcę, żeby usłyszała kosa, że kładę jej rękę na ramieniu, i kiedy to robię, Jenny puszcza nos i uśmiecha się do mnie. I dosłownie kilka sekund później kos rozpoczyna swoją długą, skomplikowaną piosenkę. Przez cały czas czekał, żebyśmy się uspokoili. Wychodzimy na pomost i pokazuję Jenny moją łódkę przywiązaną na końcu. Jest to łódka wiosłowa, zielona z wierzchu i czerwona w środku jak owoc. Przez całe lato przychodziłem tu codziennie, żeby sobie wiosłować, malować ją, wyczerpywać z niej wodę, a czasami tylko popatrzeć. Kiedyś powiosłowałem siedem mil w górę rzeki, a potem resztę dnia spędziłem, dryfując z powrotem. Siedzimy na krawędzi pomostu, patrząc na moją łódkę, na wodę i na drzewa po drugiej stronie. A potem Jenny spogląda z prądem rzeki i mówi:

— Tam jest Londyn. — Londyn to straszliwa tajemnica, przed którą staram się uchronić rzekę, bo ona o nim jeszcze nie wie, kiedy przepływa koło naszego domu. Więc kiwam tylko głową i nic nie mówię. Jenny pyta, czy może wsiąść do łódki. Z początku boję się, że ona jest za ciężka. Ale oczywiście nie mogę jej tego powiedzieć. Wychyliam się z pomostu i przyciągam łódkę za linę, żeby mogła wsiąść. Wsiada wśród pomrukiwania i kołysania. A ponieważ wcale nie widać, żeby łódka się specjalnie zanurzyła, więc wsiadam i ja i z tego nowego poziomu obserwujemy rzekę, bo dopiero stąd widać, jak bardzo jest ona stara i silna. Siedzimy dłuży czas i rozmawiamy. Najpierw mówię Jenny, jak to dwa lata temu moi rodzice zginęli w

wypadku samochodowym i jak mój brat wpadł na pomysł, żeby z naszego domu zrobić coś w rodzaju komuny. Z początku planował, że

będziemy tu mieli ponad dwadzieścia osób, ale teraz wydaje mi się, że chce zmniejszyć tę liczbę do jakichś ośmiu. A potem Jenny opowiada mi, jak była nauczycielką w dużej szkole w Manchesterze i jak dzieciaki się z niej śmiały, że jest taka tłusta.

Wygląda na to, że mówienie o tym nie sprawia jej przykrości. Ma do opowiedzenia dużo zabawnych historyjek z tamtych czasów.

Kiedy wspomina, jak to uczniowie zamknęli ją w szafie na książki, zarykujemy się ze śmiechu tak, że łódka kołysze się na boki i wysyła spod siebie drobne falki. Tym razem śmiech Jenny jest swobodny i jak gdyby rytmiczny, nie taki wymuszony i szczekliwy jak poprzednio. W powrotnej drodze poznaje po śpiewie dwa kosy i kiedy idziemy przez trawnik, pokazuje mi jeszcze trzeciego.

Kiwam głową. Tak naprawdę to jest to drozd, ale za bardzo chce mi się jeść, żeby jej tłumaczyć, czym się różnią.

Trzy dni później słyszę, jak Jenny śpiewa. Jestem na podwórku i usiłuję złożyć rower z części, i słyszę ją przez otwarte okno kuchenne. Jenny przygotowuje lunch i pilnuje Alice, bo Kate poszła do przyjaciół z wizytą. Jest to piosenka, której słów Jenny nie zna, na pół wesoła, na pół smutna, i Jenny śpiewa ją Alice jak stara zachrypnięta Murzynka. *Nowy facet rano la-la-la-la, nowy facet rano la-la-la-la, nowy facet rano zabierze mnie stąd.* Po południu zapraszam ją na łódkę i Jenny śpiewa inną piosenkę, ale na tę samą melodię, tyle że tym razem zupełnie bez słów. *Ja-la-la-la, ja-laaa, ja-eee.* Rozkłada ręce i przewraca swoimi ogromnymi, powiększonymi oczami, jakby to była serenada przeznaczona specjalnie dla mnie. Tydzień później cały dom rozbrzmiewa piosenkami Jenny; czasem, jeśli pamięta słowa, zaśpiewa linijkę albo dwie, ale najczęściej jest to sama melodia. Jenny spędza dużo czasu w kuchni i tam właśnie śpiewa najwięcej. Jakoś potrafi zrobić tak, że kuchnia wydaje się przestronniejsza. Zeskrobuje farbę z szyb od strony północnej, żeby wpuścić więcej światła.

Nikt z nas nie wie, po co to okno w ogóle zostało zamalowane.

Wynosi też stół i dopiero kiedy go nie ma, wszyscy zdają sobie sprawę, jak bardzo tam przeszkadzał. Któregoś popołudnia maluje jedną ścianę na biało, żeby kuchnia wyglądała na większą, i ustawia garnki i talerze tak, żeby zawsze było wiadomo, gdzie co jest i żeby nawet ja mógł do nich sięgnąć. Robi z naszej kuchni pomieszczenie, w którym każdy sobie z przyjemnością posiedzi, jak nie ma nic lepszego do roboty. Jenny sama piecze chleb i ciasto, wszystko to, po co myśmy zawsze chodzili do sklepu.

Trzeciego dnia jej pobytu u nas odkrywam, że mam świeżą pościel. Bieliznę pościelową, w której spałem przez całe lato, i większość moich rzeczy zabiera do prania. Całe jedno popołudnie poświęca na zrobienie curry i tego dnia kolacja jest najlepszym posiłkiem, jaki zdarzyło mi się jeść w ciągu dwóch lat. Kiedy jej mówię, jakie to dobre, Jenny się denerwuje i wydaje z siebie swój szczekliwy śmiech. Widzę, jak innych ten jej śmiech krępuje w dalszym ciągu, jak się odwracają, jakby to było coś

nieapetycznego, na co nie wypada patrzeć. Ale mnie to już zupełnie nie przeszkadza, nawet tego nie słyszę, chyba że są przy stole inni i się odwracają. Prawie wszystkie popołudnia spędzamy razem na rzece — próbuję uczyć Jenny wiosłowania i słucham jej opowieści z czasów, kiedy była nauczycielką i kiedy pracowała w domu towarowym i obserwowała starych ludzi, jak przychodzili kraść bekon i masło. Uczę ją głosów różnych ptaków, ale jedyny, którego naprawdę dobrze zapamiętała, jest ten pierwszy,

kos. U

siebie w pokoju pokazuje mi zdjęcia swoich rodziców i brata i mówi:

— Tylko ja jestem gruba. — Ja jej też pokazuję zdjęcia

swoich rodziców. Jedno z nich zostało zrobione na miesiąc przed ich śmiercią: schodzą po schodach, trzymając się za ręce i śmieją się z czegoś, czego już na zdjęciu nie widać. Śmieli się z mojego brata, który się wygłupiał specjalnie, żeby ich rozśmieszyć do fotografii robionej przeze mnie. Dostałem właśnie aparat na dziesiąte urodziny i było to jedno z pierwszych zdjęć, jakie nim zrobiłem. Jenny przygląda mu się długo i mówi coś w tym rodzaju, że matka robi wrażenie bardzo miłej osoby, i nagle widzę ją jako po prostu kobietę na zdjęciu, pierwszą lepszą kobietę, i po raz pierwszy wydaje mi się ona kimś dalekim, nie kimś, kto jest w środku w mojej głowie i stamtąd wygląda, tylko kimś, kto jest na zewnątrz, na kogo patrzę ja czy Jenny, czy ktokolwiek, kto akurat weźmie zdjęcie do ręki. Jenny bierze ode mnie fotografię i odkłada ją razem z innymi do pudełka po butach. Kiedy schodzimy na dół, zaczyna długą opowieść o swoim przyjacielu, który wystawił

sztukę i ta sztuka kończyła się nieoczekiwanie i cicho. Przyjaciel chciał, żeby Jenny rozpoczęła klaskę po zakończeniu, ale Jenny jakoś źle go zrozumiała i zaczęła klaskać na piętnaście minut przed końcem, podczas tej cichej sceny, tak że ostatnia część sztuki została zupełnie zagłuszona, zwłaszcza że ludzie klaskali tym głośniejsze, im mniej rozumieli. Cała ta opowieść, jak sądzę, jest obliczona na to, żebym przestał myśleć o mamie i rzeczywiście przestaję.

Kate spędza coraz więcej czasu u swoich przyjaciół w

Reading. Pewnego ranka wchodzi do kuchni bardzo wystrojona, w skórzany kostium i długie skórzane buty. Siada naprzeciwko mnie i czeka, aż Jenny zejdzie na dół i będzie jej mogła powiedzieć, co ma dać Alice do jedzenia i kiedy wróci. Przypomina mi to inny ranek, prawie dwa lata temu, kiedy Kate zeszła do kuchni w takim samym kostiumie. Usiadła przy stole, rozpięła bluzkę i zaczęła wyciskać palcami niebieskawobiałe mleko do butelki najpierw z jednego cycka, a potem z drugiego. Jakby zupełnie nie widziała, że siedzę naprzeciwko niej.

— Po co to robisz? — zapytałem.

Odpowiedziała:

— To jest dla Janet, żeby dała później Alice. Ja muszę wyjść.

— Janet to była taka jedna czarna dziewczyna, która tu u nas mieszkała. Dziwnie było patrzeć, jak Kate doi się do tej butelki.

Pomyślałem wtedy, że jesteśmy tylko zwierzętami, tyle że ubranymi, które zachowują się bardzo dziwnie, jak małpy na przyjęciu. Ale my się na ogół szybko do siebie przyzwyczajamy.

Zastanawiam się, czy i Kate też się tamto przypomniało, kiedy tak ze mną tu siedzi. Ma usta umalowane pomarańczową szminką i

włosy związane do tyłu i przez to wydaje się jeszcze chudsza niż zwykle. Ta jej szminka jest fosforyzująca jak znak drogowy. Co minutę Kate spogląda na zegarek i wtedy cała ta skóra na niej skrzipi. Wygląda jak jakaś piękność z kosmosu. A potem pojawia się w kuchni Jenny w ogromnym szlafroku pozszywanym z łątek i ziewa, bo dopiero co wstała z łóżka, i Kate mówi do niej bardzo szybko i cicho o jedzeniu dla Alice. Jak gdyby mówienie o takich rzeczach sprawiało

jej przykrość. Wreszcie łapie torebkę i wybiega z kuchni, wołając przez ramię: „Cześć!”. Jenny siada przy stole i pije herbatę, i rzeczywiście wygląda tak, jakby była wielką niańką, która zostaje w domu, żeby się zajmować córką bogatej pani.

*Yo 'daddy's rich and yo 'mama's good-lookin', lah la-la-la la-la don 'yo 'cry.* Jest coś szczególnego w tym, jak inni traktują Jenny.

Jakby ona była poza nawiasem, jakby nie była taka sama jak oni wszyscy. Przyzwyczaili się do tego, że gotuje solidniejsze posiłki i piecze ciasto. Już teraz nikt tego nie komentuje. Czasem

wieczorami Peter, Kate, José i Sam siedzą i palą haszysz w skleconej domowym sposobem przez Petera nargili i słuchają bardzo głośnej muzyki stereo. Jenny zwykle wtedy idzie do siebie na górę, nie lubi być z nimi, kiedy to robią, a oni chyba mają jej to za złe. Ale chociaż ona jest dziewczyną, nie ma tej urody co Kate czy Sharon, dziewczyna mojego brata. Nie nosi dżinsów ani indyjskich koszul jak one, pewnie dlatego, że nie może dostać na siebie. Chodzi w sukienkach w kwiaty i w zwykłych rzeczach, jakie nosiła moja mama czy ta pani, co pracuje na poczcie. A kiedy się czymś zdenerwuje i wyda z siebie ten swój szczekliwy śmiech, to się mogą założyć, że ją uważają za stukniętą, łatwo poznać po tym, jak się odwracają. No i cały czas pamiętają, jaka ona jest tłusta. Czasem, jak jej akurat nie ma, Sam mówi o niej Krawiec Niteczka i wtedy wszyscy ryczą ze śmiechu. Nie dlatego, żeby jej nie lubili, nic z tych rzeczy, po prostu jakoś trudno to opisać, jak oni trzymają się z dala od niej. Jednego razu, kiedy byliśmy nad rzeką, Jenny zapytała mnie o haszysz.

— Co ty o tym wszystkim myślisz? — zapytała, a ja jej odpowiedziałem, że brat nie pozwala mi spróbować, dopóki nie skończę piętnastu lat. Wiem, że ona jest przeciwna takim rzeczom, ale już więcej nie mówi na ten temat. Tego samego popołudnia robię jej zdjęcie, jak oparta o drzwi kuchenne trzyma na rękach Alice i mruży oczy przed słońcem. A potem ona fotografuje mnie, jak jeżdżę bez trzymanki po podwórku na tym rowerze, co go poskladałem z części.

Trudno właściwie powiedzieć, w którym momencie Jenny staje się matką Alice. Z początku zajmuje się nią tylko wtedy, kiedy Kate odwiedza swoich przyjaciół. A potem te wizyty robią się coraz częstsze, niemal codzienne. Wobec tego spędzamy dużo czasu nad rzeką we trójkę — Jenny, Alice i ja. Koło pomostu jest porośnięty trawą brzeg, który schodzi w dół do malej plaży szerokości około sześciu stóp. Jenny siaduje na tym brzegu i bawi się z Alice, a ja w tym czasie dłubię przy mojej łódce. Kiedy po raz pierwszy wsadzamy Alice do łódki, kwiczy jak prosiak. Nie ma zaufania do wody. Musi minąć sporo czasu, nim zdecyduje się stanąć na plaży, a kiedy w końcu staje, ani na chwilę nie spuszcza oka z wody w strachu, że ta woda na nią wpełźnie. Ale kiedy widzi, jak Jenny macha do niej z łódki, zupełnie bezpieczna, zmienia zdanie i robimy wyprawę na drugą stronę rzeki. Malej wcale nie przeszkadza, że nie ma Kate, bo ona lubi Jenny, która jej śpiewa urywki piosenek i cały czas do niej mówi, kiedy siedzą na porośniętym trawą brzegu rzeki. Alice słowa z tego nie rozumie, ale lubi dźwięk głosu Jenny, lubi, jak do niej mówi i mówi.

Czasem pokazuje na jej usta i prosi: „jeszcze, jeszcze”. Kate jest zawsze taka smutna i cicha; rzadko ktoś odzywa się bezpośrednio do malej. Kiedyś Kate nie wraca na noc do domu i przychodzi dopiero następnego dnia rano. Alice siedzi właśnie na kolanach u Jenny i

rozsmarowuje po stole kuchennym swoje śniadanie, kiedy wpada Kate, łapie małą, przytula i pyta w kółko, nie czekając na odpowiedź:

— Czy nic się Alice nie stało? Czy nic się Alice nie stało?

Czy nic się Alice nie stało? — Ale po południu Alice znów jest z Jenny, bo Kate znów musi gdzieś wyjść. Jestem właśnie w

korytarzu przy kuchni i słyszę, jak mówi, że będzie wczesnym wieczorem, a kilka minut potem widzę, jak idzie podjazdem z niewielką walizką. Kiedy się zjawia dwa dni później, zagląda tylko po prostu, żeby zobaczyć, czy jest Alice, i zaraz potem idzie do siebie na górę. Nie zawsze jest tak fajnie mieć bez przerwy przy sobie Alice. Nie możemy popłynąć łódką nigdzie dalej. Po jakichś dwudziestu minutach mała znów robi się nieufna i chce wracać. A jak się gdzieś wybieramy, trzeba ją prawie całą drogę nieść. Z tego powodu nie mogę pokazać Jenny niektórych moich ulubionych

miejsc nad rzeką. Pod koniec dnia Alice robi się nieznośna, zaczyna jęczeć i płakać o byle co, bo jest zmęczona. Mam już tego dosyć. Większość czasu Kate spędza u siebie w pokoju. Któregoś popołudnia, kiedy wchodzę do niej z herbatą, zastaję ją śpiącą na krześle. Mając bez przerwy Alice na głowie, nie rozmawiamy już tyle z Jenny co na samym początku. Nie dlatego, że Alice nas słucha, ale dlatego, że Jenny jest nią bez przerwy zajęta. Tak naprawdę o niczym innym właściwie nie myśli i robi wrażenie, jakby nie chciała z nikim poza Alice rozmawiać. Któregoś

wieczoru siedzimy wszyscy po kolacji we frontowym pokoju. Kate jest w korytarzu i klóci się z kimś długo przez telefon. Wreszcie kończy, wchodzi, siada hałaśliwie i znów zaczyna czytać. Ale ja widzę, że jest zła i że w gruncie rzeczy wcale nie czyta. Przez chwilę nikt się nie odzywa, a potem Alice zaczyna płakać na górze i wołać Jenny. Jenny i Kate jednocześnie podnoszą wzrok i przez moment patrzą na siebie nawzajem. A potem Kate wstaje i

wychodzi. Wszyscy udajemy, że czytamy, ale tak naprawdę to nasłuchujemy jej kroków na schodach. Słyszymy, jak wchodzi do pokoju Alice, który jest dokładnie nad nami, i jak Alice krzyczy coraz głośniejsze domagając się Jenny. Kate schodzi na dół, tym razem szybko. Kiedy się zjawia, Jenny podnosi wzrok i znów wpatrują się w siebie przez chwilę. I cały czas Alice woła Jenny.

Jenny wstaje i przeciska się w drzwiach obok Kate. Nie odzywają się do siebie. A my, reszta, Peter, Sam, José i ja w dalszym ciągu udajemy, że czytamy, ale naprawdę to nasłuchujemy kroków Jenny na schodach. Płacz cichnie i Jenny dość długo nie wraca. Kiedy wchodzi, Kate siedzi na swoim miejscu, z pismem w ręku. Jenny siada i nikt nie podnosi oczu, nikt się nie odzywa.

Nagle jest już po lecie. Pewnego ranka Jenny wchodzi do mnie ściągając z mojej pościeli brudną bieliznę i zabrać, co się da z ubrania. Wszystko musi zostać uprane, zanim pójdę do szkoły. A potem każe mi posprzątać pokój, stare komiksy, talerze i kubki, które zebrały się pod moim łóżkiem przez lato, cały kurz i puszki farby, której używałem do malowania łódki. Znajduje w garażu mały stolik, który razem wnosimy do mojego pokoju, ma mi

służyć za biurko do odrabiania lekcji. Jenny zaprasza mnie na coś do miasteczka, ale nie chce mi powiedzieć na co. Kiedy jesteśmy na miejscu, okazuje się, że chodzi o strzyżenie. Mam już uciekać, kiedy Jenny kładzie mi rękę na ramieniu.

— Nie bądź głupi — mówi. — Nie pójdziesz tak przecież do

szkoły. Nie przeżyjesz jednego dnia. — Więc siedzę spokojnie i pozwalam fryzjerowi ściąć całe to moje lato, podczas kiedy Jenny zza moich pleców śmieje się z ponurej miny, którą robię do niej w lustrze. Bierze jakieś pieniądze od mojego brata Petera i jedziemy autobusem do miasta, żeby mi kupić szkolny mundurek. Trochę głupio teraz po tych naszych wspólnych wypadach nad rzekę nagle jej słuchać we wszystkim. Ale mnie to nie przeszkadza, naprawdę, właściwie nie ma powodu, żebym nie robił tego, co ona mi każe.

Prowadzi mnie przez główne ulice handlowe, do sklepów z obuwem i ubraniem, i kupuje mi czerwony blezer i czapkę, dwie pary czarnych skórzanych butów, sześć par szarych skarpet, dwie pary popielatych spodni i pięć popielatych koszul i cały czas mówi: „Podobają ci się te? Podoba ci się to?”, ale ponieważ nie zależy mi na żadnym szczególnym odcieniu szarego, zgadzam się na to, co ona uzna za najlepsze. W godzinę jest po wszystkim.

Wieczorem opróżnia moje szuflady z kolekcji kamieni, żeby tam schować nowe ubranie, i każe mi włożyć to, co kupiła. Wszyscy na dole pękają ze śmiechu, zwłaszcza jak wkładam czerwoną czapkę.

Sam mówi, że wyglądam jak kosmiczny listonosz. Przez trzy wieczory z rzędu muszę skrobać kolana szcnotką do paznokci, żeby się pozbyć brudu spod skóry.

W niedzielę, na dzień przed rozpoczęciem szkoły, idę na łódkę z Jenny i Alice po raz ostatni. Wieczorem mamy z Peterem i Samem wciągnąć ją na brzeg i przywlec ścieżką i przez trawnik do garażu na zimę. A potem zbudujemy nowy pomost, mocniejszy.

Jest to ostatnia letnia wyprawa łódką. Jenny bierze Alice na rękę i wsiada, a ja przyciskam łódź do pomostu, żeby się nie kołysała.

Kiedy odpycham nas wiosłem, Jenny zaczyna jedną ze swoich piosenek. *Jeeezu, zejdź do nas, Jeeezu, zejdź do nas, Jeeezu, zejdź do nas, lah, la-la-la-la.* Alice stoi między kolanami Jenny i patrzy, jak wiosłuję. Śmiesz się, jak wyginam ramiona do przodu, a potem do tyłu. Uważa, że to jakaś gra, w którą się z nią bawię, to przybliżając się do jej buzi, to oddalając. Dziwny jest ten nasz ostatni dzień na rzece. Kiedy Jenny przestaje śpiewać, żadne z nas przez dłuższy czas się nie odzywa. Tylko Alice śmieje się do mnie.

Na rzece panuje spokój, ale śmiech niesie się gdzieś po wodzie donikąd. Słońce jest bladeżółte, jakby się na koniec lata zupełnie wypaliło, na brzegach wśród drzew nie ma wiatru, nie słychać ptaków. Nawet wiosła nie wydają żadnego odgłosu. Wiosłuję pod prąd, mając słońce w plecy, ale jest tak słabe, że go prawie nie czuję, za blade nawet, żeby rzucać cienie. Przed nami pod dębem stoi stary człowiek i łowi ryby. Kiedy podpływamy tak, że

jesteśmy równo z nim, przygląda się nam, a my przyglądamy się jemu. Jego twarz się nie zmienia, kiedy na nas patrzy. Nasze twarze też się nie zmieniają, nikt nie mówi: „halo”.

Mężczyzna trzyma w ustach długie źdźbło trawy i kiedy zostawiamy go za sobą, wyjmuje je z ust i spluwa do rzeki. Jenny pruje ręką gęstą wodę i obserwuje brzeg, jakby to było coś, co widywała jedynie w wyobraźni. Pod wpływem tego wydaje mi się, że tak naprawdę to ona nie ma ochoty być tu ze mną na rzece. Że przyszła tylko z powodu naszych dotychczasowych wypraw na wiosła i dlatego, że jest to ostatni raz tego lata. Na myśl o tym robi mi się smutno i nawet trudniej mi idzie wiosłowanie. A potem, mniej więcej po półgodzinie, Jenny spogląda na mnie i się uśmiecha i już naprawdę nie wiem, czy to, że ona nie chce tu być ze mną na rzece, tylko sobie ubzdurałem, bo zaczyna mówić o lecie i o tym wszystkim, co robiliśmy. I w jej ustach brzmi to bardzo fajnie,

znacznie fajniej, niż było naprawdę. Mówi o naszych długich spacerach, o tym jak pływaliliśmy z Alice przy brzegu, jak ją uczyłem wiosłowania i rozpoznawania różnych ptaków po śpiewie i jak czasem

wstawaliśmy wcześniej, kiedy jeszcze wszyscy spali, i pływaliliśmy do śniadania. Jenny zachęca mnie, żebym się włączył,

wspominając to wszystko, cośmy razem robili — na przykład jak nam się wydawało, że widzieliśmy jemiołuszkę, to znów jak

czekaliśmy wieczorem za krzakiem na borsuka, żeby wyszedł ze swojej nory. Bardzo szybko zaczęliśmy się podniecać

wspominaniem lata i tym, co będziemy robili w przyszłym roku, krzycząc i śmiejąc się w martwej ciszy. I wtedy Jenny mówi:

— A jutro wkładasz czerwoną czapkę i idziesz do szkoły. —

Jest coś zabawnego w sposobie, w jaki to powiedziała, niby poważnie, jakby mnie rugała, grożąc mi palcem — jeszcze nie widziałem w życiu nic równie śmiesznego. No i sam pomysł, że najpierw robimy to wszystko przez całe lato, a potem na koniec wkładam czerwoną czapkę i zapycham do szkoły. Zaczynamy

się śmiać, jakbyśmy nigdy nie mieli przestać. Muszę odłożyć wiosła. Nasze ryki i chichoty są coraz głośniejsze, bo stojące powietrze nie chce ich nieść po wodzie i cały ten hałas zostaje z nami w łódce. Za każdym razem, kiedy spotykamy się wzrokiem, zaśmiewamy się jeszcze gwałtowniej i jeszcze głośniej, tak że zaczyna mnie po obu stronach boleć brzuch i niczego tak bardzo nie pragnę, jak przestać. Alice uderza w płacz, bo zupełnie nie rozumie, co się dzieje, a to nas rozśmiesza jeszcze bardziej. Jenny wychyla się z łódki, żeby na mnie nie patrzeć. Ale jej śmiech robi się coraz bardziej nerwowy i suchy, dobywa z gardła krótkie, twarde szczeknięcia jak kamyki. Wielka, różowa twarz i grube ramiona Jenny trzęsą się w napięciu, z wysiłku, żeby zaczerpnąć tchu, ale całe powietrze wychodzi z niej w postaci małych

kamyczków. Cofa się więc do wnętrza łódki. Jej usta się śmieją, ale oczy ma przerażone, suche. Trzymając się za brzuch, obolała od śmiechu, pada na kolana i pociąga za sobą Alice. Łódka

wywraca się. Wywraca się, ponieważ Jenny upada na burtę, ponieważ Jenny jest duża, a moja łódka mała. Wszystko to dzieje się bardzo szybko, tak szybko jak trzask migawki w moim

aparacie, i nagle znajduję się głęboko na zielonym dnie rzeki, wierzchem dłoni dotykam zimnego, miękkiego mułu i czuję na

twarzy trzciny. Koło ucha słyszę śmiech jak tonące kamyki. Ale odpychając się od dna, nie czuję koło siebie nikogo. A kiedy wypływam na powierzchnię, na rzece jest ciemno, długo mnie nie było. Dotykam czegoś głową i orientuję się, że jestem wewnątrz przewróconej łódki. Idę znów pod wodę i wypływam z drugiej

strony. Dłuższy czas nie mogę złapać tchu. Okrążam łódkę, bez przerwy wołając Jenny i Alice. Zanurzam usta w wodzie i wołam je po imieniu. Ale nikt nie odpowiada, nic nie narusza powierzchni. Poza mną nie ma na rzece nikogo. Więc uczepiony łódki czekam w wodzie, aż one wypłyną. Czekam długo, dryfując razem z łódką, ze śmiechem, który jeszcze ciągle mam w sobie, i obserwuję rzekę i żółte plamy zachodzącego słońca na niej.

Czasem chwytają mnie gwałtowne dreszcze w nogach i w plecach, ale przeważnie jestem spokojny, wiszę uczepiony zielonej łupiny, o niczym nie myśląc, z pustką w głowie, i tylko czekam, aż się rozstąpi powierzchnia wody i żółte plamy się rozpierzchną. Mijam miejsce, gdzie tamten mężczyzna łowił ryby, i wydaje mi się, że było to bardzo dawno. Nie ma go już, została



po nim tylko

papierowa torba. Ze zmęczenia zamykam oczy i mam wrażenie, że jestem w domu, leżę w łóżku, jest zima i mama przychodzi do mojego pokoju powiedzieć mi dobranoc. Gasi światło, a ja

osuwam się do wody. A potem wszystko mi się przypomina i od nowa wołam Jenny i Alice, i obserwuję rzekę, i znów oczy mi się zamykają, i mama wchodzi do pokoju, mówi mi dobranoc i gasi światło, a ja znów osuwam się do wody. Po dłuższym czasie

zapominam już o tym, żeby wołać Jenny i Alice, po prostu uczepiony łódki dryfuję wraz z nią. Patrzę na brzeg w miejscu, które tak dobrze znam. Poznają piaszczystą łachę koło pomostu i spleść trawy. Żółte plamy toną, kiedy odpycham się od łódki.

Niech ją nurt niesie aż do Londynu — ja łamiąc czarne lustro wody, płynę wolno w stronę pomostu.

### **KUSIAK W TEATRZE**

Na deskach leżał kurz, tło było niedomalowane, a oni wszyscy stali nadzy na scenie, grzejąc się w ciepłe ostre światła, które wydobywały z mroku tańczące w powietrzu drobiny pyłu.

Nie było gdzie usiąść, więc kręcili się w miejscu bezradnie. Nie mieli kieszeni, w których mogliby trzymać ręce; nie mieli papierosów.

— Czy to wasz pierwszy raz?

Dla wszystkich był to pierwszy raz, ale wiedział o tym tylko reżyser. Rozmawiali jedynie przyjaciele, cicho i też nie bez przerwy. Reszta milczała. Jak nadzy obcy sobie ludzie mają zacząć rozmowę? Tego nie wiedział nikt. Profesjoniści — z powodów profesjonalnych — oceniali nawzajem swoje narządy, podczas gdy pozostali, przyjaciele przyjaciół reżysera, potrzebujący gotówki, patrzyli na kobiety, udając, że tego nie robią. Jasmin, który gdzieś na końcu widowni rozmawiał z projektantką kostiumów, zawołał w swoim cockneyu rodem z Welsh Camp:

— Wszyscy zmasturbowani, chłopcy? Dobrze. (Nikt się nie odezwał). Pierwsza erekcja i won za drzwi. To jest przyzwoity spektakl.

Niektóre z kobiet zaczęły chichotać, mężczyźni nieprofesjoniści wyszli z zasięgu światła, dwaj technicy wnieśli na scenę zrolowany dywan. Powiedzieli: „Uwaga na tyłki”, i wszyscy poczuli się bardziej nadzy niż dotychczas. Jakiś mężczyzna w australijskim kapeluszu i białej koszuli ustawił w kanale dla orkiestry magnetofon. Z pogardą przewijał taśmę. Była to scena kopulacji.

— Dawaj W.K., Jack — zwrócił się do niego Jasmin. — Niech najpierw tego posłuchają. — Przy czterech wielkich głośnikach nie było dokąd uciec.

*Któż nie wie, że to fakt — wstydlivy płciowy akt.*

*Niech wie to cała nacja:*

*Wte i wewte, raz, dwa, trzy*

*— Wielka Kopulacja.*

Były wysokie tony skrzypiec, orkiestra wojskowa, a po chórze marsz w triumfalnym rytmie raz-dwa, z puzonami, werblami i dzwonekami. Zbliżający się przejściem między rzędami krzeseł Jasmin podszedł do sceny.

— To jest wasza pieprzona muzyka, chłopcy i dziewczęta. — Rozpiął koszulę pod szyją. Sam był jej autorem.

— Gdzie jest Dale? Potrzebuję Dale.

Z ciemności wyłoniła się choreografka. Była ubrana w przepasany szerokim paskiem elegancki trencz. Miała szczupłą talię, okulary przeciwsłoneczne i była uczesana w kok à la lukrowana drożdżówka. Kiedy szła, przypominała nożyczki. Jasmin, nie odwracając się, zawołał do mężczyzny, który akurat wychodził przez drzwi na tyłach widowni:

— Muszę mieć te peruki, drogi Harry. Muszę je mieć. Nie ma peruk, nie ma Harry'ego.

Jasmin usiadł w pierwszym rzędzie. Zetknął palce pod nosem, tworząc rodzaj daszka, założył nogę na nogę. Dale wdrapała się na scenę. Stała pośrodku wielkiego dywanu, ująwszy się jedną ręką pod bok.

— Wyobrażam sobie, że dziewczęta, w przysiadzie, utworzą literę V, po pięć na każdym ramieniu.

Stała w miejscu, w którym miał przypadać wierzchołek, poruszając rękami. Dziewczęta siedziały u jej stóp, a ona cięła powietrze nożycami nóg — tam i z powrotem, tam i z powrotem

— zostawiając za sobą smugę piżma. Pogłębiła V, potem je spłyciła, potem zrobiła z niego podkowę, półksiężyc i wreszcie znów płytkie V.

— Bardzo ładnie, Dale — powiedział Jasmin.

Litera V była skierowana wierzchołkiem w głąb sceny. Dale usunęła dziewczynę ze środka i zastąpiła ją dziewczyną z brzegu.

Bez słowa brała je za łokieć i po prostu przeprowadzała z miejsca na miejsce. Przez ciemne okulary nie widziały jej oczu i nie zawsze wiedziały, czego od nich chce. Do każdej

dziewczyny

przyprowadzała następnie mężczyznę i przyciskając go za ramiona, sadzała naprzeciwko niej. Potem układała razem nogi każdej pary, prostowała im plecy, ustawiała głowy i kazała objąć się ramionami. Jasmin zapalił papierosa. Na dywanie, który

zwykle leżał w foyer, znajdowało się dziesięć par tworzących literę V.

W końcu Dale powiedziała:

— Kiedy klasnę w dłonie, zaczynacie się kiwać w przód i w tył w jednym rytmie.

•••

Zaczęli się kiwać jak dzieci bawiące się w łódź wiosłową. Reżyser poszedł na koniec widowni.

— Myślę, kochani, że musicie zmniejszyć odległość między sobą, dla kogoś, kto patrzy stąd, efekt jest mizerny.

Dale kazała parom zbliżyć się do siebie. Kiedy znów zaczęły się kiwać, słycać było szelest ich włosów łonowych. Ledwie mogły zachować rytm. W dużej mierze zależało to od wprawy.

Jedna para dosłownie wypadła na bok i dziewczyna uderzyła głową o podłogę. Zaczęła rozcierać bolące miejsce i po chwili Dale pospieszyła jej z pomocą, po czym od nowa ustawiła wszystkie pary. Przybiegł Jasmin.

— A teraz spróbujemy z muzyką. Proszę, Jack. I pamiętajcie, dziewczęta i chłopcy, jak się skończy śpiew, ruszacie się w rytmie raz-dwa.

*Któż nie wie, że to fakt — wstydlivy płciowy akt...*

Chłopcy i dziewczęta zaczęli się kiwać, podczas gdy Dale klaskała w dłonie. Raz, dwa, trzy, cztery. Jasmin stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi, w połowie przejścia między rzędami. W pewnym momencie rozplótl ręce i wrzasnął:

— Stop! Dość!

Nagle zrobiło się jak makiem zasiał. Pary zastygły w oczekiwaniu, wpatrzone w ciemność za światłami. Jasmin schodził wolno po stopniach, a kiedy już znalazł się na scenie, mówił bardzo cicho.

— Wiem, że to jest trudne, ale musicie starać się wyglądać tak, jakby wam to sprawiało przyjemność. — Podniósł głos. — Niektórym się to udaje. Zrozumcie, że to jest pieprzenie, a nie pogrzeb. — Zniżył głos. — Spróbujmy jeszcze raz, tym razem z jakimś entuzjazmem. Proszę, Jack.

Dale od nowa ustawiła pary, które wypadły z szyku, i reżyser znów zaczął wchodzić po stopniach na górę. Było lepiej, nie ulegało wątpliwości, że tym razem jest lepiej. Dale stała koło Jasmina, obserwując swoich podopiecznych. Położył jej rękę na ramieniu, uśmiechając się do okularów Dale.

— Jest dobrze, kochanie, będzie dobrze.

— Ta dwójka na końcu dobrze sobie radzi — odparła. — Gdyby wszyscy byli tacy, straciłabym pracę.

*Wte i wewte, raz, dwa, trzy — Wielka Kopulacja.*

Dale zaczęła klaskać, żeby ułatwić aktorom wejście w nowy rytm. Jasmin usiadł w pierwszym rzędzie i zapalił papierosa, po czym krzyknął:

— Ci tam na końcu!... — Dale pokazała palcem na ucho, że nie słyszy, i podeszła do niego.

— Ci na końcu robią to za szybko, nie uważasz?

Przez chwilę przyglądali się im oboje. To prawda, ta dwójka, która spisywała się tak dobrze, była trochę za szybka, trochę poza rytmem. Jasmin znów połączył pod nosem palce, tworząc rodzaj daszka, a Dale swoim przypominającym nożyczki krokiem weszła na scenę i stanąwszy nad dwójką młodych, zaczęła klaskać.

— Raz-dwa, raz-dwa — wykrzykiwała, ale wyglądało na to, że jej nie słyszą, że nie słyszą ani puzonów, ani werbli, ani dzwonek. — Raz-kurwa-dwa! — wrzasnęła Dale, po czym zwróciła się do Jasmina: — Oczekuję od nich jakiegoś elementarnego poczucia rytmu.

Ale Jasmin nic nie słyszał, bo i on się darł:

— Dość! Stop! Wyłącz to, Jack! — Wszystkie pary znieruchomiały, z wyjątkiem tej na końcu, która kiwała się teraz jeszcze szybciej. Znaleźli swój własny falujący rytm. — Boże, oni się naprawdę pieprzą. — I zawołał do technicznych: — Rozdzielcie ich! — A potem do pozostałych par: — Przestańcie się tak głupkowato uśmiechać, bo już nigdy więcej nie dostaniecie pracy w Londynie. A teraz jazda stąd i spotykamy się za pół godziny.

Nie, nie, ty zostań — zwrócił się do Dale zachrypniętym głosem.

— Przepraszam cię, kochanie, wiem, co czujesz. To jest odrażające i świńskie, całą winę biorę na siebie. Powinienem był sam ich wszystkich sprawdzić. To się więcej nie powtórzy. —

Kiedy

Jasmin mówił, Dale niepostrzeżenie czmychnęła w górę widowni i znikła za drzwiami. A tymczasem tamta para kołysała się dalej, tyle że już bez muzyki. Słyszać było tylko skrzypienie desek pod dywanem i ciche jęki kobiety. Techniczni stali z boku, nie wiedząc, co robić.

— Rozdzielić ich! — wrzasnął ponownie Jasmin.

Jeden z technicznych zaczął ciągnąć mężczyznę za ramiona, ale były spocone, więc nie miał punktu zaczepienia. Jasmin odwrócił się; miał łzy w oczach. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Inni, zadowoleni z przerwy, stali, gapiąc się na nieszczęśników. Techniczny, który próbował odciągnąć mężczyznę za ramiona, przyniósł wiadro z wodą. Jasmin wytarł nos.

— Nie bądź śmieszny — wychrypiał Jasmin — teraz to już właściwie mogą skończyć.

I rzeczywiście, kiedy to mówił, para „dobiła” do końca.

Odskoczyli od siebie i dziewczyna wybiegła do szatni, zostawiając partnera na pastwę pozostałych uczestników spektaklu. Jasmin wszedł na scenę, dygocząc z oburzenia; nie mógł powstrzymać ironii.

— No cóż, mój Portnoyu, widzę, że sobie przyrznałeś.

Ulżyło ci, co? — Mężczyzna stał z rękami do tyłu. Jego kutasina, gniewny i lepki, opadał powoli w lekkich skurczach.

— Dziękuję, panie Cleaver, tak — odparł.

— Jak się nazywasz, jeśli można wiedzieć?

— Kusiak.

Ukryty w kanale dla orkiestry Jack parsknął, co było w jego wykonaniu najbliższe śmiechu. Reszta stała, zagryzając usta.

Jasmin nabrał tchu.

— A więc, ty, Kusiaku, i ten dyndający przy tobie malec możecie spieprzać z tej sceny, ale po drodze nie zapomnijcie zabrać Nellie. Mam nadzieję, że znajdziecie sobie jakiś wygodny rynsztok na dwoje.

— Tak, na pewno, panie Cleaver, znajdziemy, dziękuję.

Jasmin wrócił na widownię.

— A wy, reszta, zajmijcie pozycję — powiedział i usiadł.

Były takie dni, kiedy mógł płakać, naprawdę płakać. Ale dziś zapalił papierosa.

## MOTYLE

Pierwszego w życiu trupa zobaczyłem w czwartek. Dzisiaj niedziela i nie ma co robić. I jest gorąco. Nigdy nie przeżyłem w Anglii takiego upału. Bliżej południa zdecydowałem się na spacer.

Stałem przed domem, wahając się. Nie wiedziałem, czy iść w lewo, czy w prawo. Po drugiej stronie ulicy Charlie leżał pod samochodem. Musiał zobaczyć moje nogi, bo zawołał:

— Jak leci? — Nigdy nie wiedziałem, co odpowiedzieć na takie pytanie. Szukałem w myślach odpowiedzi przez kilka sekund, wreszcie rzuciłem:

— Sie masz, Charlie. — Wypełzł spod samochodu. Słońce było po mojej stronie ulicy, świeciło mu prosto w oczy. Oślonił je ręką i odpart:

— Dokąd się wybierasz? — Znów nie wiedziałem. Była niedziela, nie miałem co robić, było za gorąco...

— Idę na spacer... — Przeszedłem ulicę i przyjrzałem się silnikowi, chociaż nic z tego nie rozumiałem. Charlie jest starym człowiekiem, który zna się na silnikach. Reperuje samochody ludziom z naszej ulicy i ich przyjaciółom. Obszedł wóz z ciężką skrzynką narzędzi w ręce.

— To umarła, tak? — Stał, wycierając klucz w szmatę bawełnianą, zamierzał coś robić. Wiedział już oczywiście, ale chciał jeszcze usłyszeć ode mnie tę historię.

— Tak — potwierdziłem. — Umarła. — Czekał na dalszy ciąg. Oparłem się o samochód. Dach był za gorący, żeby go dotknąć. Charlie zaczął mi podpowiadać:

— Ostatni raz ją widziałeś...

— Stałem na moście. Widziałem, jak biegnie nad kanałem.

— Widziałeś, jak...

— Nie widziałem, jak wpada.

Charlie schował klucz do skrzynki. Był gotów z powrotem wpełznąć pod samochód, dając mi po swojemu do zrozumienia, że koniec rozmowy. W dalszym ciągu nie mogłem się zdecydować, w którą mam iść stronę. Charlie powiedział jeszcze, zanim zniknął:

— Wstyd. Wielki wstyd.

Ruszyłem w lewo, bo akurat stałem twarzą w tym kierunku. Przeszedłem kilka ulic pomiędzy ligustrowym żywopłotem a rozgrzanymi zaparkowanymi samochodami. Wszędzie pachniało przygotowaniami do lunchu. Przez otwarte okna słyszałem ten sam program radiowy. Widziałem koty i psy, a bardzo mało ludzi, i to tylko z dużej odległości. Zdjąłem marynarkę i przewiesiłem ją sobie przez rękę. Chciałem być w pobliżu drzew i wody. W tej części Londynu nie ma parków, tylko parkingi. I jest kanał, brunatny kanał, który przepływa między fabrykami i

koło wysypiska złomu, kanał, w którym utopiła się mała Jane. Poszedłem do biblioteki publicznej, chociaż wiedziałem z góry, że będzie zamknięta, ale ja miałem zamiar posiedzieć sobie na schodkach na zewnątrz. Siedziałem tam więc w kurczącej się plamie cienia. Gorący wiatr rozwiewał śmieci koło moich nóg. Obserwowałem, jak środkiem ulicy pędzi kartka z gazety, był to kawałek „Daily Mirror”. Zatrzymał się na chwilę i wtedy przeczytałem część nagłówka... „CZŁOWIEK, KTÓRY”... Nikogo nie było w pobliżu. Za rogiem usłyszałem pobrząkiwanie wózka lodziarza i uświadomiłem sobie, że chce mi się pić. Grał coś z sonaty fortepianowej Mozarta. Muzyka urwała się w pół nuty, jakby ktoś kopnął w mechanizm. Ruszyłem szybko ulicą, ale kiedy doszedłem do rogu, lodziarza już nie było. Za chwilę znów usłyszałem muzykę, ale wydawała mi się bardzo odległa.

Wracając, nie spotkałem nikogo. Charlie poszedł już do domu, a samochodu, przy którym pracował, też nie było. Napilem się wody z kuchennego kranu. Gdzieś przeczytałem, że szklanka wody z londyńskiego kranu była już wypita przedtem pięć razy.

Woda miała metaliczny smak. Przypomniała mi stół ze stali nierdzewnej, na którym położyli tę małą, jej ciało. Prawdopodobnie tą wodą z kranu zmywają stoły w kostnicy. Miałem spotkać się z rodzicami tej dziewczynki o siódmej wieczorem. Nie był to mój pomysł, tak mi polecił sierżant policji, który wysłuchał mojego opowiadania. Powinienem być twardy, ale mnie podszedł, przestraszył. Kiedyśmy rozmawiali, trzymał mnie za łokieć. To pewnie trik wyuczony w szkole policyjnej, ma im to przydawać autorytetu, tak bardzo w tym momencie potrzebnego.

Złapał mnie, jak wychodziłem z budynku, i skierował w stronę rogu. Nie mogłem go zgubić bez szarpaniny. Mówił uprzejmie, nagle, piskliwym szeptem:

— Ty ostatni widziałeś tę małą przed śmiercią... — przeciągnął ostatnie słowo — ...więc oczywiście rodzice, rozumiesz, chcieliby z tobą porozmawiać. — Przeraził mnie implikacjami zawartymi w tych słowach, obojętne, do czego zmierzały, ale podczas kiedy mnie trzymał, miał nade mną władzę. Wzmocnił uścisk. — Więc im powiedziałem, że przyjdiesz. Mieszkaś dosłownie obok, prawda? — Wydaje mi się, że odwróciłem głowę i skinąłem. Uśmiechnął się, uważając sprawę za załatwioną. W

każdym razie było to coś, jakieś spotkanie, coś, co mogło nadać sens temu dniowi. Późnym popołudniem

zdecydowałem, że wezmę kąpiel i się ubiorę. Miałem jeszcze sporo czasu, z którym nie wiedziałem, co zrobić. Znalazłem flakon wody kolońskiej, jeszcze nieotwarty, i czystą koszulę. Kiedy woda leciała do wanny, rozebrałem się i patrzyłem w lustro na swoje nagie ciało. Jestem typem podejrzanym z wyglądu, wiem, bo nie mam podbródka, więc chociaż nie potrafiliby powiedzieć dlaczego, to jednak byli nieufni na policji, jeszcze zanim złożyłem wyjaśnienie. Powiedziałem im, że stałem na moście i że z góry widziałem, jak biegła wzdłuż kanału. A sierżant policji:

— Aha, więc to zupełny przypadek, tak? Mam na myśli to, że mieszkała na tej samej ulicy? — Mój podbródek przechodzi od razu w szyję, co wygląda podejrzenie. Mam to po matce. Ale dopiero kiedy wyprowadziłem się z domu, wydała mi się postacią groteskową. Umarła w zeszłym roku. Kobietom nie podoba się mój podbródek. Unikają mnie. To samo było z matką, nigdy nie miała przyjaciół. Wszędzie jeździła sama, nawet na urlopy. Co roku wybierała się do Littlehampton, siadywała samotnie na leżaku i patrzyła w morze. Pod koniec życia zrobiła się zjadliwa i chuda jak chart.

Aż do czwartku, dopóki nie zobaczyłem zwłok Jane, właściwie nigdy nie myślałem o śmierci. Raz kiedyś widziałem przejechanego psa. Byłem świadkiem, jak koło miazdzy temu psu kark i oczy wyłażą mu z orbit. Nie miało to wtedy dla mnie

żadnego znaczenia. A kiedy umarła moja matka, trzymałem się od tego wszystkiego z daleka, z obojętności, głównie, i z obrzydzenia dla krewnych. Nie interesował mnie też jej widok, zmarłej, chudej i szarej wśród kwiatów. Wyobrażam sobie, że moja śmierć będzie podobna. Ale jeszcze wtedy nie widziałem ludzkich zwłok. Widok trupa sprawia, że człowiek zaczyna porównywać żywych ze

zmarłymi. Poprowadzili mnie w dół kamiennymi schodami, a potem korytarzem. Wyobrażałem sobie, że kostnica to musi być osobny budynek, a ona mieściła się w siedmiopiętrowym

biurowcu. Znajdowaliśmy się w suterenie. Słyszałem dochodzące z góry stukanie na maszynie. Był tu sierżant i jeszcze paru mężczyzn w garniturach. Sierżant przytrzymał mi wahadłowe drzwi. Nie przypuszczałem w gruncie rzeczy, że ona się znajduje w takim miejscu. Nie pamiętam teraz, czego się spodziewałem,

fotografowania, być może, i że będę musiał podpisać jakieś dokumenty. Nie przemyślałem całej tej sprawy. A ona trafiła tutaj.

Stało tu w rzędzie pięć wysokich stołów ze stali nierdzewnej, a nad nimi zwisały z sufitu na długich łańcuchach świetlówek z

zielonymi blaszanymi osłonami. Leżała na wznak najbliżej drzwi: dłonie odwrócone wewnętrzną stroną, nogi razem, usta szeroko otwarte, oczy szeroko otwarte, bardzo blada, bardzo spokojna.

Włosy jeszcze jej nie wyschły. Czerwona sukienka była jak świeżo uprana. Pachniała lekko kanałem. Przypuszczam, że dla kogoś, kto widział wiele trupów, jak na przykład sierżant policji, nie było w tym nic szczególnego. Nad prawym okiem Jane zauważyłem niewielkiego siniaka. Miałem ochotę jej dotknąć, ale odniosłem wrażenie, że wszyscy mi



się bacznie przyglądają. Mężczyzna w białym kitlu powiedział ożywionym tonem sprzedawcy używanych samochodów:

— Zaledwie dziewięć lat. — Nikt się nie odezwał, wszyscy popatrzyliśmy na jej twarz. Sierżant przeszedł na moją stronę stołu z jakimiś papierami.

— OK? — zapytał. Ruszyliśmy z powrotem długim korytarzem. Na górze podpisałem papiery, w których było, że idąc przez mostek koło torów kolejowych, zobaczyłem dziewczynkę, tę samą, która leży tam na dole, jak biegła ścieżką wzdłuż kanału.

Odwróciłem się, a trochę później zobaczyłem w wodzie coś czerwonego, co poszło na dno i zniknęło mi z oczu. Ponieważ nie umiem pływać, sprowadziłem policjanta, który wypatrywał tego czegoś w wodzie, ale powiedział, że nic nie widzi. Podałem mu swoje nazwisko i adres i poszedłem do domu. Półtorej godziny później wyciągnęli ją za pomocą liny na kołowrocie. Podpisałem zeznanie w trzech egzemplarzach. Długo potem jeszcze nie

wychodziłem z budynku. Na korytarzu znalazłem wyprofilowane krzesło plastikowe, więc usiadłem. Naprzeciwko mnie przez otwarte drzwi widziałem dwie dziewczyny, które stuknęły na maszynie. Zobaczyły, że je obserwuję, coś do siebie zagadały i zachichotały. Jedna z nich wyszła z uśmiechem i zapytała, czy już ktoś mnie załatwia. Powiedziałem, że po prostu siedzę i myślę.

Dziewczyna wróciła do swojego pokoju, przechyliła się przez biurko i poszeptała z tamtą drugą. Popatrzyły na mnie skrzępowane.

Podejrzały mnie o coś — zawsze mnie o coś podejrzewają. Tak naprawdę to wcale nie myślałem o tej zmarłej dziewczynce leżącej tam na stole. Mieszały mi się jej wizje żywej i martwej, ale usiłowałem nie łączyć ich ze sobą. Przesiedziałem tam całe popołudnie, nie wiedziałem, dokąd pójść. Dziewczyny zamknęły drzwi od swojego pokoju. Wyszedłem w końcu, bo wszyscy już wyszli i one chciały zamknąć biuro. Opuściłem budynek ostatni.

Dużo czasu zajęło mi ubieranie. Uprasowałem czarny garnitur, uznałem, że czarny będzie najstosowniejszy. Ale wziąłem granatowy krawat, bo już nie chciałem przesadzać z tą czernią. I kiedy właśnie miałem wychodzić z domu, rozmyśliłem się.

Wróciłem na górę i zdjąłem garnitur, koszulę i krawat. Nagle moje przygotowania mnie zaniepokoiły. Dlaczego tak mi zależy na

aprobacie tamtych? Włożyłem stare spodnie i sweter, który miałem na sobie do tej pory. Pożałowałem, że wziąłem kąpiel, i usiłowałem zmyć z szyi wodę kolońską. Ale pozostał jeszcze inny zapach — mydła toaletowego, którym się myłem podczas kąpieli.

Tego samego mydła używałem w czwartek i pierwsze słowa, które powiedziała do mnie ta mała, brzmiały:

— Pachniesz kwiatami. — Idąc na spacer, przechodziłem koło jej małego ogródka. Zignorowałem ją, unikam rozmów z dziećmi, nie umiem trafić w odpowiedni ton. Ich bezpośredniość mnie razi, paraliżuje. Tę

małą widziałem nieraz, jak bawiła się na ulicy, zwykle sama, albo jak obserwowała Charliego. Wyszła z ogródka i ruszyła za mną.

— Dokąd idziesz? — spytała. I tym razem ją zlekceważyłem w nadziei, że się odczepi. A poza tym sam na dobrą sprawę nie wiedziałem, dokąd idę. Spytała mnie po raz drugi: — Dokąd idziesz?

Po chwili odpowiedziałem:

— Co cię obchodzi. — Szła dokładnie za mną, tak że jej nie widziałem. Miałem uczucie, że mnie przedrzeźnia, ale się nie odwróciłem.

— Czy idziesz do sklepu pana Watsona?

— Tak, idę do sklepu pana Watsona.

Zrównała się ze mną.

— Bo on jest dziś zamknięty — wyjaśniła. — Dziś jest środa. — Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Kiedy doszliśmy do rogu ulicy, dodała: — Nie, ale powiedz, dokąd idziesz tak naprawdę. — Po raz pierwszy przyjrzałem jej się dokładnie. Miała pociągłą, delikatną buzię i smutne oczy. Jej ładne, brązowe włosy powiązane były w kitki czerwoną wstążką pod kolor sukienki.

Była piękna w dziwny, niemal złowrogi sposób, jak dziewczynka z obrazu Modiglianiego. Odparłem:

— Nie wiem, idę po prostu na spacer.

— Czy mogę iść z tobą? — Nie odpowiedziałem, więc szliśmy dalej razem w stronę centrum handlowego. Ona też się nie odzywała, szła trochę za mną, jakby się spodziewała, że lada chwila każe jej wracać. Miała przy sobie zabawkę, z którą się nie rozstają wszystkie dzieci w okolicy: dwie kulki połączone sznurkiem. Kulki wprawione w ruch dość gwałtownymi szarpnięciami uderzają jedna o drugą, wydając klekot jak kołatki kibiców piłkarskich. Myślę, że chciała mi zrobić przyjemność.

Tym trudniej było mi ją odesłać. A poza tym od kilku dni nie miałem do kogo ust otworzyć.

Kiedy ponownie przebrany zszedłem na dół, było kwadrans po szóstej. Rodzice Jane mieszkali o kilkanaście domów ode mnie po tej samej stronie ulicy. Ponieważ miałem czterdzieści pięć minut, postanowiłem iść na piechotę. Ulica była teraz w cieniu.

Zawahałem się przed drzwiami, zastanawiałem się nad wyborem drogi. Charlie po drugiej stronie ulicy reperował następny samochód. Zobaczył mnie, więc niezbyt chętnie podszedłem do niego. Spojrzał na mnie bez uśmiechu.

— A tym razem dokąd? — zwracał się do mnie jak do dziecka.

— Odetchnąć świeżym powietrzem — odparłem. —

Odetchnąć świeżym wieczornym powietrzem. — Charlie lubi wiedzieć, co się dzieje na ulicy. Zna tutaj każdego, łącznie ze wszystkimi dziećmi. Często widywałem z nim tę małą. Ostatnim razem trzymała mu klucz. Z jakichś powodów Charlie uważał, że to ja jestem winien jej śmierci. Miał całą niedzielę na przemyślenie tej sprawy. Ciekaw był, co też ode mnie usłyszy na ten temat, ale nie mógł zdobyć się na to, żeby zapytać mnie wprost.

— Aha, to idziesz do jej rodziców, tak? O siódmej?

— Tak, o siódmej. — Czekał, aż podejmę rozmowę.

Krążyłem wokół samochodu. Był to duży, stary, porzewiały ford zodiak, z rodzaju samochodów, jakie się widuje na tej ulicy.

Należał do pakistańskiej rodziny, która na końcu ulicy prowadziła mały sklepik.

Z sobie tylko znanych powodów nazwali swój sklepik „U

Watsona”. Ich dwaj synowie zostali pobici przez miejscowych gitów. Oszczędzali teraz pieniądze na powrót do Peszawaru. Kiedy przychodziłem do sklepu, stary opowiadał mi zwykle, jak to z powodu złej pogody i rozpanoszonej w Londynie brutalności zamierza zabrać rodzinę z powrotem do kraju. Charlie rzucił zza samochodu Watsona:

— Mieli ją tylko jedną. — Oskarżał mnie.

— Tak — zgodziłem się. — Wiem. To straszne. —  
Obchodziliśmy samochód dokoła. Charlie podjął:

— Pisali o tym w gazecie. Czytałeś? Że widziałeś, jak się topiła.

— Bo widziałem.

— To nie mogłeś jej wyciągnąć?

— Nie. Nie mogłem. Poszła na dno. — Okrążyłem samochód szerszym łukiem i odszedłem. Idąc, cały czas czułem na sobie wzrok Charliego, ale się nie odwróciłem, żeby nie potwierdzić jego podejrzeń.

Przy końcu ulicy udałem, że spoglądam w górę, na samolot, i zerknąłem przez ramię. Charlie stał przy samochodzie, podparł się pod boki i patrzył za mną. U jego stóp siedział duży czarno-biały kot. Wszystko to zobaczyłem w mgnieniu oka, zanim skręciłem za róg. Było wpół do siódmej. Zdecydowałem, że dla zabicia czasu pójdę do biblioteki. Ten sam spacer co poprzednio. Tylko że teraz było więcej ludzi. Minąłem gromadkę chłopców z Indii

Zachodnich, którzy grali w piłkę na ulicy. Piłka potoczyła się w moją stronę i dałem przez

nią krok. Chłopcy czekali, aż jeden z młodszych po nią pójdzie. Kiedy ich mijałem, przyglądali mi się w milczeniu, a potem któryś z nich cisnął mi mały kamyk pod nogi.

Nie odwracając się i niemal nie patrząc, zatrzymałem go zrzęcznie nogą. To przypadek, że mi się tak udało. Roześmieli się, zaczęli mi klaskać i robić owację, a ja przez moment poczułem się dumny i pomyślałem, że mógłbym się do nich przyłączyć. Ale gra rozpoczęła się od nowa, chwila minęła, a ja poszedłem dalej. Serce waliło mi z podniecenia. Nawet kiedy dotarłem do biblioteki i usiadłem na schodkach, czułem jeszcze, jak mi wali puls w

skroniach. Takie okazje zdarzają mi się rzadko. Z nikim prawie się nie spotykam; prawdę powiedziawszy, jedynymi ludźmi, z którymi rozmawiam, są Charlie i pan Watson. Rozmawiam z Charliem,

ponieważ zawsze jest, kiedy wychodzę, jest przed moimi drzwiami, a że on pierwszy zaczyna rozmowę, nie ma sposobu jej uniknąć. Z panem Watsonem nie tyle rozmawiam, ile go słucham, a słucham go, bo muszę chodzić do jego sklepu po produkty

spożywcze. Ale żeby ktoś ot tak szedł sobie ze mną, w środę, to była okazja, nawet jeśli chodziło o małą dziewczynkę, która nie miała nic lepszego do roboty. I chociaż wtedy nie przyznałbym się do tego, to jednak było mi przyjemnie, że okazuje mi prawdziwe zainteresowanie, i poczułem do niej sympatię. Chciałem się z nią zaprzyjaźnić.

Ale z początku byłem skrępowany. Szła trochę z tyłu, za mną, bawiąc się swoją zabawką, i o ile wiem, robiąc za moimi plecami różne gesty, jak to dzieci. A potem, kiedy znaleźliśmy się na głównej ulicy, zrównała się ze mną.

— Dlaczego nie idziesz do pracy? — zapytała. — Mój tata chodzi do pracy codziennie, z wyjątkiem niedzieli.

— Ja nie potrzebuję chodzić do pracy.

— Masz już tak dużo pieniędzy? — Skinąłem głową. — Naprawdę bardzo dużo?

— Tak.

— A mógłbyś mi coś kupić, gdybyś chciał?

— Gdybym chciał.

Wskazała na wystawę sklepu z zabawkami.

— O, jedną z tych, proszę cię, jedną z tych. — Wieszała mi się u ręki, wykonując coś w rodzaju zachłannego tańca i popychając mnie w stronę sklepu. Od dawna nikt mnie rozmyślnie nie dotykał, w każdym razie od czasu dzieciństwa. Poczulem w żołądku zimny dreszcz i nogi zrobiły mi się miękkie. Miałem w kieszeni parę groszy, nie było powodu, żeby jej czegoś nie kupić.

Kazałem małej poczekać przed sklepem, a sam wszedłem i kupiłem jej to, na co miała ochotę — małą, różową gołą laleczkę odlaną z jednego

kawałka plastiku. Ale kiedy już ją miała, jak gdyby straciła dla niej całe zainteresowanie. Nieco dalej poprosiła mnie o loda. Stała w drzwiach sklepu, czekając, żebym za nią wszedł. Tym razem mnie nie dotykała. Zawahałem się naturalnie, nie bardzo wiedziałem, co jest grane. Ale już wtedy wzbudziła moje zainteresowanie, byłem ciekaw jej wpływu na mnie. Dałem jej pieniądze na lody dla nas obojga i pozwoliłem załatwić

sprawunek. Musiała być przyzwyczajona do prezentów. Poszliśmy jeszcze kawałek tą samą ulicą i spytałem, jak mogłem naprzyjaźniej:

— Czy nie masz zwyczaju mówić dziękuję, jak ci coś dają?

— Spojrzała na mnie z pogardą: wokół cienkich, bladych warg miała obwódkę z lodów.

— Nie.

Spytałem ją, jak się nazywa. Staralem się, żeby nasza rozmowa wypadła miło.

— Jane.

— Co się stało z lalką, którą ci kupiłem, Jane? — Spojrzała na swoją rękę.

— Zostawiłam ją w sklepie ze słodyczami.

— Już ci się nie podoba?

— Zapomniałam ją zabrać. — Już miałem jej powiedzieć, żeby biegła po lalkę, kiedy uświadomiłem sobie, jak bardzo zależy mi na tym, żeby ze mną została, i jak blisko jesteśmy kanału.

Kanał to jedyna woda w okolicy. Jest coś specyficznego w chodzeniu nad brzegiem wody, nawet brunatnej i śmierdzącej, która przepływa na zapleczu fabryk. Większość fabryk

wychodzących na kanał nie ma okien i jest opuszczona. Można przejść z półtorej mili i nie spotkać żywego ducha. Kanał biegnie koło wysypiska złomu. Jeszcze dwa lata temu tej kupy żelastwa pilnował cichy staruszek w małej blaszanej budce, przed którą trzymał na łańcuchu, przytwierdzonym do kołka, wielkiego

owczarka alzackiego. Ten pies był za stary nawet na to, żeby czekać. A potem budka, staruszek i pies zniknęły i brama została zamknięta na kłódkę. Stopniowo miejscowe dzieciaki przewróciły ogrodzenie, tak że teraz stoi już tylko brama. To wysypisko złomu jest jedynym interesującym miejscem na przestrzeni półtorej mili, dalej droga biegnie tuż przy murach fabrycznych. Ale ja lubię ten kanał i tu nad wodą nie duszę się przynajmniej, jak wszędzie indziej w tej części miasta. Uszedłszy kawałek drogi w milczeniu, Jane zapytała mnie znowu:

— Dokąd idziesz? Dokąd idziesz na ten spacer?

— Wzdłuż kanału.

Zastanawiała się przez chwilę.

— Mnie nie puszczają nad kanał.

— Dlaczego?

— Bo nie. — Szła teraz trochę przede mną. Białe kółko wokół jej ust wyschło. Byłem słaby w nogach, a upał bijący od chodnika dosłownie zatykał. Przekonanie jej, że powinna iść ze mną nad kanał, stało się już teraz koniecznością. Robiło mi się niedobrze na samą myśl o tym. Wyrzuciłem resztkę lodu i powiedziałem:

— Ja chodzę nad kanał prawie codziennie.

— Dlaczego?

— Bo tam jest bardzo spokojnie... i dużo różnych ciekawych rzeczy do oglądania.

— A co takiego?

— Motyle. — To słowo wymknęło mi się, zanim się spostrzegłem. Spojrzała na mnie nagle zainteresowana. Motyle nigdy by nie wytrzymały nad kanałem, smród by je zabił. Bardzo szybko by się zorientowała.

— A jakiego koloru te motyle?

— Czerwone... żółte.

— I co jeszcze?

Zawahałem się.

— Wysypisko złomu. — Zmarszczyła nos, więc podjąłem szybko: — I łódki, łódki na kanale.

— Prawdziwe?

— Naturalnie, że prawdziwe. — I znów powiedziałem nie to, co chciałem. Zatrzymała się i ja też się zatrzymałem. Spytała:

— Ale nie poskarżysz na mnie, jak tam pójdę, co?

— Nie, nie powiem nikomu, tylko musisz trzymać się mnie blisko, jak będziemy szli nad kanałem, rozumiesz? — Skinęła głową. — I wytrzyj sobie buzię. — Przejechała niedbale wierzchem dłoni po ustach. — Chodź no tutaj, ja ci wytrę. —

Przyciągnąłem ją do siebie i przytrzymałem z tyłu za szyję.

Pośliniłem palec, jak to nieraz robią rodzice, i pociągnąłem nim wokół jej ust. Nigdy jeszcze do tej pory nie dotykałem niczych warg ani nie doznawałem takiego rodzaju przyjemności. Wyrosła mi boleśnie z krocza i usadowiła się w piersi, napierając na żebra jak pięść. Polizałem ten sam palec i poczułem lepką słodycz. Znow przejechałem palcem wokół jej ust i tym razem mała się cofnęła.

— To boli — powiedziała. — Za mocno przyciskasz. —  
Ruszyliśmy i teraz już trzymała się blisko mnie.

Żeby się dostać do ścieżki, musieliśmy najpierw przejść na drugą stronę kanału przez wąski czarny mostek o wysokich ścianach. W połowie mostka Jane stanęła na palcach, usiłując wyjrzeć nad murkiem.

— Podsadź mnie — poprosiła. — Chcę popatrzeć na łódki.

— Stąd ich nie zobaczysz. — Ale objąłem ją w pasie i podsadziłem. Krótka czerwona sukienka podjechała jej na pupie do góry i znow poczułem w piersi pięść. Zawołała do mnie przez ramię:

— Rzeka jest bardzo brudna!

— Zawsze była brudna — powiedziałem. — To jest kanał. —

Kiedy schodziliśmy na ścieżkę po kamiennych stopniach, Jane przysuwała się do mnie coraz bliżej. Odniosłem wrażenie, że wstrzymuje oddech. Zwykle kanał płynie w kierunku północnym, ale dziś woda była stojąca. Na powierzchni zalegały nieruchomo płyty żółtej piany, ponieważ nie było wiatru. Od czasu do czasu po mostku nad nami przejechał jakiś samochód, a z dala dochodził

przytłumiony odgłos miejskiego ruchu. Poza tym nad kanałem panowała kompletna cisza. Z powodu upału śmierdziało bardziej niż zwykle — był to smród raczej zwierzęcy niż chemiczny, wydzielany przez pianę. Jane szepnęła:

— Gdzie są motyle?

— Niedaleko. Musimy najpierw przejść pod dwoma mostami.

— Ja chcę wracać. Ja chcę wracać. — Od kamiennych schodków dzieliła nas już odległość ponad stu kroków. Jane próbowała się zatrzymać, ale ją ponaglałem. Była zbyt przestraszona, żeby wracać beze mnie.

— Jeszcze kawaleczek i zobaczymy motyle. Czerwone, żółte, a może i zielone. — Już puściłem wodze kłamstwom, przestałem się przejmować tym, co mówię. Włożyła dłoń w moją rękę.

— A co z łódkami?

— Zobaczysz. Tylko musimy jeszcze kawałek podejść. —  
Szliśmy, a ja myślałem jedynie o tym, jak ją przy sobie zatrzymać.  
W kilku miejscach wzdłuż kanału są tunele pod fabrykami,  
drogami i torami kolejowymi. Pierwszy, na jaki się natknęliśmy, tworzył dwupiętrowy  
budynek, który łączył fabryki po obu  
stronach wody. Był teraz pusty, jak wszystkie fabryki, i bliższe okna miał co do jednego  
powybijane. Przed wejściem do tego  
tunelu Jane próbowała się wycofać.

— Co to za hałas? Nie wchodźmy tam. — Słyszała, jak woda  
kapie ze sklepienia tunelu do kanału, budząc dziwne, głucho echo.

— To tylko woda — powiedziałem. — Zobacz, widać na  
wylot. — Dróżka w tunelu była bardzo wąska, więc puściłem Jane przed sobą, trzymając  
jej rękę na ramieniu. Drżała. Przy końcu tunelu zatrzymała się nagle i wskazała ręką. W miejscu,  
gdzie zagłębiało słońce, pomiędzy cegieł wyrastał kwiatek. Wyglądał na mlecz w kępce trawy.

— To podbiał. — Zerwała kwiatek i wsadziła sobie we włosy  
za uchem.

— Nigdy do tej pory nie widziałem tutaj kwiatków.

— Tutaj muszą być kwiatki — wyjaśniła — dla motyli.

Przez następny kwadrans szliśmy w milczeniu. Jane  
odezwała się raz, żeby mnie znów zapytać o motyle. Wyglądało na to, że teraz mniej się  
boi, bo puściła moją rękę. Miałem ochotę jej dotknąć, ale nie wiedziałem, jak to zrobić, żeby jej  
nie  
przestraszyć. Zastanawiałem się, jak by zacząć rozmowę, ale nic mi nie przychodziło do  
głowy. Na prawo ścieżka robiła się coraz szersza. Za następnym zakrętem kanału było wysypisko  
złomu.

Przed nami wznosił się w niebo obłok czarnego dymu, a kiedy skręciliśmy, stwierdziłem,  
że pochodzi z wysypiska. Płonęło tu ognisko, a dokoła niego zebrała się gromadka chłopców.  
Stanowili coś w rodzaju gangu — wszyscy mieli takie same niebieskie kurtki i krótko ostrzyżone  
włosy. O ile mogłem się zorientować,  
zamierzali upiec żywcem kota. Nad nimi w nieruchomym  
powietrzu unosił się dym, za nimi wysypisko wznosiło się jak góra. Przywiązali kota za  
szyję do słupka, do tego samego, do którego zwykle bywał przywiązany owczarek alzacki, i  
spętali mu przednie i tylne łapy. Z kawałków siatki budowali właśnie nad ogniem coś w rodzaju  
klatki i kiedy ich mijaliśmy, jeden z  
chłopców przyciągał kota za szyję bliżej ogniska. Wziąłem Jane za rękę i przyspieszyłem  
kroku. Pracowali w skupieniu i ciszy i nawet sobie nie przerwali, żeby na nas spojrzeć. Jane szła  
z oczami wbitymi w ziemię. Po jej dłoni czułem, jak drży na całym ciele.

— Co oni robią z tym kotem?



— Nie wiem. — Obejrzałem się przez ramię. Trudno było teraz powiedzieć, co robią, z powodu czarnego dymu. Zostawiliśmy ich daleko za sobą, nasza ścieżka znów biegła wzdłuż muru fabryki. Jane niemal płakała, a jej dłoń była w mojej tylko dlatego, że trzymałem ją mocno. Niepotrzebnie zresztą, i tak by nigdzie nie uciekła. Miała do wyboru: albo zawracać do wysypiska, albo biec naprzód do tunelu, do którego się zbliżaliśmy. Zastanowiłem się, co robić, jak dojdziemy do końca ścieżki. Jane będzie chciała wracać do domu, a ja przecież wiedziałem, że jej nie puszczę. Przestałem o tym myśleć. U wejścia do drugiego tunelu zatrzymała się.

— Tutaj nie ma żadnych motyli, prawda? — Jej głos zabrzmiał piskliwie, była bliska płaczu. Zacząłem jej tłumaczyć, że prawdopodobnie tu jest za gorąco dla motyli, ale ona nie słuchała, tylko kwiliła. — Kłamałeś, tu nie ma żadnych motyli, kłamałeś. — Zaczęła płakać, bez przekonania, żałośnie, usiłując mi się wyrwać. Próbowałem ją przekonywać, ale nie chciała słuchać. Mocniej ścisnąłem ją za rękę i pociągnąłem do tunelu. Teraz już wrzeszczała — był to jeden ciągły, przeszywający dźwięk, który odbijał się echem od sklepienia i ścian tunelu i wypełniał moją głowę. To ją niosąc, to wlokąc, dobrnąłem gdzieś do połowy tunelu, kiedy nagle jej krzyki zagłuszył grzmot przejeżdżającego nad naszymi głowami pociągu — niebo i ziemia zadrżały jednocześnie. Długo trwało, zanim pociąg przejechał. Trzymałem ją za rękę, ale ona i tak się nie wyrывała, hałas ją obezwładnił. Kiedy ostatnie echo przebrzmiało, powiedziała głucho:

— Ja chcę do mamy. — Rozpiąłem rozporek. Nie wiem, czy w ciemności widziała, co sterczy w jej stronę.

— Dotknij tego. — Potrząsnąłem ją lekko za ramię. Nie ruszyła się, więc potrząsnąłem ją po raz drugi. — No, dotknij mnie, śmiało. Chyba wiesz, o co chodzi. — Istotnie domagałem się od niej rzeczy prostej. Tym razem ująłem ją za obie ręce, szarpnąłem gwałtownie i krzyknąłem: — No, dotykaj, już! — Wyciągnęła rękę i jej palce delikatnie musnęły mi czubek. Ale to wystarczyło. Zgięty wpół, spuściłem się — spuściłem się w nadstawione dłonie. Trwało długo — jak przejście pociągu — zanim pozbyłem się tego wszystkiego do końca. Samotnie spędzone chwile tryskały ze mnie porcjami, wielogodzinne samotne spacerunki i myśli, które snułem — wszystko to miałem teraz na dłoni. Kiedy już się skończyło, stałem tak jeszcze przez kilka minut zgięty, z pełnymi rękami przed sobą. Mój umysł był jasny, ciało odprężone, nie myślałem o niczym. Położyłem się na brzuchu i umyłem ręce w kanale. Trudno to było splukać zimną wodą, przylgnęło jak tłusta mazia. Zdejmo wałem ją z palców po trochu. A potem przypomniałem sobie o małej; nie było jej w pobliżu. Nie mogłem jej

puścić tak zaraz do domu, bezpośrednio po tym. Trzeba było za nią iść. Kiedy wstałem, zobaczyłem jej sylwetkę na tle wylotu tunelu. Szła powoli wzdłuż kanału jak odurzona. Nie mogłem biec szybko, bo nie widziałem nic pod

nogami. Im bliżej byłem światła słonecznego, tym bardziej mnie oślepiało. Jane właśnie wychodziła z tunelu. Kiedy usłyszała za sobą moje kroki, obróciła się i wydała coś w rodzaju skowytu.

Puściła się biegiem, ale natychmiast straciła równowagę. Z tej odległości nie widziałem właściwie, co się stało. Jej sylwetkę, widoczną na tle nieba, nagle pochłonęła ciemność. Kiedy jej dopadłem, leżała buzią do ziemi, z nogą odrzuconą na bok, poza ścieżkę, już niemal w wodzie. Upadając, uderzyła się w głowę i nad prawym okiem miała guza. Wyciągniętą prawą ręką jakby sięgała do słońca. Pochyliłem się nad nią, nasłuchując oddechu —

oddychała głęboko, miarowo. Miała mocno zaciśnięte oczy i rzęsy mokre jeszcze od łez. Już nie miałem ochoty jej dotykać, wszystko już z siebie wyrzuciłem, do kanału. Starłem jej z twarzy trochę ziemi i otrzepałem z tyłu czerwoną sukienkę.

— Głuptas — powiedziałem — żadnych motyli. — A potem podniosłem ją jak mogłem najdelikatniej, tak żeby się nie ocknęła, i spokojnie włożyłem do wody.

Zwykle siaduję na stopniach biblioteki, wolę to niż czytanie w środku. Na zewnątrz można się więcej nauczyć. Siedziałem tam i teraz, w niedzielę wieczorem, i słuchałem swego pulsu, jak zwalnia do normalnego rytmu. Ciągle wracałem myślami do tego, co się stało i co powinienem był zrobić. Widziałem tamten kamień w locie ślizgowym wzdłuż drogi, i jak go zręcznie zatrzymuję nogą, prawie się nie odwracając. A powinienem był się wtedy odwrócić, powoli, i lekkim uśmiechem skwitować ich brawa.

Potem należało kopnąć kamień w ich stronę albo, jeszcze lepiej, przydepnąć go i podejść do nich od niechcienia, by na koniec, kiedy już odzyskają piłkę, być z nimi, jako jeden z nich, być w drużynie. Grywalibyśmy razem tam na ulicy wieczorami,

poznałbym ich imiona, a oni poznałoby moje. Spotykalibyśmy się w mieście w ciągu dnia, oni pozdrawialiby mnie z drugiej strony ulicy i podchodzili, żeby pogadać. A po skończonej grze jeden z chłopaków łapie mnie za ramię.

— No to do jutra...

— Aha, do jutra. — Popijalibyśmy sobie razem, jakby już oni dorośli; ja bym polubił piwo. Wstałem i zacząłem iść wolno z powrotem, tam skąd przyszedłem. Wiedziałem, że futbol to nie dla mnie. Okazje są rzadkie, jak motyle. Wyciągniesz rękę — i już ich nie ma. Szedłem ulicą, na której chłopcy wtedy grali w piłkę. Była teraz pusta; kamień, który zatrzymałem nogą, w dalszym ciągu leżał na środku jezdni. Podniosłem go, schowałem do kieszeni i poszedłem na umówione spotkanie.

## **ROZMOWA Z CZŁOWIEKIEM Z SZAFY**

Pytasz mnie, co zrobiłem, jak zobaczyłem tę dziewczynę. No więc powiem ci. Widzisz tę szafę o tam, zajmuje prawie cały pokój. Przybiegłem tutaj, wlałem do środka i zacząłem walić konia. Nie wyobrażaj sobie, że o niej myślałem, kiedy to robiłem.

Nie, w ten sposób mi nie szło. Cofnąłem się w myślach do czasów, kiedy miałem niecały metr wzrostu. Wtedy się łatwiej spuściłem.

Już widzę, co o mnie myślisz: że jestem świnia i zboczeniec. No cóż, umyłem potem ręce, a to nie każdy robi. No i poczułem się lepiej. Rozumiesz, o co mi chodzi — coś się we mnie rozsypało.

Jeśli weźmiesz pod uwagę ten pokój i moją sytuację — co mi pozostało? Tobie to dobrze. Założę się, że masz czysto w domu, że twoja żona pierze bieliznę pościelową, a rząd ci płaci za to, żebyś zbierał informacje o ludziach. Dobra, wiem, że jesteś... jesteś...

zaraz, jak to się nazywa?... opiekunem społecznym i że próbujesz ludziom pomóc, ale mnie możesz pomóc tylko w ten sposób, że mnie wysłuchasz. Ja już się teraz nie zmienię, za długo byłem sobą. Ale dobrze jest przynajmniej pogadać, więc po prostu opowiem ci o sobie.

Nigdy nie widziałem swojego ojca, ponieważ umarł przed moim urodzeniem. Myślę, że problemy zaczęły się już wtedy — wychowywała mnie sama matka, bez niczyjej pomocy.

Mieszkaliśmy w dużym domu w pobliżu Staines. Ona była cała w środku zasupłana i ja mam to po niej. Jedyne, na czym jej naprawdę zależało, to dzieci, ale nie myślała o ponownym zamążpójściu, więc skończyło się na mnie; musiałem jej zastąpić wszystkie dzieci, jakie kiedykolwiek chciała mieć. Usiłowała zrobić tak, żebym nie rósł, i przez dłuższy czas jej się to udawało.

Czy uwierzysz, że do osiemnastego roku życia nie umiałem dobrze mówić? Nie chodziłem do szkoły, bo ona uważała, że to

niebezpieczna okolica. Dzień i noc trzymała mnie w objęciach.

Była zła, kiedy wyrosłem z dzieciennego łóżeczka, więc poszła do szpitala na licytację i kupiła mi tam łóżko z siatką. Takie numery robiła. Aż do chwili, kiedy się wyniosłem z domu, sypiałem w tamtym łóżku. Nie potrafiłem spać w normalnym. Wydawało mi

się, że wylecę; nie mogłem zasnąć. Kiedy ją przerosłem o dwa cale, w dalszym ciągu próbowała wiązać mi śliniak na szyi. Była stuknięta. Kupiła młotek i gwoździe, pozbierała jakieś kawałki drewna i próbowała mi z tego sklecić takie wysokie krzesło — a ja miałem wtedy czternaście lat! Możesz sobie wyobrazić, że jak tylko usiadłem, wszystko rozleciało się w drobny mak. Jezu! A te papki, którymi mnie karmiła. Stąd moje kłopoty żołądkowe. Nie pozwalała mi nic zrobić samodzielnie, nawet się umyć. Nie

mogłem się ruszyć bez niej na krok — a ona była tym zachwycona, suka jedna.

Dlaczego nie uciekłem, jak byłem starszy? Pomyślisz może, że nic nie stało na przeszkodzie. Ale wiesz co — mnie to po prostu nigdy nie przyszło do głowy. Nie znałem innego życia, nie

wiedziałem, że jestem inny. A zresztą jak mógłbym uciec, skoro sfajdałbym się w portki ze strachu, zanim oddaliłbym się o

piętnaście kroków od domu? No i dokąd bym poszedł? Ledwie potrafiłem zawiązać sobie sznurowadła, a cóż dopiero mówić o znalezieniu pracy. Czy w moich słowach jest rozgoryczenie?

Powiem ci coś zabawnego: nie czułem się nieszczęśliwy, możesz mi wierzyć. Ona była

dla mnie naprawdę dobra. Czytała mi

rozmaite historyjki i tym podobne i robiliśmy razem różne rzeczy z tektury. Sklecieliśmy sobie teatr ze skrzynki po owocach i ludzi z papieru i kartonu. Nie, nie byłem nieszczęśliwy, dopóki się nie zorientowałem, co o mnie myślą inni. Gdybym przez całe życie przeżywał w kółko te swoje dwa pierwsze lata, to i tak bym się w dalszym ciągu nie uważał za nieszczęśliwego. To była przyzwoita kobieta, ta moja matka, tylko strasznie zasupłana, i to wszystko.

Jak stałem się dorosły? Powiem ci szczerze: nie mam pojęcia. Muszę udawać. Wszystko, co tobie przychodzi w sposób naturalny, dla mnie jest problemem. Zawsze myślę o tym, co robię, jakbym był na scenie. Siedzę teraz na krześle, z założonymi rękami, to jest niby w porządku, ale wolałbym leżeć na podłodze i sobie gaworzyć, niż z tobą rozmawiać. Uważasz, że ja żartuję. W

dalszym ciągu poranne ubieranie się zajmuje mi bardzo dużo czasu, a ostatnio nie zadawałem sobie nawet i tego trudu. No i sam widziałeś, jak sobie kiepsko radzę z nożem i widelcem. Wolałbym, żeby ktoś podszedł, poklepał mnie po ramieniu i nakarmił łyżką.

Nie wierzysz mi? Uważasz, że to jest obrzydliwe? Zgoda, ja też tak uważam. Jest to najobrzydliwsza rzecz pod słońcem. Dlatego przeklinam pamięć mojej matki, bo to ona ze mnie coś takiego zrobiła.

Powiem ci, jak do tego doszło, że nauczyłem się udawać dorosłego. Kiedy miałem lat siedemnaście, moja matka miała trzydzieści osiem. Była w dalszym ciągu atrakcyjna i nie wyglądała na swój wiek. Gdyby nie jej obsesja na moim punkcie, mogłaby z powodzeniem wyjść za męża. Ale była zbyt zajęta

cofaniem mnie z powrotem do swojego łona, żeby myśleć o takich rzeczach. Dopóki nie spotkała tego faceta. Bo wtedy wszystko się zmieniło, o właśnie tak jak teraz. Z dnia na dzień zmieniły się jej obsesje i cały seks, którego jej przez te lata brakowało, musiała teraz nadrobić. Po prostu oszalała dla tego faceta, jakby dotychczas była nie dość szalona. Chciała go sprowadzić do domu, ale nie miała odwagi, bała się, co to będzie, jak zobaczy

siedemnastoletniego niemowlaka. Dlatego dała mi zaledwie dwa miesiące na wyrównanie zaległości całego życia. Biła mnie teraz, kiedy rozlałem coś przy jedzeniu czy wymawiałem niewłaściwie słowa, czy nawet po prostu kiedy stałem i przyglądałem się, jak coś robi. A potem zaczęła wieczorami wychodzić, zostawiając mnie samego w domu. Ten intensywny trening zwalił mnie

dosłownie z nóg. Być pod czyimiś skrzydłami przez siedemnaście lat i nagle stać się wrogiem. To wtedy zaczęły się te moje bóle głowy. I wreszcie ataki, zwłaszcza kiedy szykowała się wieczorem do wyjścia. Traciłem władzę w rękach i w nogach, a mój język wyrabiał dziwne rzeczy, jakby należał do kogo innego. To był

koszmar. A potem robiło się czarno jak w piekle. Kiedy odyskiwałem przytomność, matka wychodziła i tak, a ja leżałem sam, obfajdany, w ciemnym pokoju. Były to okropne czasy.

Te ataki musiały się zrobić rzadsze, bo w końcu przyprowadziła tego swojego chłopca do domu. Wtedy już nadawałem się do pokazania. Przedstawiła mnie jako cofniętego w rozwoju, i chyba słusznie. Niewiele zapamiętałem z tego faceta, poza tym, że był bardzo duży i miał długie, tłuste

włosy, gładko szesane do tyłu. I zawsze nosił niebieskie garnitury. Miał warsztat samochodowy w Clapham i ponieważ był duży i mu się dobrze

wiodło, znienawidził mnie od pierwszego wejrzenia. Możesz sobie wyobrazić, jak ja wtedy wyglądałem, skoro prawie nie wychodziłem z domu. Byłem chudym wymoczkim, chudszy i słabszy niż teraz. Ja go też nienawidziłem, ponieważ zabrał mi matkę. Za pierwszym razem, kiedy matka mu mnie przedstawiła, skinął tylko głową, a potem nie odezwał się do mnie słowem. Po prostu mnie nie zauważał. Był taki duży i silny i tak zajęty sobą, że pewnie nie mógł znieść myśli, że tacy ludzie jak ja w ogóle istnieją.

Przychodził do nas regularnie, zwykle po to, żeby zabrać gdzieś matkę wieczorem. Ja oglądałem telewizję. Byłem wtedy bardzo samotny. Kiedy program nocny się skończył, siadywałem w kuchni i czekałem na nią i chociaż miałem siedemnaście lat, często płakałem. Któregoś ranka zastałem przyjaciela matki w szlafroku, jedzącego śniadanie. Nawet na mnie nie spojrzął, kiedy wszedłem do kuchni. A jak popatrzyłem na nią, udała, że jest zajęta przy zlewie. Potem jego wizyty stały się coraz częstsze, aż wreszcie zaczął stale u nas sypiać. Któregoś popołudnia wystroili się i wyszli. Kiedy wrócili, byli rozchichotani i nie mogli utrzymać się na nogach. Musieli dużo wypić. Tego wieczoru matka powiedziała mi, że się pobrali i że mam na niego mówić tatusiu. I to był koniec.

Dostałem ataku, najgorszego ze wszystkich. Nie umiem nawet powiedzieć, jaki był okropny, wydawało mi się, że trwał wiele dni, chociaż była to tylko godzina czy coś w tym rodzaju. Kiedy się skończył i otworzyłem oczy, zobaczyłem wyraz twarzy mojej

matki: bezgraniczne obrzydzenie. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo człowiek potrafi się zmienić w tak krótkim czasie. Na widok jej miny stwierdziłem, że jest dla mnie kimś tak samo obcym jak ojciec.

Mieszkałem z nimi przez trzy miesiące, zanim znaleźli jakiś zakład, żeby mnie umieścić. Byli zbyt zajęci sobą, żeby mnie dostrzegać. Prawie się do mnie nie odzywali, nie odzywali się nawet do siebie, kiedy byłem w pokoju. Muszę ci powiedzieć, że chętnie się stamtąd wynosiłem, chociaż był to mój dom i chociaż opuszczając go, trochę płakałem. Ale przede wszystkim byłem zadowolony, że się z nimi rozstaję. Oni też robili wrażenie szczęśliwych, że się mnie pozbywają. W tym zakładzie, do którego mnie oddali, nie było nawet źle. W gruncie rzeczy było mi

wszystko jedno, gdzie jestem. Przyzwyczaili mnie do dbania o siebie i nawet zacząłem się uczyć czytać i pisać, chociaż już prawie wszystko do tej pory zapomniałem. Nie potrafiłem nawet przeczytać tego formularza, który mi przysłałeś. Głupia sprawa, co? Tak czy siak, nie było mi źle. Spotkałem tam wszelkie

możliwe rodzaje świrów i to mi dodawało pewności siebie. Trzy razy w tygodniu zabierali mnie i jeszcze kilku innych autobusem do jakiegoś warsztatu, gdzie uczyliśmy się reperować zegarki.

Chodziło o to, żebym mógł po wyjściu stamtąd na siebie zarabiać.

Ale jak dotąd nigdy w ten sposób nie zarobiłem ani pensa. Kiedy szukasz pracy, to cię zawsze pytają, gdzie zdobywałeś zawód. A jak im powiesz, nie chcą o tym słyszeć. Jedną z najlepszych rzeczy, jakie mnie tam spotkały, to to, że poznałem pana Smitha.

Wiem, że Smith to żadne nazwisko, a i wyglądu ten człowiek też nie miał, więc trudno się było po nim spodziewać, że będzie kimś wyjątkowym, a jednak był. To on właśnie zarządzał tym domem i uczył mnie czytać. Szło mi dobrze. Kiedy stamtąd odchodziłem, skończyłem właśnie

*Hobbita*, który mi się nawet podobał. Ale później nie miałem wiele czasu na tego rodzaju sprawy. Mimo to poczciwy Smith zrobił dobry początek. Nauczył mnie też wielu innych rzeczy. Kiedy tam nastąpiłem, ciągle jeszcze mówiłem

dziecinnie i pan Smith mnie stale poprawiał. Musiałem po nim powtarzać słowa tak, jak on je wymawiał. No i uważał, że

powiniennem mieć więcej wdzięku. Tak, wdzięku! Miał u siebie w pokoju taki ogromny adapter, nastawiał płyty i kazał mi tańczyć.

Za pierwszym razem czułem się cholernie głupio. Ale on mi powiedział, żebym zapomniał, gdzie jestem, żebym się cały rozluźnił i dał się ponieść rytmowi muzyki. Miotłem się więc po pokoju, machałem rękami, wierzgałem i podskakiwałem, mając

nadzieję, że nikt mnie nie widzi przez okno. I nagle zaczęło mi to sprawiać przyjemność. Odnosiłem takie wrażenie, jakbym dostał

ataku, tyle że przyjemnego. To znaczy potrafiłem się rzeczywiście rozluźnić, jeśli możesz to sobie wyobrazić. A potem płyta się kończyła i ja stałem spocony, bez tchu, i czułem się, jakbym był z lekka stuknięty. Ale stary Smith nie zwracał na to uwagi.

Tańczyłem dla niego dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i piątki.

Były dni, kiedy zamiast puszczać mi płyty, grał na pianinie. Nie sprawiało mi to specjalnej przyjemności, ale nic nie mówiłem, bo widziałem, jak go to cieszy.

No i uczył mnie malować. Ale nie tak zwyczajnie, bynajmniej. Powiedzmy, że chcesz namalować drzewo, tak? No to zwykle robisz od góry do dołu brązową krechę, a nad tym zieloną plamę. A on twierdził, że to nie ma sensu. Koło tamtego domu był

duży ogród i pan Smith pewnego ranka zabrał mnie tam, gdzie rosły stare drzewa. Stanęliśmy pod jednym z nich — było bardzo potężne. Powiedział mi, że chce, żebym... zaraz, jak to było...

miałem to drzewo wyczuć, a potem je odtworzyć. Dużo czasu upłynęło, zanim złapałem, o co mu chodzi. Malowałem dalej po swojemu. I wtedy mi pokazał, co ma na myśli. Powiedzmy, że

chcę namalować ten dąb. Z czym mi się to kojarzy? Ogrom, masywność, ciemność. Zaczął stawiać na papierze grube czarne krechy. I wtedy mi się rozjaśniło w głowie i zacząłem malować tak, jak czułem. Powiedział mi, żebym namalował siebie, i wtedy powstały te dziwne żółto-białe kształty. A potem namalowałem matkę: wielkie czerwone usta wszędzie, po całym papierze — i to była jej szminka — a w ustach czarno.

Dlatego, że jej

nienawidziłem. Chociaż to właściwie nieprawda. W każdym razie, odkąd się stamtąd wyniosłem, nie namalowałem już nic więcej; poza takim domem jak tamten nie ma na podobne rzeczy miejsca.

Jeżeli cię nudzę, to mi powiedz, wiem, że musisz się spotkać jeszcze z wieloma osobami. Nie ma powodu, żebyś siedział akurat ze mną. No więc dobrze. Jeden z przepisów tego domu mówił, że trzeba go opuścić, jak się skończy dwadzieścia jeden lat.

Pamiętam, że upiekli mi na pocieszenie ciasto, ale ja nie lubię ciasta, więc oddałem je innym dzieciakom. Dali mi listy

polecające, nazwiska i adresy ludzi, do których miałem się zgłosić.

Ale nie chciałem o tym słyszeć. Chciałem być samodzielny. To bardzo uciążliwe, jeżeli

przez całe życie ktoś się tobą zajmuje, nawet jeśli ten ktoś jest dla ciebie dobry. No więc pojechałem do Londynu. Jakoś mi się udało, czułem się silny psychicznie,

czułem, że wytrzymam Londyn. Komuś, kto tak jak ja nigdy tutaj nie był, wszystko wydawało się nowe i podniecające. Znalazłem sobie pokój na Muswell Hill i zacząłem się rozglądać za pracą. Ale jedyna praca, jaka mi się trafiła, polegała na dźwiganiu, noszeniu i kopaniu. Wystarczyło jednak, żeby na mnie spojrzeli i natychmiast kazali mi o tym zapomnieć. Wreszcie znalazłem pracę w hotelu —

przy zmywaniu. Miejsce z wielkimi zadęciami, to znaczy ta część dla gości. Ciemnoczerwone dywany, żyrandole z rżniętego szkła i niewielka orkiestra, która przygrywała w rogu holu. Pierwszego dnia przez pomyłkę wszedłem od frontu. Kuchnia nie była taka elegancka. Rany, wręcz przeciwnie — brudna, zapluta dziura.

Musieli mieć kłopoty z ludźmi, bo do zmywania byłem tylko ja.

Albo po prostu zaraz się na mnie poznali. Obojętne zresztą z jakich powodów, musiałem to robić sam, przez dwanaście godzin na dobę z czterdziestopięciominutową przerwą na lunch.

Nie przeszkadzały mi nawet te godziny pracy. Cieszyłem się, że po raz pierwszy w życiu sam na siebie zarabiam. Nie, chodziło mi o głównego kucharza, który się mnie strasznie czepiał. To on wypłacał pieniądze i zawsze mi coś obrywał. Ta forsa szła

oczywiście prosto do jego kieszeni. Był do tego cholernie szpetnym sukinsynem. W życiu nie widziałeś takich plam. Na całej twarzy, na czole, pod brodą, dokoła uszu, nawet na samych uszach.

Wypukłe jak wielkie purchawy. I parchy, czerwone, zupełnie nie rozumiem, dlaczego dopuszczali go do jedzenia. Tylko że tam się nie przejmowali takimi rzeczami. Gotowaliby nawet karaluchy, gdyby potrafili je łapać. Ale główny kucharz dosłownie się na mnie zawziął. Nazywał mnie „Wypłoszem” i stale się popisывał

swoim ulubionym dowcipem: „Hej, Wypłosz, wypłoszyłeś kogoś ostatnio?”. Oczywiście kobiety uciekały od takiego syfa. A

sukinsyn był syfiasty i miał robaczywe myśli. Zawsze się ślinił nad swoimi pismami i dowalał się do sprzętaczek. Były to zresztą same wiedźmy, około sześćdziesiątki, w większości brzydkie czarnuchy.

Jeszcze teraz widzę, jak ten facet chichocze, opluwa się i pcha im łapy pod kiecki. A one nie śmiały pisnąć, bo mógł je wyrzucić.

Jedynie, co można o nim powiedzieć, to przynajmniej tyle, że był normalny. Ale ja już wolę siebie.

Ponieważ nie śmiałem się z jego dowcipów jak inni, Syf stał się naprawdę nie do wytrzymania. Wychodził z siebie, żeby mi wynaleźć jakieś dodatkowe zajęcia, a wszystkie najbrudniejsze roboty miałem jak w banku. Rzygać mi się chciało od tych jego dowcipasów na temat „wyplosza”, więc pewnego dnia, kiedy mi kazał skrobać wszystkie gary po trzy razy, powiedziałem:

„Odpieprz się, Syf”. To go dopiero ubodło. Nigdy do tej pory nikt go tak w oczy nie nazwał. Do końca dnia miałem spokój. Ale zaraz rano przyszedł do mnie i powiedział: „Wyczyścisz ten główny piec”. Był tam taki ogromny żeliwny piec, masz pojęcie, i czyściło się go chyba raz do roku, więc cały był w środku obrosnięty grubą warstwą czarnego świństwa. Żeby to wyszorować, trzeba było

wejść do środka z michą wody i szczotką. A w środku śmierdziało zdechłymi kotami. Naszykowałem sobie miskę wody i jakieś

skrobaczki i wdrapałem się do środka. Nie sposób było oddychać nosem, żeby się nie wyrzygać. Siedziałem tam z dziesięć minut, kiedy drzwi od pieca się zatrzasnęły. Syf zamknął mnie w środku.

Przez żeliwne ściany słyszałem jego śmiech. Trzymał mnie tam przez pięć godzin i wypuścił dopiero po przerwie na lunch. Pięć godzin w tym cuchnącym czarnym piecu, a potem do zmywania!

Możesz sobie wyobrazić, jaki byłem wściekły. Ale nie chciałem stracić pracy, więc nie mogłem nic powiedzieć.

Nazajutrz rano, jak tylko zacząłem zmywać po śniadaniu, podszedł do mnie i powiedział:

— Wydawało mi się, Wypłosz, że ci kazałem wyszorować ten piec.

Wobec tego jeszcze raz wziąłem przybory i wlałem do środka. Jak tylko znalazłem się wewnątrz, drzwi się zamknęły. Dostałem szału. Wykrzykiwałem wszystkie możliwe przezwiska pod adresem Syfa i waliłem pięściami w ściany pieca, aż sobie poobijałem ręce do krwi. Ale nie słyszałem nic, więc po chwili się uspokoiłem i próbowałem przyjąć możliwie wygodną pozycję.

Musiałem ruszać nogami, żeby nie dostać kurczu. Chyba po sześciu godzinach usłyszałem na zewnątrz śmiech Syfa. A potem zaczęło się robić gorąco. W pierwszej chwili nie mogłem w to uwierzyć, myślałem, że mam halucynacje. Syf nastawił piec na najniższą temperaturę. Wkrótce zrobiło się za gorąco, żebym mógł siedzieć, więc musiałem ukucnąć. Czułem gorąco przez buty, paliła mnie twarz, nozdrza. Pot lał się ze mnie strumieniami, a każdy haust powietrza palił w gardle. Nie mogłem bębnić w ściany, bo były za gorące. Chciałem wrzeszczeć, ale brakło mi powietrza. Myślałem, że to już koniec, wiedziałem, że Syf byłby w stanie upiec mnie żywcem. Późnym popołudniem mnie wypuścił.

Byłem prawie nieprzytomny, ale słyszałem, jak mówi: „Powiedz no mi, Wypłosz, gdzie się podziewałeś cały dzień? Chciałem, żebyś wyczyścił piec”. A potem się roześmiał i wszyscy za nim, ponieważ się go bali. Wziąłem taksówkę do domu i położyłem się do łóżka. Byłem w strasznym stanie, ale rano czułem się jeszcze gorzej. Na stopach i wzdłuż kręgosłupa, w miejscach, którymi musiałem się opierać o ściany pieca, miałem pęcherze. I

wymiotowałem. Ale jedno wiedziałem na pewno: muszę wrócić do pracy, chociażby po to, żeby wyrównać rachunek z Syfem,

choćbym miał skonać. Ponieważ chodzenie było torturą, znów wziąłem taksówkę. Pierwsza część dnia, aż do przerwy, jakoś mi przeszła. Syf zostawił mnie w spokoju. Podczas lunchu siedział

sam i czytał sobie jedno ze swoich plugawych pisemek. Tuż przed końcem przerwy podpaliłem gaz pod jedną z maszynek do robienia frytek — miała pojemność ponad dwa litry. Kiedy olej zaczął

wrzeć, zaniósłem ją tam, gdzie siedział Syf. Stopy bolały mnie tak, że mało nie krzyczałem. Serce waliło mi jak młotem, wiedziałem, że tym razem dorwę Syfa. Podszedłem tak blisko, że znalazłem się równo z jego krzesłem. Podniósł wzrok i z mojej miny wyczytał



dokładnie, co się z nim stanie. Ale nie miał czasu się ruszyć.

Wywaliłem mu cały ten olej na kolana, a na wypadek gdyby ktoś to widział, udałem, że się poślizgnąłem. Syf zawył jak dzikie zwierzę, nigdy nie słyszałem, żeby człowiek wydał z siebie taki głos. Ubranie na nim jak gdyby się stopiło i zobaczyłem jego jaja, jak puchną w oczach i z czerwonych nagle robią się białe.

Wszystko mu poleciało po nogach. Darł się przez dwadzieścia pięć minut, zanim przyszedł lekarz i dał mu morfinę. Dowiedziałem się później, że spędził dziewięć miesięcy w szpitalu, gdzie

wydłubywali mu z ciała resztki ubrania. W ten sposób wyeliminowałem Syfa.

Po tym wszystkim byłem zbyt chory, żeby zostać w tej pracy.

Zapłaciłem za mieszkanie z góry i odłożyłem trochę pieniędzy.

Najbliższe dwa tygodnie spędziłem, kuśtykając codziennie do chirurga. Kiedy pęcherze mi zeszyły, zacząłem się rozglądać za nową pracą. Ale byłem za słaby. Okazało się, że Londyn jest nie na moje siły. Rano z trudem wstawałem z łóżka. Lepiej mi było w betach, bezpieczniej. Sama myśl o tym, że mam stawić czoło

tysiącom ludzi, ogłuszającemu ruchowi ulicznemu, kolejkom i tego rodzaju rzeczom, przyprawiała mnie o rozpacz. Coraz częściej wspominałem dawne czasy, kiedy byłem z matką. Zacząłem do

niej tęsknić. Do życia w wacie, kiedy wszystko za mnie robiono, ciepłego i bezpiecznego. Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale ludziłem się, że matka ma już dosyć tego faceta, że gdybym wrócił,

moglibyśmy zacząć od nowa. Myślałem o tym całym dniami, aż stało się to moją obsesją. Nie mogłem myśleć o niczym innym.

Przekonywałem sam siebie, że matka na mnie czeka, że mnie poszukuje przez policję. Wystarczy, że się pojawię w domu, a ona otworzy ramiona, zacznie mnie karmić łyżką i zrobimy sobie nowy teatr z tektury. Pewnego wieczoru tak natrętnie o tym myślałem, że postanowiłem się do niej wybrać. Na co tu czekać? Biegłem przez całą drogę. Chciało mi się śpiewać z radości. Złapałem pociąg do Staines i ze stacji do domu puściłem się pędem. Znów miało być wszystko dobrze. Skręciłem w naszą uliczkę i zwolniłem. Światła przed domem się paliły. Zadzwoiłem. Nogi tak pode mną drżały, że musiałem się oprzeć o mur. Ale osoba, która przyszła otworzyć drzwi, nie była moją matką. Była dziewczyną, bardzo ładną dziewczyną lat około osiemnastu. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Zapanowała głupia cisza, podczas kiedy ja szukałem słów. A potem ona mnie spytała, kim jestem. Wykrztusiłem, że mieszkałem w tym domu i że szukam mojej matki. Powiedziała mi, że mieszka tu z rodzicami od dwóch lat. Cofnęła się do środka, żeby

sprawdzić, czy nie zostawiono jakiegoś adresu. Kiedy zniknęła, zacząłem się rozglądać po korytarzu. Było zupełnie inaczej.

Pojawiły się wielkie regały i inna tapeta, i telefon, którego nigdy nie mieliśmy. Zrobiło mi się okropnie smutno, że tak tu wszystko pozmieniano, poczułem się oszukany. Wróciła dziewczyna, żeby mi powiedzieć, że nikt nie zostawił adresu. Pożegnałem się i odszedłem. Wyrzucono mnie poza nawias. A przecież to był

naprawdę mój dom i ja tak bardzo chciałem, żeby ta dziewczyna zaprosiła mnie do środka, do ciepła. Gdybyż tylko zarzuciła mi ramiona na szyję i powiedziała: „Chodź, zostań z nami”. To brzmi głupio, ale o tym właśnie myślałem, kiedy wracałem na stację.

Wobec tego od nowa zacząłem poszukiwać pracy. Chyba przez ten piec. To znaczy przez ten piec zacząłem sobie wyobrażać, że mogę wrócić do Staines jakby nigdy nic. Dużo myślałem o tym piecu. Roily mi się sny na jawie, jak to zostaje zmuszony do siedzenia w piecu. To brzmi niewiarygodnie,

zwłaszcza po tym, co zrobiłem Syfowi. Ale tak czułem i nic nie mogłem na to poradzić. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej docierało do mnie, że kiedy po raz drugi tam wszedłem, chciałem, żeby mnie zamknęto. Miałem nadzieję, nie zdając sobie z tego sprawy, rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Chciałem być sfrustrowany. Chciałem znaleźć się w miejscu, z którego nie mógłbym wyjść. To tkwiło w mojej podświadomości. Ale kiedy już się rzeczywiście znalazłem wewnątrz, byłem zbyt zajęty tym, żeby się wydostać, i zbyt wściekły na Syfa, żeby mi cokolwiek sprawiało przyjemność. Po prostu myślałem o tym później, i to wszystko.

Jakoś nie miałem szczęścia do pracy, a ponieważ pieniądze mi się skończyły, zacząłem kraść. Pewnie uważasz, że to było idiotyczne z mojej strony, ale okazało się piekielnie łatwe. A zresztą co miałem robić? Musiałem jeść. Brałem po troszeczku, przeważnie z domów towarowych. Miałem do tego celu długi płaszcz z dużymi kieszeniami. Kradłem takie rzeczy jak mrożone mięso i puszki. A ponieważ musiałem płacić komorne, zacząłem kraść przedmioty bardziej wartościowe i sprzedawać je w sklepach z rzeczami używanymi. Mniej więcej przez miesiąc funkcjonowało to bardzo dobrze. Miałem wszystko, a jak potrzebowałem czegoś więcej — wystarczyło włożyć to do kieszeni. Ale z czasem stałem się widocznie nieuważny, bo kiedyś detektyw sklepowy złapał mnie, jak kradłem z lady zegarek. Ale nie zatrzymał mnie w tym momencie. Nie, pozwolił mi wziąć zegarek i wyszedł za mną na ulicę. Stałem już na przystanku autobusowym, kiedy złapał mnie za ramię i kazał wracać do sklepu. Wezwali policję i skończyło się w sądzie. Okazało się, że już od dłuższego czasu mieli mnie na oku, więc odpowiadałem za różne rzeczy. Ponieważ nigdy

dotychczas nie byłem karany, kazali mi dwa razy w tygodniu zgłaszać się do kuratora sądowego. Miałem szczęście. Mogłem dostać z miejsca sześć miesięcy. Tak mi powiedział sierżant policji.

Ale to, że dali mi wyrok w zawieszeniu, nie rozwiązywało problemu jedzenia ani płacenia czynszu. Kurator zresztą był w porządku, uważam, robił, co mógł. Miał tylu podopiecznych, że nie był w stanie zapamiętać mojego nazwiska od poniedziałku do czwartku. Do wszystkich prac, jakie usiłował mi znaleźć,

wymagano umiejętności czytania i pisania, a do innych siły. Prawdę powiedziawszy, wcale mi nie zależało na pracy. Nie miałem ochoty poznawać nowych ludzi, żeby mnie znów nazywali Wypłoszem. Co miałem robić? Od nowa zacząłem kraść. Tym razem ostrożniej i nigdy dwa razy w tym samym miejscu. Ale, wyobraź sobie, złapali mnie niemal natychmiast, po jakimś tygodniu. Ukradłem ozdobny nóż z domu towarowego, a ponieważ kieszenie płaszcza miałem stale wypchane, musiały się przetrzeć.

Właśnie kiedy wychodziłem, nóż dostał mi się za podszewkę, a stamtąd wypadł na podłogę. Zanim zdążyłem się obrócić, już było przy mnie trzech. Stałem przed tym samym sędzią i tym razem dostałem trzy miesiące.

Więzienie jest zabawnym miejscem. Nie to, żeby człowiekowi było do śmiechu. Myślałem, że tam są sami twardzi gangsterzy, kapujesz, silne chłopy. Ale takich było zaledwie kilku.

Resztę stanowiły po prostu świry podobne do tych, których spotkałem w tamtym zakładzie. Nie było mi nawet źle. W każdym razie ani w części tak, jak sobie wyobrażałem. Cella nie różniła się wiele od mojego pokoju na Muswell Hill. Mówiąc szczerze, widok z okna był nawet lepszy — jak to z wyższego piętra. Miałem tu łóżko, stół, małą szafkę na książki i zlew. Mogłem sobie wycinać obrazki z pism i przylepiać do ściany, a na Muswell Hill nie. I wcale mnie nie zamykali, zaledwie przez parę godzin na dobę.

Mogliśmy sobie łązić i odwiedzać inne cele, ale tylko na tym samym piętrze. Na dół i na górę nie puszczala żelazna brama.

W tym więzieniu siedziały różne dziwne typy. Był na przykład taki facio, który podczas posiłku włożył na krzesło i się obnażał. Za pierwszym razem jak to zobaczyłem, byłem wstrząśnięty, ale ponieważ wszyscy dalej jedli i rozmawiali, więc ja tak samo. Po jakimś czasie zupełnie przestało mi to przeszkadzać, chociaż powtarzał ten numer regularnie.

Zdumiewające, do czego można się po trochu przyzwyczaić. No i był tam taki Jacko. Drugiego dnia rano przyszedł do mojej celi i się przedstawił. Powiedział mi, że siedzi za oszustwo, że jego ojciec trenuje konie i że im się ostatnio nie wiedzie. I tak dalej, i dalej, nawijał różne rzeczy, które pozapominałem. A potem sobie poszedł. Następnym razem przedstawił mi się od nowa, jakby mnie widział po raz pierwszy. Zwierzył mi się wtedy, że siedzi za wielokrotny gwałt i że nie jest w stanie zaspokoić swoich potrzeb seksualnych. Myślałem, że mnie buja, bo ja w dalszym ciągu

wierzyłem w tę jego pierwszą historię. Ale był śmiertelnie poważny. Za każdym razem kiedy się widzieliśmy, miał inną wersję. Nigdy nie pamiętał ani poprzedniej rozmowy, ani kim wtedy był. Przypuszczam, że w ogóle nie wiedział, kim jest. Jakby nie miał swojej własnej tożsamości. Jeden z facetów powiedział

mi, że Jacko dostał w głowę podczas włamania z bronią w rękę. Nie wiem, czy to prawda. Nigdy nie wiadomo, w co wierzyć.

Ale nie chciałem, żebyś mnie źle zrozumiał. Nie wszyscy byli tacy. Trafiali się tam i fajni faceci, a szczególnie Głuchman. Nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska, a Głuchman nie mógł powiedzieć, ponieważ był głuchoniemy. Myślę, że przesiedział prawie całe życie. Miał najwygodniejszą celę ze wszystkich i był jedynym więźniem, który mógł sam parzyć sobie herbatę. Często u niego przebywałem. Oczywiście żadna rozmowa nie wchodziła w grę. Po prostu siedzieliśmy, uśmiechając się czasem do siebie, to wszystko. On parzył herbatę — najlepszą, jaką piłem w życiu.

Nieraz popołudniami drzemałem w jego fotelu, a on czytał jeden z komiksów, które leżały w kącie na kupie. Jak miałem coś na

wątrobie, to mu po prostu o tym mówiłem. Nie rozumiał ani słowa, ale kiwał głową i uśmiechał się albo robił smutną minę, stosownie do tego, co wyczytał z mojej twarzy. Chyba sprawiało mu

przyjemność, że bierze w czymś udział. Większość więźniów prawie cały czas go ignorowała. Ale klawisze go lubili i przynosili mu, co chciał. Czasem mieliśmy do herbaty nawet ciasto czekoladowe. Głuchman umiał czytać i pisać, więc w sumie nie był w sytuacji wiele gorszej niż ja.

Spędziłem tam swoje najlepsze trzy miesiące od wyjścia z domu. Urządziłem sobie celę wygodnie i narzuciłem ścisły regulamin. Nie odzywałem się prawie do nikogo poza Głuchmanem. Nie chciałem, wolałem życie bez komplikacji. Może pomyślisz, że to, co mówiłem o zamknięciu w piecu, odnosi się do zamknięcia w celi. Ale nie, to nie była masochistyczna

przyjemność wynikająca z uczucia frustracji. Była to znacznie głębsza przyjemność płynąca z poczucia bezpieczeństwa.

Przypominam sobie teraz, że czasem miałem za dużo wolności.

Lubiłem tę porę dnia, kiedy nie wolno było opuszczać cel. Gdyby nam kazali siedzieć cały dzień, też bym chyba nie narzekał, poza tym, że nie mógłbym się widywać z Głuchmanem. Nic nie trzeba było planować. Każdy dzień przypominał poprzedni. Nie musiałem się martwić o posiłki czy komorne. Czas stał dla mnie w miejscu, moje życie przypominało unoszenie się na powierzchni jeziora. Zacząłem się martwić, że mnie kiedyś wypuszczą.

Poszedłem do zastępcy naczelnika więzienia zapytać, czy nie mógłbym zostać. Ale powiedział mi, że utrzymanie jednego człowieka w więzieniu kosztuje szesnaście funtów tygodniowo, że wielu innych czeka w kolejce. Nie mają miejsca dla wszystkich.

Wobec tego musiałem wyjść. Znaleźli mi pracę w fabryce.

Wtedy wprowadziłem się na to poddasze, na którym mieszkam do dziś. Moja praca w fabryce polegała na zdejmowaniu z taśmy puszek malin. Nie przeszkadzało mi to, bo było tak głośno, że nie musiałem się do nikogo odzywać. Jestem dziwak. Dla mnie to zrozumiałe, wiedziałem, że tak się musi skończyć. Od czasu tego pieca chcę być w zamknięciu. Chcę być znowu mały. Przeszkadza mi ten hałas i ci ludzie dokoła.

Chcę być z dala od tego wszystkiego, w ciemności. Widzisz tę szafę, tam, która zajmuje prawie cały pokój? Gdybyś zajrzał do środka, nie znalazłbyś w niej żadnych ubrań. Za to pełno poduszek i koców. Bo ja tam wchodzę, zamykam za sobą drzwi i mogę tak siedzieć godzinami. Tobie musi się to wydawać okropnie głupie.

Ale mnie jest tam dobrze. Nie nudzę się, nic takiego, po prostu siedzę. Czasami chciałbym, żeby ta szafa zaczęła chodzić, zapominając, że ja jestem w środku. Z początku włożyłem do niej tylko od czasu do czasu, a potem coraz częściej, aż zacząłem tam spędzać całe noce. Nie chciało mi się wytknąć nosa nawet rano, więc zacząłem się spóźniać do pracy. A potem w ogóle przestałem chodzić do fabryki. Ostatni raz byłem trzy miesiące temu.

Nienawidzę wychodzić. Wolę siedzieć w mojej szafie.

Nie chcę być wolny. Dlatego zazdrozczę niemowlętom,

które widzę na ulicach, pozawijane na rękach matek. Chciałbym być jednym z nich. Dlaczego nie? Dlaczego muszę chodzić, pracować, gotować sobie i wykonywać setki innych czynności, które należy powtarzać codziennie, żeby się utrzymać przy życiu? Chętnie wlaźłbym do wózka. To głupie, bo przecież mam sześć stóp wzrostu. Ale tak czuję. Któregoś dnia ukradłem z dzieciennego wózka kocyk. Nie wiem dlaczego, pewnie pragnąłem jakiegoś kontaktu z ich światem, potwierdzenia, że jednak coś mnie z nim łączy.

Czuję się wyrzucony poza nawias. Niepotrzebny mi jest seks ani nic w tym rodzaju. Kiedy zobaczę ładną dziewczynę, jak choćby ta, o której ci mówiłem, cały się w środku zwijam i przychodzę tutaj, włożę do szafy i się spuszczam, tak jak ci opowiadałem. Pewnie niewielu jest takich jak ja. Ten kocyk, który ukradłem, trzymam w szafie — chciałbym ją całą takimi wypełnić.

Teraz już prawie nie wychodzę. Ostatni raz zdarzyło mi się to dwa tygodnie temu. Kupiłem sobie trochę konserw, chociaż właściwie rzadko kiedy jestem głodny. Przeważnie siedzę w szafie, myślę o dawnych czasach w Staines i marzę o tym, żeby wróciły. Nieraz budzę się w nocy, kiedy deszcz bębni o dach. Przypomina mi się wtedy ta dziewczyna, która mieszka teraz w naszym domu, słyszę wiatr i ruch uliczny. Chciałbym znów mieć rok. Ale to jest niemożliwe. Wiem, że to niemożliwe.

## **PIERWSZA MIŁOŚĆ, OSTATNIE POSŁUGI**

Od początku lata, aż do chwili kiedy przestało to mieć jakkolwiek sens, kładliśmy na ciężkim dębowym stole cienki materac i kochaliśmy się na wprost wielkiego otwartego okna.

Zawsze wiało przez nie, przynosząc nam różne smrody od strony przystani znajdującej się trzy piętra pod nami. Mimo woli coś mi się roilo — jakiś stwór — i potem, kiedy już leżeliśmy na wznak na wielkim stole, w głębokiej ciszy słyszałem, jak ten stwór biega cichutko i skrobie pazurami. Było to dla mnie coś nowego, to wszystko, więc się niepokoiłem. Próbowałem szukać pociechy w rozmowach z Sissel, ale ona nie miała nic do powiedzenia, nie była zdolna do tworzenia abstrakcji, nie potrafiła dyskutować o

sytuacjach, po prostu żyła wewnątrz nich. Obserwowaliśmy mewy szybujące po naszym prostokącie nieba i zastanawialiśmy się, czy i one obserwują nas z góry — o, to były sprawy, o których

rozmawialiśmy, średnio zabawne przypuszczenia dotyczące chwili obecnej. Sissel robiła wszystko jak leci: mieszała kawę, kochała się, słuchała płyt, wyglądała przez okno. Nie mówiła rzeczy w rodzaju: jestem szczęśliwa, jestem zakłopotana, chcę się kochać albo nie chcę, jestem zmęczona awanturami w rodzinie — nie

posługiwała się językiem, co by jej zapewniło podzielność uwagi, znosiłem więc samotnie to, co wydawało mi się zbrodnią, podczas naszego pieprzenia, a później samotnie nasłuchiwałem w ciszy, jak to coś skrobie. Pewnego popołudnia Sissel obudziła się z drzemki, uniosła głowę z materaca i powiedziała:

— Co to za jakieś skrobanie tam za ścianą?

Moi przyjaciele byli daleko w Londynie, przysyłali mi refleksyjne, pełne udręki listy. I co dalej? Kim są i jaki to wszystko ma sens? Byli w moim wieku, mieli jedno siedemnaście, drugie osiemnaście lat, ale udawałem, że ich nie rozumiem. Słałem im kartki: znajdźcie sobie duży stół i otwarte okno — doradzałem im.

Byłem szczęśliwy i wszystko wydawało się proste, zastawiałem więcierze na węgorze — jakżeż łatwo było o jakiś cel w życiu.

Lato ciągnęło się dalej, ale ja nie miałem od nich więcej wiadomości. Odwiedzał nas natomiast Adrian, dziesięcioletni brat Sissel, który szukał u nas uciezki przed katastrofą rozpadającego się domu, przed szybkimi zmianami nastrojów matki,

niekończącym się bębnieniem na pianinie siostr i przypadkowymi ponurymi wizytami ojca. Rodzice Adriana i Sissel po dwudziestu siedmiu latach małżeństwa i wydaniu na świat sześciorga dzieci nienawidzili się z pełną goryczy rezygnacją, która uniemożliwiła im w końcu mieszkanie pod jednym dachem. Ojciec wyprowadził

się do taniego hotelu kilka ulic dalej, żeby mieć blisko do dzieci.

Był bezrobotnym biznesmenem i wyglądał jak Gregory Peck;

będąc optymistą, miał setki pomysłów co do tego, jak w ciekawy sposób zrobić pieniądze. Spotykałem go w pubie. Nie chciał

mówić o swoim bezrobociu czy o małżeństwie, nie przeszkadzało mu, że mieszkam z jego córką w wynajętym pokoju nad

przystanią. Zamiast tego opowiadał mi o swoich przeżyciach w czasie wojny koreańskiej, o tym, jak był handlowcem, i o

nadużyciach, jakie porobili jego przyjaciele, którym się teraz świetnie powodzi i którzy dostali tytuł szlachecki, a potem, pewnego dnia, powiedział mi o węgorzach w rzece Ouse, o tym, jak to dno rzeki dosłownie się od nich roi i jak można świetnie zrobić pieniądze, łapiąc je i wywożąc żywe do Londynu. A ja mu się zwierzyłem, że mam w banku osiemdziesiąt funtów, i wobec tego nazajutrz rano kupiliśmy specjalną linkę i druciane obręcze, i starą kadź, żeby było w czym trzymać węgorze. Następane dwa

miesiące spędziłem na robieniu więcierzy.

W ładne dni brałem siatkę, obręcze i linkę i pracowałem na przystani, siedząc na polorze. Więcierz kształtem przypomina zamknięty z jednej strony walec, z drugiej ma zwężające się lejowato wejście. Kładzie się go na dnie rzeki, zwabione przynętą węgorze wpływają do środka i w swojej ślepotce nie mogą znaleźć drogi odwrotu. Rybacy byli nastawieni do nas przyjaźnie i lekko rozbawieni. Jest węgorz, mówili, jest, złapiesz nawet kilka, ale wyżyć to z tego nie wyżyjesz. Prąd zniesie ci więcierze, nie nadażysz robić. Używamy żelaznych ciężarków, wyjaśniłem im, a oni dobrodusznie wzruszali ramionami i pokazywali mi, jak lepiej mocować siatkę do pierścieni — uważali, że mam prawo próbować własnych sił. Kiedy rybacy wypływali w swoich łodziach na rzekę, a ja nie miałem nastroju do pracy, siedziałem sobie po prostu i patrzyłem, jak fala omywa muł; nic mnie do tych więcierzy nie gnało, ale święcie wierzyłem, że będziemy bogaci.

Usiłowałem zainteresować Sissel naszą przygodą z

węgorzami, mówiłem jej o łódce, którą ktoś chciał nam pożyczyć na lato, ale ona była

niema. Wobec tego położyliśmy materac na stole i wyciągnęliśmy się na nim w ubraniu. I wtedy zaczęła mówić. Przyłożyliśmy swoje dłonie jedną do drugiej, Sissel

porównała ich wielkość i kształt i rozpoczęła komentarz bieżący.

Są dokładnie tej samej wielkości, tylko że ty masz grubsze palce, o, o ten kawałek.

Czubkiem kciuka zmierzyła mi rzęsy i

powiedziała, że szkoda, że ona nie ma takich długich, a potem opowiedziała mi o psie, którego miała w dzieciństwie i który miał

długie białe rzęsy. Popatrzyła na mój opalony nos i zaczęła gadać na ten temat, kto z jej rodzeństwa opala się na czerwono, a kto na brązowo i co powiedziała kiedyś jej najmłodsza siostra.

Rozebraliśmy się powoli. Sissel skopała z nóg pepegi i zaczęła mówić o swojej grzybicy. Słuchałem z zamkniętymi oczami. Przez otwarte okno czułem zapach mułu, wodorostów i kurzu. Nazywała to nawijaniem — ten typ paplaniny. A potem jak już w niej byłem, poczułem się wzruszony, znalazłem się wewnątrz mojej

wyobraźni; teraz już nie sposób było oddzielić moje mnożące się jak grzyby po deszczu odczucia od świadomości, że możemy

powołać do życia w brzuchu Sissel jakieś stworzenie. Nie miałem ochoty zostać ojcem, w żadnym wypadku. Chodziło o to, że te wszystkie jajeczka, sperma, chromosomy, pióra, skrzela i pazury są zaledwie o cale od czubka mojego penisa — niepowstrzymana

chemia stworzenia powstającego z ciemnoczerwonego szlamu, a ja bezbronny wobec odwieczności i potęgi tego procesu gotów byłem na samą myśl o tym spuścić się wcześniej, niż chciałem. Kiedy zwierzyłem się z tego Sissel, zaczęła się śmiać. O rany,

powiedziała. Dla mnie Sissel tkwiła wewnątrz tego procesu, sama nim była, co tylko zwiększało stopień mojej fascynacji tym

wszystkim. Sissel miała brać pigułki, ale co miesiąc zapominała o tym przynajmniej dwa albo trzy razy. Bez dyskusji przyjęliśmy więc, że mam się spuszczać na zewnątrz, ale rzadko nam się to udawało. Podczas gdy lecieliśmy na łeb na szyję ku naszym

orgazmom, w tych ostatnich rozpaczliwych sekundach usiłowałem się wycofać, ale jak węgorz wpadałem w więcierz swoich urojeń na temat tamtego stworzenia, które czekało głodne, w ciemności, a ja je karmiłem wielkimi białymi glutami swoich wytrysków. W

tych nierozważnych ułamkach sekundy zapominałem o własnym

życiu, by karmić to stworzenie, obojętne czym było, wewnątrz macicy czy na zewnątrz, żeby tylko pieprzyć Sissel, żeby karmić jeszcze więcej owych stworzeń, poświęcając wszystko dla tej jednej chwili słabości. Pilnowałem periodów Sissel, wszystko, co się wiązało z kobietami, było dla mnie nowe, niczego nie

przyjmowałem w sposób oczywisty. Kochaliśmy się podczas jej obfitych, bezbolesnych miesiączek — zaspokojeni, lepcy i brązowi od krwi, sami byliśmy tymi stworzeniami ze szlamu, tam, w

środku, karmieni glutami obłoków nawiewanych przez okno,

gazami wysysanymi przez słońce z błotnych rozlewisk. Martwiły mnie te moje urojenia, wiedziałem, że bez nich się nie spuszcę.

Zapytałem Sissel, co o tym myśli, ale ona zaczęła chichotać. W

każdym razie żadne tam pióra czy skrzela. To wobec tego o czym ty myślisz? O niczym specjalnym, właściwie to zupełnie o niczym.

Ponieważ nalegałem, uciekła w milczenie.

Wiedziałem, że to chrobotanie, które słyszę, to mój własny

stwór, więc kiedy pewnego popołudnia usłyszała je także Sissel i zaczęła się tym niepokoić, zrozumiałem, że i jej wyobraźnia pracuje, że to dźwięk, który się bierze z naszego kochania.

Słyszeliśmy go już po wszystkim, leżąc spokojnie na wznak, puści, czyści i idealnie cisi. Mieliśmy wrażenie, że to jakieś małe pazurki skrobią ślepo w ścianę — odgłos tak odległy, że trzeba było dwojga ludzi, żeby go usłyszeć. Wydawało nam się, że dochodzi zawsze z tej samej strony. Kiedy jednak ukląknęłam i przyłożyłam ucho do boazerii przy samej podłodze, wszystko ucichło —

czułam, jak to skrobanie po drugiej stronie ściany zastyga w pół ruchu, czekając w ciemności. Mijały tygodnie, a myśmy słyszeli to o jeszcze innych porach dnia i od czasu do czasu w nocy.

Postanowiłem zapytać Adriana, co to może być. Posłuchaj, Adrian, zamknij się na chwilę, jak myślisz, co to za hałas? Wytężał słuch niecierpliwie, żeby usłyszeć to, co i my, ale nie potrafił zachować spokoju dostatecznie długo. Nic tam nie ma! — krzyknął. Nic, nic, nic. Był podniecony, wskoczył siostrze na plecy, wrzeszcząc i jodłując. Bez względu na to, co tam było do usłyszenia, nie chciał

zostać wykluczony. Ściągnąłem go z pleców Sissel i zaczęliśmy się tarzać po łóżku. Posłuchaj jeszcze raz, powiedziałem,

przygważdżając go do materaca, o, znów słychać. Wyrwał mi się i wybiegł z pokoju, naśladując dwutonową syrenę policyjną.

Słuchaliśmy, jak cichnie na schodach, i kiedy nie było go już słychać, powiedziałem: a może Adrian boi się myszy. Raczej szcurów, odparła jego siostra i włożyła mi ręce między nogi.

W połowie lipca nie było nam już tak dobrze w naszym pokoju, narastał bałagan i uczucie skrzepowania, ale nie sposób było mówić o tym z Sissel. Adrian przychodził teraz codziennie, ponieważ były wakacje i nie wytrzymał w domu. Słyszeliśmy go z wysokości trzech pięter, jak idąc, krzyczy i stuka butami po schodach. Wpadał hałaśliwie, robiąc stójki i popisując się przed nami. Często, żeby zrobić na mnie wrażenie, wskakiwał Sissel na plecy, był niespokojny, bał się, że wyrzucimy go znudzeni jego towarzystwem. Niepokoił się również dlatego, że przestał

rozumieć swoją siostrę. Kiedyś, zawsze gotowa do bitki, była w tym naprawdę dobra, słyszałem, jak się nią chwali przed

kumplami, widziałem, że jest z niej dumny. A teraz zaszły w jego siostrze dziwne zmiany, odpychała go ponuro, domagała się, żeby ją zostawił w spokoju, wołała nic nie robić, najwyżej słuchała płyt.

Była wściekła, kiedy kładł jej nogi w butach na spódnicy, miała piersi jak matka i odzywała się do niego jak matka. Złaz stamtąd, Adrian. Proszę cię, Adrian, nie teraz, Adrian, później. Nie mógł w to mimo wszystko uwierzyć, to tylko jej humory, to przejdzie, więc w dalszym ciągu pełen nadziei zaczepiał ją i atakował, tak bardzo chciał, żeby wszystko zostało jak przed wyniesieniem się ojca z domu. Kiedy zaciskał ręce na szyi Sissel, przewracając ją na łóżku, wzrokiem szukał u mnie zachęty, uważał, że prawdziwa więź łączy nas dwóch, mężczyzn, przeciwko dziewczynie. Tak bardzo tej

zachęty potrzebował, że nawet nie widział jej braku. Sissel nigdy nie wyrzucała Adriana, rozumiała, dlaczego przychodzi, ale nie było to dla niej łatwe. Pewnego morderczego długiego popołudnia wyszła z pokoju, prawie płacząc. Adrian spojrział na mnie i uniósł

brwi w wyrazie udanej zgrozy. Usiłowałem z nim porozmawiać, ale on właśnie zaczął



jodłować, szykując się do ataku z kolei na mnie. Sissel nie miała mi nic do powiedzenia również na temat swojego brata, nigdy nie robiła uwag ogólnych o ludziach, ponieważ nie robiła żadnych uwag ogólnych. Czasem, kiedy słyszeliśmy zbliżającego się po schodach Adriana, spoglądała na mnie, zdradzając się nieznacznie lekkim wydęciem swoich pięknych ust.

Istniała tylko jedna metoda wyperswadowania Adrianowi, żeby nas zostawił w spokoju. Nie mógł znieść, jak się dotykaliśmy, sprawiało mu to fizyczny ból, napawało autentycznym niesmakiem. Kiedy widział, że jedno z nas zbliża się do drugiego, posyłał nam błagalne spojrzenia, wpadał między nas, udając rozbawienie i usiłując nas zwieść ku innej zabawie. Wreszcie małpował nas frenetycznie, żeby nam w ostatecznym rozpaczliwym wysiłku pokazać, jakich robimy z siebie durni. W końcu nie mogąc tego wytrzymać, wybiegał z pokoju, kładąc po drodze trupem salwą z karabinu maszynowego niemieckich żołnierzy i młodych kochanków.

Ale myśmy z Sissel dotykali się coraz rzadziej, na swój cichy sposób nie mogliśmy się nawet do tego zmusić. Nie to, żeby nam przeszło czy żebyśmy przestali znajdować w tym przyjemność —

po prostu nasze wzajemne kontakty straciły na atrakcyjności.

Problem polegał na samym pokoju. Nie był to już niekrępujący pokój na trzecim piętrze, przez okno nie wpadał orzeźwiający wietrzyk; pozostał tylko unoszący się z nabrzeża lepki upał, zdechłe meduzy, chmary much, namolne szare muchy, które

kąsając wściekle, wciskały nam się pod pachy, i muchy domowe, wiszące w chmurach nad naszym jedzeniem. Włosy za długie i tłuste, opadały nam w strąkach, wślaząc do oczu. Jedzenie topiło się w oczach i miało smak rzeki. Już nie kładliśmy materaca na stole, najchłodniej było teraz na podłodze, a podłogę pokrywał tłusty osad piasku, którego trudno się było pozbyć. Sissel znudziła się swoimi płytami, grzybica przeniosła jej się na drugą stopę i nogi śmierdziały jej jeszcze bardziej. W naszym pokoju cuchnęło. Nie mówiliśmy o wyprowadzce, ponieważ nie mówiliśmy o niczym.

Co noc budziło nas chrobotanie, głośniejsze teraz i bardziej natarczywe. Kiedy się kochaliśmy, podsłuchiwało nas zza ściany.

Kochaliśmy się więc coraz rzadziej, a dokoła nas zbierały się śmieci, butelki po mleku, na których wyniesienie nie potrafiliśmy się zdobyć, gnijący ser, papiery po maśle, kubeczki tekturowe po jogurcie, nieświeże salami. A pośród tego wszystkiego Adrian ze swoimi młynkami, jodłowaniem, strzelaniem z karabinu

maszynowego i atakowaniem Sissel. Chciałem pisać wiersze o moich urojeniach, o tym stworzeniu, ale zupełnie nie wiedziałem, jak się do tego zabrać, więc nie napisałem nic, nawet jednej linijki.

Zamiast tego chodziłem na długie spacery wzdłuż tamy do Norfolku, gdzie ciągnęły się monotonne pola buraczane, słupy telegraficzne i szare jednakowe niebo. Miałem do zrobienia

jeszcze dwa więcierze i codziennie zmuszałem się, żeby do nich zasiać. Ale w gruncie rzeczy rzygać mi się chciało, w głębi serca nie wierzyłem, że te węgorze tam kiedykolwiek

wejda, i

zastanawiałem się, czy ja w ogóle tego chcę, czy nie lepiej, żeby sobie siedziały spokojnie w chłodnym mule na dnie rzeki. Ale ciągnąłem to dalej, bo ojciec Sissel był napalony, bo szkoda mi było wyrzuconych pieniędzy i tych godzin, które do tej pory na tym strawiłem, bo cały ten pomysł osiągnął swój własny kruchy moment równowagi i w takim samym stopniu nie mogłem tego

przerwać, jak wynosić butelek po mleku z naszego pokoju.

A potem Sissel znalazła pracę i dzięki temu zobaczyłem, że niczym nie różnimy się od innych, że wszyscy mają pokoje albo domy, pracę i jakieś kariery, dokładnie to samo, tyle że ich pokoje są czystsze, a praca lepsza, że jesteśmy jeszcze jedną

dorabiającą się parą. Była to któraś z wielu pozbawionych okien fabryk po drugiej stronie rzeki, gdzie puszkowali warzywa i owoce. Przez dziesięć godzin dziennie Sissel miała siedzieć w ryku maszyn przy pasie transmisyjnym i nie odzywając się do nikogo, wybierać zgniłe marchewki, zanim zostaną zapuszkowane.

Pierwszego dnia przyszła do domu w różowo-białym nylonowym płaszczu przeciwdeszczowym i w różowym kapelusiku.

Powiedziałem: dlaczego tego z siebie nie zdejmujesz? Sissel wzruszyła ramionami. Było jej wszystko jedno, czy siedzi w

pokoju, czy w fabryce, gdzie nadawali program pierwszy przez nanizane na pręty stalowe głośniki i gdzie czterysta kobiet, na pół

śluchając, na pół drzemiąc, wykonywało rękami ruchy od i do siebie jak elektryczne czółenka. Drugiego dnia pracy Sissel przeprowiłem się promem na tamtą stronę rzeki i czekałem na nią przy bramie fabryki. Kilka kobiet wyszło przez niewielkie

blaszane drzwi w ogromnej ślepej ścianie, a po całym terenie fabryki niosło się zawodzenie syreny. Otworzyły się kolejne małe drzwi i zaczęły się wysypywać, gromadząc się przy bramie,

dziesiątki kobiet w różowo-białych nylonowych płaszczach i różowych czapkach. Stałem na niskim murku i usiłowałem wypatrzeć Sissel, takie to się nagle stało dla mnie ważne.

Pomyślałem, że jeśli jej nie wyłowię z szeleszczącego strumienia różowego nylonu, to zginie, zginie oboje i nasz wspólnie

spędzony czas będzie stracony. Czołówka tłumu, szybko sunąc, zbliżała się do bramy. Niektóre kobiety na pół biegly, niezdarnie wymachując na boki nogami, tak jak to się uczy kobiety biegać, inne szły najszybciej, jak tylko mogły. Później zrozumiałem, że spieszą się, żeby ugotować rodzinie kolację, żeby jak najprędzej zająć się domem. Te, co przychodziły na drugą zmianę,

przepychały się pod prąd. Nie widziałem Sissel i byłem bliski paniki, wykrzykiwałem jej imię, ale moje słowa ginęły wdeptane w ziemię. Dwie starsze kobiety, które zatrzymały się przy murze, żeby zapalić papierosa, uśmiechnęły się do mnie. Pocałuj się w Sissel. Odbyłem długi spacer do domu, przez most, i

zdecydowałem się nie mówić Sissel, że na nią czekałem, bo musiałbym jej wytłumaczyć moją panikę, a nie wiedziałem jak.

Kiedy wszedłem, siedziała na łóżku w swoim nylonowym płaszczu. Czapka leżała na podłodze. Dlaczego tego nie zdejmiesz? — zapytałem. — Czy to ty byłeś przed fabryką? —

powiedziała. Skinąłem głową. Dlaczego się do mnie nie odezwałaś, skoro widziałaś, że tam stoję? Sissel odwróciła się i położyła się twarzą do poduszki. Jej płaszcz był poplamiony i śmierdzął smarem i błotem. Nie wiem, wyznała w poduszkę, nie myślałam... Ja po pracy nie myślałam już o niczym. W jej słowach było coś przerażająco ostatecznego, rozejrzałem się po pokoju i zamilkłem.

Dwa dni później, w sobotę po południu, kupiłem na przynętę kilka funtów gumiastych, upapranych krwią wołowych płuc (nazywają je letkie). Tego samego dnia napełniliśmy więcierze i w czasie odpływu powiosłowaliśmy mniej więcej na środek kanału, żeby je ułożyć na dnie rzeki. Każdy z siedmiu więcierzy był

oznaczony boją. O czwartej rano w niedzielę ojciec Sissel zjawił się po mnie i pojechaliśmy jego półciązarówką tam, gdzie trzymaliśmy pożyczoną łódź. Mieliśmy popłynąć do naszych boi, żeby powyciągać sieci. Byłaby to próba: czy znajdziemy w nich węgorze, czy się opłaci robić dalej więcierze, dalej łapać węgorze i raz na tydzień zawozić je na bazar w Billingsgate, czy będziemy bogaci? Był to ponury wietrzny poranek, nie czułem żadnego

podniecenia, tylko znużenie i nieustanną erekcję. Na pół drzemałem w ciepłe samochodu. Wiele godzin w nocy spędziłem, nasłuchując chrobotania za ścianą. Raz wstałem i wałęsałem łyżką w boazerię. Zaległa cisza, ale po chwili skrobanie odezwało się znowu. Nie ulegało już teraz wątpliwości, że to coś przekopuje sobie do nas drogę. Podczas kiedy ojciec Sissel wiosłował, ja, wychylony przez burtę, wypatrywałem boi. Znalezienie ich nie było takie proste, jak mi się wydawało, nie odcinały się bielą na tle wody, przypominały przysadziste, ciemne sylwetki. Uplęnęło

dwadzieścia minut, zanim znaleźliśmy pierwszą. Kiedy ją wyciągnęliśmy, zdumiało mnie, jak szybko biała, czysta lina, prosto ze sklepu, zrobiła się podobna do wszystkich innych lin znajdujących się w pobliżu rzeki — brunatna i obwieszona cieniutkimi źdźbłami zielonych wodorostów. Sam więcierz też wydawał się stary i obcy, nie mogłem uwierzyć, że to jeden z tych, które sami robiliśmy. W środku znaleźliśmy dwa kraby i dużego węgorza. Ojciec Sissel rozsypał koniec siatki i wypuścił kraby do rzeki, a węgorza do plastikowego wiadra, które mieliśmy ze sobą.

Włożyliśmy do sieci świeżą porcję letkich i wyrzuciliśmy za burtę.

Uplęnęło piętnaście minut, zanim znaleźliśmy następny więcierz, tym razem pusty. A potem pływaliśmy po kanale w tę i z powrotem przez pół godziny, nie mogąc znaleźć nic, aż nadszedł przyptyw i woda pokryła boje. I wtedy wziąłem wiosła i zacząłem płynąć do brzegu.

Poszliśmy do hotelu, w którym mieszkał ojciec Sissel, i zjedliśmy śniadanie. Nie mieliśmy ochoty rozmawiać o straconych więcierzach, udawaliśmy każdy przed sobą i jeden przed drugim, że je odzyskamy przy następnym odpływie. Ale czuliśmy przecież, że przepadły, zniesione w dół albo w górę rzeki przez potężną falę, a ja wiedziałem, że już nigdy w życiu nie zrobię żadnego

więcierza. Wiedziałem też, że mój partner zabiera Adriana na krótkie wakacje — mieli wyjechać jeszcze tego dnia po południu, zwiedzić lotniska wojskowe, na Imperialnym Muzeum Wojny

kończąc. Jedliśmy jajka na bekonie i pieczarki i piliśmy kawę.

Ojciec Sissel powiedział mi o pewnym swoim projekcie, prostym, ale lukratywnym. Tu na przystani krewetki są bardzo tanie, a za to bardzo drogie w Brukseli. Moglibyśmy dostarczać

tam ze dwie półciężarówki tygodniowo, był w swój beztroski sposób pełen optymizmu i w tym momencie nie wątpił, że jego plan się  
powiedzie. Dopilem kawę. No cóż, powiedziałem, wydaje mi się, że to wymaga pewnego  
przemyslenia. Wziąłem wiadro z  
węgorzem, ostatecznie mogliśmy zjeść z Sissel tego jednego. Mój partner, kiedy  
ściskaliśmy sobie ręce, powiedział mi, że  
najpewniejszy sposób na zabicie węgorza to posypać go solą.  
Życzyłem mu udanego urlopu i rozstaliśmy się milcząco,  
podtrzymując fikcję, że przy najbliższym odpływie jeden z nas pójdzie po stracone  
więcierze.

Po tygodniu przepracowanym w fabryce nie oczekiwałem  
nawet, że przyszedłszy do domu, zastanę Sissel nie śpiącą, ale ona siedziała na łóżku,  
błada, trzymała się za kolana i gapiała w kąt pokoju. Jest tam, powiedziała. Za tymi książkami na  
podłodze.

Usiadłem na łóżku i zdjąłem mokre buty i skarpety. Mysz? Chcesz powiedzieć, że  
słyszałaś mysz? Sissel powiedziała spokojnie: to jest szczur. Widziałam, jak przebiegał przez  
pokój, to jest szczur.

Podeszłam do książek, kopnęłam w nie i on natychmiast stamtąd wyskoczył, słyszałam  
skrobanie jego pazurów po podłodze i potem zobaczyłam, jak biegnie wzdłuż ściany, był  
wielkości małego psa, tak mi się przynajmniej wtedy wydawało, szczur, pękaty, ogromne, szare  
szczurzysko, które wlokło brzuch po podłodze. Przebiegł

cały pokój wzdłuż ściany i wlaźł za komodę. Musimy go stamtąd wyciągnąć, jęczała  
Sissel głosem, który był mi zupełnie obcy.

Skinąłem głową, ale przez chwilę nie mogłem się ruszyć, nawet wykrztusić słowa, taki  
był wielki, ten szczur, i towarzyszył nam przez całe lato, skrobiąc w ścianę, w głębokiej, czystej  
ciszy po naszym kochaniu i podczas snu — nasz domownik. Byłem

przeżony, znacznie bardziej niż Sissel, przekonany, że szczur zna nas równie dobrze jak  
my jego, że jest świadom naszej obecności w pokoju, tak jak my jego obecności za komodą.  
Sissel miała się właśnie odezwać, kiedy usłyszeliśmy na schodach hałas, znajome kroki, salwy  
karabinu maszynowego. Powitałem to z ulgą. Wszedł

Adrian tak jak zwykle, kopnął drzwi i wskoczył do środka,  
przycupnięty, ze spluwą wycelowaną u biodra. Zalał nas potokiem dzikich wrzasków, a  
my położyliśmy palce na ustach, żeby go uciszyć. Jesteście trupy, oboje, powiedział, zamierzając  
przeturlać się przez cały pokój. Sissel znów syknęła, żeby był cicho,

usiłowała gestem przywabić go do łóżka. Dlaczego szysz? Co wam odbiło?  
Wskazaliśmy na komodę. Szczur, wyjaśniliśmy.

Natychmiast upadł na kolana i zaczął go wypatrywać. Szczur? —

zatkąło go. Fantastyczny. Rany, jaki wielki. Fantastyczny. Co macie zamiar z nim zrobić?  
Chodźcie, złapiemy go. Szybko

przeszedłem przez pokój i wziąłem leżący przy kominku  
pogrzebacz, może mój strach utonie w podnieceniu Adriana, będę udawał, że to po prostu  
tylko tłusty szczur jest w naszym pokoju i że łapanie go uważam za wspaniałą przygodę. Sissel  
znów

zapiszczała ze swego łóżka. Co macie zamiar z nim zrobić? Na moment poczułem, jak  
moja ręka zwalnia nieco uścisk na  
pogrzebaczu, to nie był po prostu tylko szczur, to nie była przygoda, wiedzieliśmy o tym

oboje. Tymczasem Adrian

wykonywał swój taniec. Tak, tym, tym będzie najlepiej. Pomagał mi nosić książki, zbudowaliśmy z nich wał wokół komody, ze szczeliną pośrodku, przez którą miał przejść szczur. Sissel bez przerwy nas pytała: co robicie? Co macie zamiar z tym zrobić? —

ale nie śmiała opuścić łóżka. Skończyliśmy wał i podawałem właśnie Adrianowi wieszak, żeby nim wypłoszył szczura, kiedy Sissel nagle zerwała się z łóżka i skoczyła na środek pokoju, usiłując wyrwać mi pogrzebacz. Oddaj mi to, darła się, uczepiona mojej uniesionej ręki. W tym momencie szczur śmignął przez

szczelinę między książkami prosto na nas, wydawało mi się, że widzę jego obnażone zęby. Rozbiegliśmy się, Adrian wskoczył na stół, Sissel i ja na łóżko. Teraz mieliśmy okazję obejrzeć go sobie, kiedy zatrzymał się na środku pokoju, a potem ruszył przed siebie, mogliśmy zobaczyć, jaki jest potężny i tłusty, i szybki, jak jego ciało drży, a ogon sunie za nim jak towarzyszący mu pasożyt. Zna nas, pomyślałem, dybie na nas. Nie mogłem się zmusić do tego, żeby spojrzeć na Sissel. Kiedy stanąłem na łóżku i zamierzyłem się pogrzebaczem, wrzasnęła. Rzuciłem nim z całych sił, uderzył w podłogę ostrym końcem o kilka cali od wąskiego szczurzego łba.

Szczur obrócił się błyskawicznie i zniknął w szczelinie pomiędzy książkami. Słyszeliśmy chrobot jego pazurów o podłogę, kiedy się sadowił za komodą, żeby czekać.

Rozplotłem druciany wieszak, wyprostowałem go, zgiąłem na pół i podałem Adrianowi. Adrian był teraz cichszy, jakby trochę bardziej przestraszony. Jego siostra siedziała na łóżku z kolanami pod brodą. Stałem w odległości kilku kroków od przerwy w

książkach, ściskając pogrzebacz oburącz. Spojrzałem w dół i oczyma duszy zobaczyłem swoje białe bose stopy i obnażone

szczurze zęby wyszarpujące mi z ciała paznokiec. Zawołałem: chwileczkę, muszę włożyć buty. Ale było za późno, Adrian dźgał

już drutem za komodą, a ja nie śmiałem się ruszyć. Pochyliłem się trochę niżej nad pogrzebaczem, jakbym grał w krykieta. Adrian wlaź na komodę i wrzucił drut prosto do kąta. Właśnie coś do mnie krzyczał, nie wiem nawet co, kiedy przerażony szczur

śmignął przez szczelinę w książkach prosto na moje nogi, by dokonać aktu zemsty. Jak w moim przywidzeniu miał obnażone

zęby. Obydwoma rękami zamierzyłem się pogrzebaczem, trafiając go idealnie pod brzuch; szczur wyleciał w górę i poześlował przez pokój niesiony przeciągłym wrzaskiem Sissel dobywającym się spomiędzy jej palców, którymi zasłaniała usta, a następnie pacnął o ścianę i przez moment myślałem, że musiał złamać sobie

kręgosłup. Spadł na grzbiet, rozpruty od końca do końca jak dojrzały owoc. Sissel nie odjęła ręki od ust, Adrian nie ruszył się z komody, ja nie zmieniłem pozycji od chwili zadania ciosu, żadne z nas nie oddychało. Po pokoju rozszedł się lekki odór, zatęchły, intymny, jak zapach miesiączki Sissel. A potem Adrian pierdnął i zachichotał z powstrzymywanego strachu i jego ludzki smród

zmieszał się ze smrodem rozprutego szczura. Stanąłem nad trupem i poruszyłem go lekko pogrzebaczem. Przewrócił się na bok i wtedy z ogromnej rany ziejącej przez całą jego długość wysunął

się u dołu z podbrzusza czerwony przezroczysty worek, a w nim pięć białych zwiniętych kształtów z pyszczkami wtulonymi

między tylne łapki. W chwili kiedy worek dotykał podłogi, dostrzegłem ruch, noga jednego z nienarodzonych szczurów zadrgała jak gdyby w nadziei, ale matka była martwa beznadziejnie.

Sissel uklękła koło szczura. Adrian i ja staliśmy za nią jak strażnicy, jak gdyby miała jakieś specjalne prawo, by klęczeć tam z długą, czerwoną spódnicą rozlewającą się w fałdach dokoła.

Rozchyliła palcami brzegi rany szczurzej matki, wepchnęła z powrotem do środka worek i zsunęła lepka od krwi sierść.

Klęczała tak jeszcze przez chwilę, a my w dalszym ciągu staliśmy za nią. A potem wyjęła ze zlewu trochę naczyń, żeby umyć ręce.

Wszyscy chcieliśmy teraz wyjść z domu, więc Sissel zawinęła szczura w gazetę i znieśliśmy go na dół. Uniosła pokrywę

pojemnika na śmieci, a ja delikatnie go tam złożyłem. I wtedy nagle coś mi się przypomniało, powiedziałem tamtym dwojgu,

żeby na mnie zaczekali, i pobiegłem z powrotem na górę.

Wróciłem po węgorza, który leżał spokojnie w wodzie i przez chwilę nawet myślałem, że też nie żyje, dopóki nie zobaczyłem, że się rusza, kiedy brałem wiadro. Wiatr ucichł i chmury się rozstały, a my szliśmy na przystań na zmianę to w słońcu, to w cieniu. Szybko nadchodził przyptyw. Zeszliśmy po kamiennych schodkach nad samą rzekę, a ja przechyliłem wiadro i wypuściłem węgorza, patrząc, jak śmiga i ginie mi z oczu — biały błysk brzucha w brunatnej wodzie. Adrian powiedział nam do widzenia, myślałem, że uściska swoją siostrę, ale on zawahał się i pobiegł

przed siebie, wołając coś przez ramię. Krzyknęliśmy za nim, życząc mu miłych wakacji. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się z Sissel, żeby popatrzeć na fabryki po drugiej stronie rzeki.

Powiedziała mi, że zamierza rzucić tę pracę.

Przeciągnęliśmy materac na stół i położyliśmy się przed otwartym oknem twarzami do siebie, tak jak na początku lata. Wiał lekki wiatr, przynosząc daleki zapach jesieni, a ja czułem się spokojny i bardzo czysty. Sissel powiedziała: sprzątnijmy pokój po południu i chodźmy na długi spacer, na spacer wzdłuż tamy.

Przycisnąłem dłoń do jej ciepłego brzucha i powiedziałem: tak.

## **PRZEBRANIA**

Mina. Ta Mina. Łagodna teraz i lekko zachrypnięta, w grubych okularach, pamięta swój ostatni występ na scenie.

Zgorzkniała Goneril na deskach Old Vic; nie było wpadki, chociaż przyjaciele uważali, że już wtedy z głową tej Miny zaczęło się dziać coś niedobrego. Twierdzili, że w pierwszym akcie potrzebowała suflera, a w przerwie nawrzeszczała na Bogu ducha winnego technicznego, zadrapała go nawet swoim długim

cynobrowym pazurem: zrobiła mu krechę pod okiem i dalej w prawo leciutką rysę przez cały policzek. Król Lear, tydzień wcześniej pasowany na rycerza, czcigodny człowiek teatru wśród domowych profanów, wszedł między nich, razem z

reżyserem,

wymachując w jej stronę programem. „Ty królewski dupolizie!”

— dostało się jednemu, i „Ty zakulisowy alfonsie!” — drugiemu, a następnie Mina opluła obu, po czym grała jeszcze jeden wieczór i to tylko dlatego, że trzeba było dać trochę czasu dublerce. Ten jej ostatni występ na scenie — ach, jaka to była wielka dama —

szerokie gesty tu i tam, raz w porę, raz nie w porę, pociąg w tunelu białego wiersza, dumny niewypchany niczym biust unoszący się przy każdym jej jakże odważnym zawodzeniu.

Wkrótce po

rozpoczęciu spektaklu rzuciła od niechcienia plastikową różę w stronę pierwszego rzędu, a kiedy Lear recytował swoją kwestię, zabawiała się wachlarzem, co od czasu do czasu wywoływało

chichoty. Ludzie na widowni, wyrafinowani, wrażliwi i

współczujący, przeżywali razem z nią melodramat rozpaczy, bo wiedzieli o problemie Míny i na koniec, przy brawach, nagrodzili ją sownic owacją. W odpowiedzi na co Mina zalała się łzami i uciekła do garderoby, dramatycznym gestem trzymając się za czoło.

Dwa dni później umarła jej siostra Brianie, matka Henry’ego, więc Mina, myląc daty, na herbatce z okazji pogrzebu oto, co powiedziała przyjaciółom: zrezygnowała z teatru, żeby zająć się dzieckiem siostry, wówczas dziesięcioletnim chłopcem będącym w jakże wielkiej potrzebie. Mówiła swoim przyjaciółom o matce rodzonej. O Rodzonej Matce. Ona sama była matką nadprzyrodzoną.

W salonie swojego domu w Islington przyciągnęła siostrzeńca do siebie, przytuliła krostowatą buzię do wypchanego już teraz i wyperfumowanego biustu, i to samo zrobiła następnego dnia w taksówce jadącej na Oxford Street, gdzie kupiła mu flakon wody kolońskiej i garnitur Fauntleroy z koronkowymi obszywkami. W kolejnych miesiącach zapuściła mu włosy prawie do ramion, co było śmiało jak na wczesne lata sześćdziesiąte, zachęcała go też, żeby się przebierał do obiadu — co stanowi główny motyw tej historii — nauczyła go przygotowywać dla niej wieczorne drinki, sprowadziła nauczyciela gry na skrzypcach i instruktora tańca, a w urodziny Henry’ego krawca od koszul i wreszcie fotografa z grzecznym piskliwym głosem, który zrobił im spłowiełe brązowawe zdjęcia przedstawiające Minę w kostiumie na tle kominka, a to wszystko, powiedziała Mina, stanowiło doskonale przygotowanie.

Doskonale przygotowanie — ale do czego? Henry nie zadał tego pytania ciotce ani nawet sobie, nie był typem przewrażliwionego introwertyka, akceptował swoje nowe życie z jego narcyzmem, nie formułując opinii w jedną ani w drugą stronę, traktując wszystko jako następstwo jednego faktu. A tym faktem była śmierć jego matki, której obraz po upływie sześciu miesięcy stał się nieuchwytny jak ledwie widoczna gwiazdka. Były jednak pewne szczegóły budzące jego ciekawość. Kiedy fotograf,

miotając się po pokoju, pakował trójnog, a następnie wyszedł, Henry zapytał Minę wracającą od drzwi wejściowych: —

Dlaczego ten pan ma taki dziwny głos? — Zadowolił się jednak odpowiedzią, z której niewiele zrozumiał: — Myślę, kochanie, że ten pan jest pedałem. — Zdjęcia nadeszły szybko w

ciężkich

paczkach. Mina latała jak szalona po kuchni w poszukiwaniu okularów, krzycząc, chichocząc i szarpiąc za sztywny szary papier.

Fotografie były w złotych owalnych ramkach i Mina popchnęła je w stronę Henry'ego.

Na brzegach brąz był jaśniejszy, miejscami prawie całkowicie zanikał jak dym, cenny i nierealny. Henry, blady, bierny i wyprostowany, z ręką delikatnie wspartą na ramieniu Miny, która siedziała na stołku od pianina. Dokoła niej spływały fałdy spódnic, głowa lekko odchylona do tyłu, buzia w ciup, czarne włosy upięte w ciężki kok spoczywający na karku.

Roześmiana i podniecona Mina sięga po drugą parę okularów, żeby lepiej przyjrzeć się zdjęciom, z odległości wyciągniętej ręki, odwracając się, przewraca dzbanek mleka, co ją jeszcze bardziej rozśmiesza, więc się cofa gwałtownie, żeby uniknąć białego

strumienia, który wije się po podłodze między jej nogami. A wśród wybuchów śmiechu pyta: — Czy nie są wspaniałe? Jak myślisz, kochanie? — Są w porządku — odpowiada Henry. — Tak sędzę.

Dobre przygotowanie? — Mina też nie zadała sobie pytania, co miała wtedy na myśli. Ale gdyby zadała, odpowiedź brzmiałaby, że miało to coś wspólnego ze sceną. Bo wszystko, co robiła, wiązało się ze sceną. Zawsze, nawet kiedy była sama na scenie, obserwowała ją publiczność, a zatem wszelkie jej działania były przeznaczone dla niej, rodzaj superego, nie śmiała zawieść publiczności czy siebie, więc nawet kiedy wieczorem, po

męczącym dniu, padała z jękiem na łóżko, to ten jęk miał swój kształt i coś mówił. A rano też, siadając w sypialni do makijażu przed lustrem zwieńczonym niewielką podkową gołych żarówek, to nawet wtedy czuła na plecach setki oczu i każdy jej ruch był elegancko wykończony ze świadomością jego wyjątkowości.

Henry nie należał do tych, którzy widzą to, co niewidoczne, i mylnie oceniał Minę. Kiedy więc śpiewała albo wyrzucała w górę ramiona, kręciła piruety, kupowała parasole i kostiumy albo naśladowała wobec mleczarza jego akcent, albo wносиła z kuchni do jadalni jakieś danie, trzymając je wysoko przed sobą,

pogwizdując przy tym przez zęby wojskowego marsza i wystukując rytm dziwnymi baletkami, w których chodziła — otóż zawsze wtedy wydawało się Henry'emu, że Mina robi to dla niego.

Czuł się z tym nieswojo, był trochę nieszczęśliwy, nie wiedział, czy ma klaskać, czy nie, czy powinien coś zrobić, może się do niej przyłączyć, bo Mina mogłaby pomyśleć, że się na nią dąsa?...

Zdarzało się, owszem — kiedy ten nastrój mu się udzielił — że istotnie się do niej przyłączał i choć niepewnie, to jednak w jakiejś uroczystej szaleńczej maskaradzie paradował po pokoju. Ale wtedy chwycił w oku Miny coś, jakiś błysk ostrzegawczy, który mówił, że pokój jest tylko dla jednego aktora, więc wytracał impet, lądując na najbliższym krześle.

Owszem, martwiło go to, ale poza tym nie była zła, kiedy wracał po południu ze szkoły, czekała na niego herbata, specjalne smakołyki — jego ulubione ciastka z budyniem albo tostowane bułki, no i rozmowa. Mina zwierzała mu się ze swoich

całodziennych wrażeń i sekretów, bardziej jak żona niż jak ciotka



— mówiła szybko, z ustami pełnymi pogryzionego ciastka, plując okruchami, z półksiężycem tłuszczu na górnej wardze. — Na

lunchu w Trzech Beczkach spotkałam Julie Frank, jak ona może żyć z tym dżokejem czy trenerem jazdy konnej, obojętne zresztą, nawet nie myśląc o ślubie, ale to złośliwa suka, Henry.

— Julie —

mówię do niej — a co z tą historią o skrobance Maxine, którą rozpowiadasz na prawo i lewo? — wspominałam ci o tej

dziewczynie, prawda? — Skrobance? — ona na to. — A, o to ci chodzi. Tylko zabawa i chichoty, Mina, nic więcej. — Zabawa i chichoty? — powiadasz. — Kiedy tam poszłam, czułam się jak

kompletna idiotka. — Oooo, naprawdę, co ty mówisz?

Henry jadł ekleri, w milczeniu kiwając głową; lubił po całym dniu szkoły posłuchać sobie jakiejś historii, Mina tak wspaniale opowiadała. A potem, przy drugiej filiżance herbaty, była kolej na Henry'ego, żeby to on opowiedział o swoim dniu, tylko wolniej, nie tak wielopłaszczyznowo. — Najpierw mieliśmy historię, potem śpiew, a potem pan Carter zabrał nas na spacer na Hampstead Hill, bo powiedział, że zasypiamy, a potem była przerwa, a po przerwie mieliśmy francuski i wypracowanie. — Ale oczywiście trwało to dłużej, bo Mina się ciągle wtrącała, robiąc uwagi w rodzaju:

„Historia to był zawsze mój ulubiony przedmiot, pamiętam...”, albo: „Hampstead Hill to najwyższy punkt w Londynie, musisz bardzo uważać, żeby nie spaść, kochanie”. A co do wypracowania, to czy ma je ze sobą, czy je przeczyta? Chwileczkę, Mina musi się poprawić na krzesle, no, już, Henry może mówić dalej. Tłumacząc się w myślach, bardzo niechętnie, wyjął zeszyt z tornistra, wygładził kartki i zaczął czytać monotonnym głosem jak speszony robot: „Nikt w miasteczku nie zbliżał się do zamku na Grey Crag z powodu przeraźliwych krzyków, jakie dochodziły stamtąd o

północy...”. Na koniec Mina zaczęła tupać z zachwytem i klaskać, i wykrzykiwać, jak się to zdarza w ostatnich rzędach w teatrze, a następnie podniosła wysoko filiżankę, wołając: „Musisz

koniecznie mieć agenta, kochanie”. No a potem znów była kolej na Minę, wzięła od Henry'ego wypracowanie i sama zaczęła je czytać z odpowiednimi pauzami, wydając dla efektu piskliwe wycia,

dzwoniąc łyżkami i przekonując Henry'ego, że wypracowanie jest bardzo dobre i robi wrażenie.

Taka herbata ze zwierzeniami mogła trwać i dwie godziny; szli potem każde do swojego pokoju przebrać się do obiadu. Kiedy minął wrzesień, Henry zastawał w swoim pokoju płonący na

kominku ogień, migotliwą poświatę i wijące się na ścianach cienie mebli, a na łóżku rozłożony kostium czy garnitur, czy to, co mu Mina wybrała na wieczór. Przebijanie się do obiadu — te dwie godziny wystarczały pani Simpson, żeby wejść, a otwierała sobie własnym kluczem, ugotować posiłek i wyjść; Minie, żeby się

wykąpać i w ciemnych okularach poleżeć pod „słoneczkiem”, a Henry'emu, żeby odrobić lekcje, poczytać stare książki i pobawić się różnymi gratami. Mina i Henry znajdowali stare książki i mapy w wilgotnych, zatęchłych sklepikach koło British Museum,

kupowali stare rupiecie na Portobello Road i na targowisku

Camden, a także w sklepikach typu „kupujemy i sprzedajemy

wszystko” w Kentish Town. Rząd słoni o żółtych oczach — od największego do najmniejszego — całkiem sprawny nakręcany pociąg z kolorowej blachy, kukielki bez sznurków, zakonserwowany w słoiku skorpion. A także wiktoriański teatrzyk dla dzieci na dwie osoby, z grzeczną instrukcją obsługi do odgrywania scen z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. Przez dwa miesiące popychali spłowiałe tekturowe figurki na tle zmieniających się dekoracji — wystarczył jeden ruch ręki w nadgarstku — przy akompaniamencie uderzania nożem o łyżkę, kiedy na przykład trwała walka na miecze. Mina klęczała, w wielkim napięciu, czasem zła, kiedy Henry zapominał roli, co zdarzało mu się dość często, ale i jej też, i co zawsze kończyło się wspólnym śmiechem. Mina potrafiła naśladować głosy — złoczyńcy, pana, księcia, bohaterki, powoda w sądzie — i nawet próbowała uczyć tego chłopca, ale na próżno, co wywoływało nowe wybuchy śmiechu obojga, bo Henry znał tylko dwa rodzaje głosu: niski i wysoki. Ale Mina znudziła się tekturowym teatrzykiem i teraz już tylko Henry rozkładał go przed kominkiem i, zbyt nieśmiały, żeby głośno recytować role, pozwalał, aby postacie mówiły w jego myślach. Na dwadzieścia minut przed obiadem zdejmował szkolne ubranie, mył się, wkładał kostium, który mu Mina wyznaczyła na wieczór, i szedł do jadalni, gdzie czekała na niego ciotka w swoim kostiumie.

Bo Mina je kolekcjonowała — te kostiumy, przebrania, stroje, stare ubiory — kupowała je, gdzie tylko się dało, i dokonując niezbędnych przeróbek, zapełniła nimi trzy szafy. A teraz objęła tym i Henry’ego. Kupiła mu wprawdzie kilka garniturów na Oxford Street, ale resztę stanowiła spuścizna po amatorskich grupach teatralnych, które skończyły żywot, po zapomnianych pantomimach czy rzeczy poza wyborem od najlepszych nawet kostiumologów — takie Mina miała hobby, rozumiecie. Do obiadu Henry wkładał mundur żołnierza, uniform przedwojennego windziarza z amerykańskiego hotelu — dziś już zapewne starego człowieka — habit zakonnika czy szatę pasterza z *Sielanek* Wergiliusza granych zwykle przez dziewczyny z szóstej klasy, a napisanych czy zaaranżowanych przez gospodynię klasową, którą kiedyś była Mina. Henry, mało dociekliwy i posłuszny, co wieczór wkładał to, co znalazł w nogach łóżka. Na dole zastawał Minę w turniurze albo w krynolinie, w naszywanym cekinami kostiumie kota czy w stroju pielęgniarki z czasów wojny krymskiej. Ale Mina nie była przez to inna ani nie grała pod swoje aktualne przebranie, nie komentowała też wyglądu obojga, w gruncie rzeczy robiła wrażenie, jakby chciała o tym wszystkim zapomnieć — zjeść tylko posiłek, zrelaksować się, napić ze szklanki, którą jej poda siostrzeniec — tak, żeby nabrał wprawy. Henry przestrzegał rutyny, a nawet polubił ten rytuał przeciągającego się picia herbaty i sztucznie budowanej bliskości, po drodze ze szkoły zastanawiał się, jakie przebranie go czeka, w nadziei że znajdzie coś atrakcyjnego. Ale Mina była tajemnicza, nie uprzedzała go w czasie herbaty, że szykuje się coś nowego, pozwalała mu samodzielnie dokonywać odkryć, uśmiechała się

nawet do siebie, patrząc, jak ubrany w togę, którą gdzieś tam wyszperała, przygotowuje dla niej drinka, sobie nalewając

lemoniadę. Na koniec w milczeniu wznosili szklankami toast przez długość dużego pokoju. A potem Mina patrzyła na niego uważnie, dokonując pewnych korekt w jego wyglądzie, i wreszcie zaczynała jeść przy akompaniamencie zwykłej paplaniny — o tym, jak to było za jej czasów w teatrze — czy po prostu opowieści o innych.

Wszystko to, tak bardzo dziwne, Henry'emu wydawało się zwyczajne, a w zimie nawet miłe.

Pewnego popołudnia, wracając z herbaty, Henry zastał w swoim pokoju leżącą na łóżku, twarzą w dół, dziewczynę; podszedłszy nieco bliżej, stwierdził, że nie jest to dziewczyna, tylko suknia balowa i peruka o długich blond włosach, a oprócz tego białe rajstopy i czarne skórzane pantofelki. Wstrzymując oddech, dotknął sukni: była chłodna, złowieszczo jedwabista i szeleściła, kiedy ją wziął z łóżka. Suknia, cała w szczypankach i falbankach, jedna na drugiej, biały atlas i koronki obszyte czymś różowym, a z tyłu spływająca w dół słodka kokarda. Upuścił

suknię — najbardziej dziewczęcą rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu widział — z powrotem na łóżko. Wytrzeł rękę w spodnie, nie mając odwagi dotknąć peruki, która była jak żywa. Ale przecież nie to, nie on — czy Mina rzeczywiście chciała, żeby on to na siebie włożył? Patrząc w rozpacz na łóżko, wziął do ręki białe rajstopy: nie, nie te, z pewnością. Być żołnierzem, Rzymianinem, paziem albo kimś takim, zgoda, ale dziewczyną? W żadnym razie.

Henry, tak jak jego najlepsi szkolni koledzy, nie lubił dziewczyn, unikał ich, szczególnie w grupkach, mierzyły go ich intrygi, szepty i chichoty, trzymanie się za ręce, posyłanie sobie liścików, a słysząc nieustannie: „Kocham cię, kocham cię”, dosłownie zgrzytał

zębami. Skwaszony, usiadł przy biurku i zaczął się uczyć na pamięć francuskich słówek: *armoire* — szafa, *armoire* — szafa, *armoire* — szafa, *armoire*?... — co chwila spoglądając przez ramię, czy dziewczęcy strój dalej leży na łóżku. Leżał. Pozostało dwadzieścia minut do obiadu, fatalna sprawa, nie zdejmie ubrania i nie włoży tamtego, a przecież zaburzenie rytuału przebierania się byłoby czymś strasznym, zwłaszcza że słyszał, jak Mina śpiewa, wychodząc z łazienki i robi makijaż w sąsiednim pokoju. A może

— kiedy szła dzisiaj, żeby to kupić, albo jeszcze wczoraj, kiedy mówiła mu, jak drogie są dobre peruki i jak trudno je dostać —

może wtedy powinien był ją zapytać, czy mógłby włożyć coś innego. Siedząc w drugim końcu łóżka, jak najdalej od dziewczęcego przebrania, bliski łez, po raz pierwszy od wielu miesięcy zatęsknił za matką jako kimś pewnym, solidnym i

niezmiennym, osobą, która zarabiała jako maszynistka w Ministerstwie Transportu. Słyszał, jak Mina mija jego drzwi i schodzi na dół, gdzie będzie na niego czekać, więc zaczął

rozwiązywać sznurowadło, ale po chwili się rozmyślił. Mina zawołała, bez jakiegokolwiek wyczuwalnej zmiany w głosie: —

Henry, kochanie, idziesz na obiad? — A on odpowiedział głośno:

— Za chwileczkę. — Ale nie mógł się ruszyć, nie mógł choćby dotknąć tych rzeczy, nie był w stanie nawet udawać dziewczyny.

Ale oto na schodach rozległy się jej kroki, Mina szła sprawdzić, co się stało. Henry ściągnął jeden but na dowód dobrej woli; to wszystko, co mógł zrobić.

Weszła do jego pokoju ubrana w coś, w czym nigdy dotychczas jej nie widział, a mianowicie w mundur oficera — energiczna, wyprostowana, złote epolety, spodnie z czerwonymi lampasami, włosy upięte do góry i być może natłuszczone,

błyszczące czarne buty, na twarzy głębokie męskie bruzdy i cień wąsika. Wojskowym krokiem przemaszerowała przez pokój. —

Ależ, kochanie, nawet jeszcze nie zacząłeś się szykować, pozwól, że ci pomogę, i tak trzeba będzie zawiązać sukienkę z tyłu — i Mina zaczęła mu poluzowywać krawat. Henry stał, zbyt

odrętwiały, żeby się opierać, a ona jakże pewnymi ruchami ściągała mu koszulę, spodnie, drugi but, skarpetki i wreszcie, o dziwo, kalesony. Czy się już umył? Wzięła go za rękę i

posterowała nim w stronę umywalki, którą napełniła ciepłą wodą, a następnie umyła i wytarła mu twarz i w jakimś szaleńczym

własnym rytmie, zamaszystymi ruchami wypucowała całe ciało.

Stał nagi pośrodku pokoju, jakby w koszmarnym śnie, podczas gdy Mina, grzebiąc na łóżku wśród ubrań, znalazła wreszcie to, czego szukała. Odwróciła się do niego z parą białych majtek w rękę, a Henry, widząc, że się do niego zbliżają, powiedział w myśli „nie”.

Mina schyliła się do jego stóp, powiedziała wesoło: — Podnieś nogę — i postukała go w stopę wierzchem dłoni. Ale Henry nie mógł się ruszyć, stał przestraszony nutą zniecierpliwienia w jej głosie. — No, Henry, żwawo, bo obiad będzie do wyrzucenia. —

Henry poruszył językiem, zanim się odezwał: — Ale ja nie chcę tego włożyć. — Przez chwilę Mina pozostawała w tej samej pozie

— zgięta, z głową przy jego stopach, po czym wyprostowała się i złapała go za przedramię. Uszczypnęła go paskudnie, złośliwie, patrząc mu z bliska w oczy, dosłownie wsysając go wzrokiem.

Zobaczył nałożoną na jej twarz maskę podkładu, fizjonomię starego mężczyzny, frywolne blizny, wargę rozciągniętą w złości na zębach i zaczął dygotać — najpierw nogi, a potem na całym ciele. Potrząsnęła go za ramię i syknęła: — Podnieś nogę —

czekając, aż Henry spełni polecenie, ale widocznie ten ruch zwolnił napięcie mięśni, bo po nodze chłopca pociekł strumyk moczu. Mina ponownie pchnęła go w stronę umywalki, gdzie szybko wytarła mu nogę ręcznikiem, mówiąc: — No, teraz — a

on, zbyt przerażony i upokorzony, żeby odmówić, podniósł najpierw jedną, potem drugą nogę, poddając ciało chłodnemu dotykowi sukni, po czym schylił głowę, by go Mina mogła zasnurować z tyłu, aż wreszcie przyszła kolej na rajstopy, skórzane pantofelki i w końcu na ciasną perukę, której złociste loki opadły mu na oczy i rozsypały się na ramionach.

Henry zobaczył się w lustrze — słodką do obrzydliwości ślicznotkę, od której natychmiast odwrócił wzrok. Głęboko nieszczęśliwy i nadąsany, na drżących w dalszym ciągu nogach, szeleszcząc suknią, podreptał na dół za Miną, która, rozanielona teraz, pozwałała sobie na małe pojednawcze żarciki dotyczące jego oporów, mówiła nawet o jakiejś wycieczce, może do wesołego miasteczka Battersea, i nawet Henry, mimo całego swojego zmieszania, widział, że jest podniecona jego obecnością i

wyglądem, ponieważ dwukrotnie podczas posiłku wstawiała, żeby go ucałować, uściskać i przejechać palcami po tkaninie sukienki.

— Nic się nie stało, nic się nie stało. — Później Mina wypłała trzy kieliszki porto i rozwalona w fotelu jak pijany żołnierz zaczęła wzywać swoją dziewczynę, żeby mu usiadła na oficerskich

kolanach. Ale Henry trzymał się od niej z daleka, za każdym razem, kiedy pomyślał: czy ona jest taka podła, czy taka szalona, czuł w brzuchu drobne skurcze paniki — nie potrafił tego ocenić.

Jedno było dla niego pewne: że ta gra w przebieranki straciła cały swój urok, wyczuwał jakiś przymus z jej strony, nie śmiał się Minie przeciwstawić, było w tym coś ciemnego i ponurego — w tym, jak go zmuszała, jak do niego syczała — tego wszystkiego nie rozumiał i starał się za wszelką cenę wyprzeć ze swojej świadomości. Tak więc pod koniec wieczoru, zmęczony unikaniem jej rąk, którymi próbowała go złapać i posadzić sobie na kolanach, a także widokiem ładnej blondyneczki w wizytowej sukience,

którą oglądał w wielu lustrach tego pokoju, powiedział sobie: —

To jej sprawa, ta zabawa jest tylko dla niej, to nie ma ze mną nic wspólnego.

Bał się tego czegoś, co tkwiło w niej, a czego nie rozumiał.

Ogólnie rzecz biorąc, Henry lubił Minę, była jego przyjaciółką, chciała, żeby się śmiał, nie mówiła mu, co ma robić. Rozśmieszała go, udając różne głosy, a kiedy opowiadała jakąś historię i była podniecona, co zdarzało się dość często, przemierzała salon wzdłuż i wszerz, dając na jego użytek całe przedstawienie. —

Kiedy Debora opuściła swojego męża, poszła prosto na przystanek autobusowy... — Tu Mina wykonywała coś w rodzaju tańca i

wymachując rękami, wychodziła krokiem marszowym na środek

pokoju... — ale dopiero wtedy uświadomiła sobie, że w porze

lunchu nie było żadnych autobusów z miasteczka... — Tu z kolei, osłaniając dłonią oczy, wypatrywała w pokoju autobusu; drugą zaś rękę unosiła do ust w wyrazie nagłego olśnienia, które

opromieniało jej twarz, jakby słońce wyszło zza chmur... —

Wróciła więc do domu, żeby zjeść lunch... — znów kilka

kroczków... — i oto zastała swojego męża, który siedząc przed dwoma pustymi talerzami i bekając, powiedział:

— Nie spodziewałem się ciebie w domu, więc zjadłem i twoją porcję — ...wziąwszy się pod boki, Mina wytrzeszczyła oczy na Henry'ego, który teraz, jak siedzący przy stole mąż, zastanawiał się, czy ma się włączyć do gry, rozwalić na krześle i beknąć. Ale zamiast tego zaczął się śmiać, bo i Mina się śmiała —

jak zawsze kiedy dochodziła do końca opowiadanej przez siebie historii. Od czasu do czasu występowała teraz w telewizji, za co ją Henry podziwiał, chociaż na ogół były to tylko spoty reklamowe, w których zwykle grała rolę gospodyni domowej używającej

właściwego proszku do prania. W lokówkach i z włosami

związanymi szalikiem trajkotała z jakąś sąsiadką, która zaglądając przez płot, pytała ją o prześcieradła, jak ona to robi, że są takie białe, a Mina, ze swoim akcentem z Souf Lunnun, zdradzała

tajemnicę ich bieli. Płaciła za telewizor wyłącznie ze względu na reklamy; siedzieli

wtedy, z programem na kolanach, czekając na odpowiedni moment, a kiedy nadchodził, śmiali się do rozpuku. Po reklamie Mina wyłączała telewizor; czasem tylko oglądali

normalny program i kiedy pojawiali się aktorzy, Mina od razu robiła się zła: — Chryste! I to jest Paul Cook, poznałam go, kiedy zamiatał podłogę w teatrze w Ipswich! — Zrywała się z krzesła, po drodze do kuchni wyłączała telewizor z gniazdka, a Henry jak ta ofiara siedział i gapił się w znikający pośrodku ekranu biały punkt.

Pewnego popołudnia, przed Bożym Narodzeniem, przyszedł ze szkoły późno, zmarznięty, i znalazł przy swoim nakryciu do herbaty ułożony przez Minę stosik. Jego zadaniem było

wyszukanie gładkich białych kart zapisanych staroświeckim ozdobnym, wąskim drukiem: „Mina i Henry mają zaszczyt zaprosić państwa na przyjęcie. Kostiumy pożądane. RSVP”. Henry przeczytał kilka zaproszeń — jego imię w druku wydało mu się jakieś obce — po czym spojrzął na siedzącą naprzeciwko niego Minę, która go obserwowała z niepewnym uśmiechem

unoszącym się w przestrzeni między nimi i gotowym wybuchnąć na pierwszy dany przez niego sygnał. Podniecony, ale skrzepowany jej oczekiwaniem i niezdolny, by to okazać, wykrztusił tylko bez przekonania: — To bardzo miłe — co było fałszywe, ponieważ

wcale tak nie czuł, nigdy bowiem nie był na przyjęciu ani nie widział swojego imienia na żadnym zaproszeniu. Ale Mina miała w sobie coś, co sprawiało, że nie mógł tego powiedzieć, więc zapytał tylko: — Kostiumy? Jakie kostiumy? — Jednak było już za późno, bo Mina zdążyła tymczasem wstać i ze śmiechem, drobiąc nóżkami jak balerina i śpiewając w takt swoich kroczków, *To miło? To miło? To miło?*, okrążyć cały pokój, by w końcu wrócić do stołu i krzesła, skąd obserwował ją z bardzo niepewną miną Henry. Stała za nim, mierzwiąc mu włosy niby z czułości, ale w gruncie rzeczy ciągnąc go boleśnie, aż mu się zakręciły łzy w oczach. — Henry, kochanie, to będzie straszne, fantastyczne, okropne, ale w żadnym razie miłe, nic z tego, co robimy, nigdy nie będzie miłe. — Mówiąc to, cały czas grzebała mu we włosach, przepłatając je między palcami. Odwrócił się, żeby popatrzeć w górę i uciec, ale ona, unieruchomiona dziwym spojrzeniem jego oczu o wielkich białkach, złagodniała i uściśniła go z autentyczną czułością. — Będą to najwspanialsze chwile w naszym życiu, czy nie czujesz podniecenia? A co myślisz o zaproszeniach? —

Ponownie wziął karty do ręki. — Nikt nie odważy się nie przyjść — powiedział poważnie. Jej napastliwy ton gdzieś znikł i Mina, nalewając herbatę, wyjaśniła, że przebrania muszą być nie do odgadnięcia, po czym zaczęła opowiadać żarty i anegdoty na temat przyjaciół, których zamierzała zaprosić.

Po obiedzie rozmawiali przy żarzących się na kominku węglach. Mina była ubrana w stylu New Look z czasów reglamentacji, Henry miał na sobie garnitur Fauntleroy. Po długiej ciszy zapytała nagle: — A ty? Kogo ty zamierzasz zaprosić? —

Przez kilka minut Henry nie odpowiadał, myśląc o swoich szkolnych przyjaciółkach. W szkole był inny, bo i w szkole było inaczej — brał udział w grach ruchowych, grał w głośny futbol ze ścianą, a w klasie, zapożyczając od Miny różne słowa i anegdoty, tworzył własne; nauczyciele uważali go za umiarkowanie

przemądrzałego. Przyjaźnił się z wieloma, ale chodził własnymi drogami i nie miał, jak niektórzy koledzy, przyjaciela od serca. A w domu, siedząc w ciszy i skupieniu podczas różnych spektakli i nastrojów Miny, żeby nie zgubić wątku, nie myślał o dwóch

domach jednocześnie — jednym dużym, wolnym, z wielkimi oknami i linoleum na podłogach i długimi rzędami kołków na płaszcze, i drugim — dusznym, ze skarbami Henry'ego w jego pokoju, dwiema filiżankami herbaty i gierkami Miny. Zdawanie jej sprawy z całego dnia było jak opowiadanie snu przy śniadaniu —

prawda i jednocześnie nieprawda — w końcu powiedział: — Nie wiem, nikt mi nie przychodzi do głowy. — Czy ci, z którymi grywał w futbol, mogliby być w jednym pokoju z Miną? — Czy nie masz w szkole żadnych przyjaciół wartych tego, żeby ich zaprosić do domu? — Henry nie odpowiedział. Jak oni mogliby wystąpić w przebraniach, w kostiumach i tak dalej? Byłoby to niestosowne.

Następnego dnia już go o to nie pytała; skupiła się na detalach i pomysłach, które dosłownie spadły na nią jak lawina, przez cały dzień nie mogła myśleć o niczym innym. Żeby ułatwić zabawę w przebieranki, należało przyciemnić światła. — Nawet najlepsi przyjaciele nie będą w stanie się rozpoznać. — Przebrania muszą pozostać tajemnicą, nikt nie ma prawa wiedzieć, kim jest Mina, która będzie się kręciła wśród gości swobodnie, bawiąc się doskonale, a oni będą sami sobie brali drinki i dokonywali prezentacji — naturalnie pod fałszywymi imionami — ale przecież to wszystko są ludzie teatru, mistrzowie przebrania, mistrzowie kreowania postaci, bo właśnie na tym polega sztuka aktorska, tak jak ją widziała Mina, kreowanie siebie, czyli, innymi słowy — przebranie. Zdyszana od nadmiaru szczegółów wpadła na pomysł w kąpiel: oczywiście czerwone żarówki, poncz według specjalnej receptury, trzeba załatwić muzykę, no i może jakieś kadzidełko. A potem rozesłała zaproszenia, dokonano wszelkich możliwych przygotowań i zostały jeszcze dwa tygodnie do przyjęcia, więc Mina, a co za tym idzie i Henry przestali mówić na ten temat.

Ponieważ знаła wszystkie jego kostiumy — sama je przecież kupowała — a nie chciała wiedzieć, za kogo będzie w tym dniu przebrany, dała mu pieniądze, żeby sam sobie kupił kostium, zastrzegając, że ma się z niczym przed nią nie zdradzić. Jedną z sobót poświęcił więc na poszukiwania i — proszę. W sklepie ze starociami niedaleko stacji metra Highbury i Islington, wśród aparatów fotograficznych, zepsutych golarek i pozółkłych książek

— znalazł rodzaj monstrualnej twarzy Borysa Karloffa, zrobionej z materiału, z otworami na oczy i usta, w formie naciąganego na głowę kaptura. Maską miała sztywne sterczące na wszystkie strony włosy, była śmieszna, wyrażała zdziwienie, w żadnym razie nie była przerażająca, i kosztowała, jak poinformował Henry'ego sprzedawca, trzydzieści szylingów. Nie mając tego dnia przy sobie pieniędzy, Henry poprosił o odłożenie mu maski do poniedziałku, zapewniając, że przyjdzie po nią w drodze powrotnej ze szkoły.

• • •

Ale tego dnia Henry tamtędy nie przechodził — tego dnia poznał Lindę. Zestawiono ławki parami, po cztery, robiąc przerwę do przechodzenia. Henry był nowy w klasie, dumny, że miał ławkę dla siebie, podczas gdy inni musieli z kimś

siedzieć. Jego mapy, książki i dwie pacynki zajmowały obie strony pulpitu. Dobrze było siedzieć z tyłu i móc wszystko rozłożyć. Nauczyciel, wyjaśniając, ile to jest dwadzieścia pięć stóp, powiedział, że mniej więcej tyle co stąd do ławki Henry'ego. Wszyscy się odwrócili, żeby zobaczyć, jak to daleko, i okazało się, że oczywiście chodziło o jego ławkę. A w poniedziałek pojawiła się dziewczyna, całkiem nowa uczennica, która usiadła w jego ławce i jakby nigdy nic, wyłożyła swoje kredki. Widząc, że się na nią gapi, spuściła oczy i powiedziała cicho, ale bez skrępowania: — Nauczyciel kazał mi tutaj usiąść — na co Henry, naburmuszony, usiadł także.

Naruszono jego teren, a co gorsza, dopuściła się tego dziewczyna.

Przez pierwsze trzy lekcje siedziała koło niego, jakby jej nie było, i Henry patrzył przed siebie, bo spojrzenie w bok oznaczałoby, że godzi się na jej obecność, jednej z tych dziewczyn, co to szukają twojego wzroku i nie spuszczają oczu. Na przerwie wstał przed innymi i stanął pod schodami, popijając mleko i unikając

przyjaciół. Czekał, aż wszyscy wyjdą z klasy, żeby tam wrócić i opróżnić dla niej pół ławki. Nadąsany chował do dwóch toreb różne drobiazgi — lokomotywę od nakręcanej kolejki, stare

ubranie i rozmaite szpargały — czując się trochę jak męczennik, po czym postawił to wszystko za jej krzesłem, żeby wiedziała, co to znaczy niewygodna. Siadając po przerwie, uśmiechnęła się

nerwowo, ale on, ożywiony, udawał, że ma to wszystko w nosie, i odwrócił się, zacierając ręce.

Jednak zły humor przemija i zwycięża ciekawość, więc

Henry rzucił od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia, a potem nawet częściej, bo pewne jej charakterystyczne cechy — długie delikatne jasnoblond włosy okrywające ramiona i plecy, biała cera jak papier, tylko że prawie przezroczysta, nos, prosty, wąski i napięty, z rozdętymi jak u konia chrapami i przestraszone wielkie szare oczy — coś w nim poruszyły. Wiedząc, że Henry znów ją obserwuje, zaryzykowała nieśmiały uśmiech, unosząc kąciki ust, co wywołało u niego kłopotliwy ni to dreszcz, ni to ruch w tak zwanym dołku, dlatego przesunął wzrok na front klasy, niejasno zdając sobie sprawę, że oto znalazł się w sytuacji, w której zwykło się mówić, że ta czy tamta dziewczyna jest piękna, i że do tej pory zawsze myślał, że Mina przesadza.

W miarę dorastania człowiek może się zakochać — tyle

Henry wiedział — w jakiejś dziewczynie, którą pozna, i wtedy bierze z nią ślub, ale tylko, kiedy pozna taką, która mu się podoba, ale co ma zrobić Henry, skoro większości dziewczyn nie był w stanie zrozumieć? Ta jednak — widział, że łokciem prawie

wyjechała na jego stronę ławki — była krucha i inna, miał ochotę dotykać jej szyi, zbliżyć stopę do jej stopy albo... Czyżby Henry miał poczucie winy z powodu tych nowych doznań, tego zamętu?

Na lekcji historii wszyscy rysowali mapę Norwegii i kolorowali okręty wikingów z dziobami skierowanymi na południe. Dotknął

jej łokcia. — Czy mogę pożyczyć niebieską kredkę? — Niebieską jak morze czy jak niebo? — Niebieską jak morze. — Wybrała dla niego kredkę i powiedziała, że ma na imię Linda, a Henry,

trzymając kredkę jeszcze ciepłą od jej ręki, pochylił się nad swoją mapą ze szczególną pieczołowitością i kreśląc niebieskie halo linii brzegowej i cały czas słysząc: „Linda, Linda”, jeździł kredką tam i z powrotem jakieś dziesięć centymetrów od swoich oczu. I nagle,



przypomniawszy sobie: — Jestem Henry — wyszeptał, a szare  
oczy otworzyły się szerzej, żeby to wchłonąć. — Henry? — Tak.

— Przestraszony sam sobą, w porze lunchu omijał ją szerokim łukiem, wybrał nawet starannie osobny stół, żeby zjeść przy nim posiłek, a potem hałaśliwie szukał na boisku przyjaciół, którzy się z nim przekomarzali: — O, widzimy, że masz dziewczynę — na co odpowiadał pantomimą wyrażającą dreszcz prawdziwego obrzydzenia mający ich w efekcie rozśmieszyć i wymusić przyjęcie do grona. Grali w piłkę, odbijając ją o mur boiska i Henry krzyczał najgłośniejszymi wzmachując łokciami i pięściami, ale kiedy piłka przeleciała na drugą stronę ogrodzenia i wszyscy snuli się, czekając, aż ktoś ją przyniesie, jego myśli powędrowały do klasy, gdzie widział siebie siedzącego przy dziewczynie. A kiedy rzeczywiście wrócił, stwierdził, że ona już siedzi na swoim miejscu, i leciutko skłoniwszy głowę, zobaczył jej uśmiech.

Popołudnie ciurkało powoli, nudno, a on kręcił się w ławce, nie chcąc ani żeby się skończyło, ani żeby trwało dalej, świadom jedynie jej obecności koło siebie.

Po lekcjach ukląkł za jej krzesłem, udając, że czegoś szuka w torbach, pewien, że zobaczy ją dopiero nazajutrz rano. Ale

dziewczyna siedziała dalej, coś kończąc i nie zwracając na niego uwagi, więc Henry poszelecił jeszcze trochę torbami, wstał i odchrząknawszy, powiedział zachrypniętym głosem, który odbił

się echem w pustej już klasie: — No, to do jutra. — Dziewczyna podniosła się, zamknęła zeszyt i ze słowami: — Mogę jedną wziąć

— wzięła od niego jedną z toreb. Henry ruszył za Lindą, przeszli przez puste boisko, gdzie rozglądał się nerwowo za kolegami. Przy szkolnej bramie spotkali kobietę w skórzanym płaszczu, z włosami związanymi w koński ogon, młodą, ale zarazem i starą, która nachyliła się do Lindy i pocałowała ją w usta. — O, widzę, że masz już przyjaciela. — Spojrzała przy tym na Henry'ego, który stał kilka kroków dalej. — To Henry — powiedziała po prostu Linda i zaraz potem zawołała: — A to jest moja mama — na co kobieta wyciągnęła do niego rękę, a Henry nią potrząsnął w bardzo dorosły sposób. — Jak się masz, Henry, czy możemy cię podwieźć do domu z tymi torbami? — zapytała matka Lindy, bliżej

nieokreślonym gestem nadgarstka wskazując zaparkowany za nią duży czarny samochód. Położyła jego torby na tylnym siedzeniu, proponując, żeby wszyscy troje usiedli z przodu, co też uczynili, i za każdym razem, kiedy zmieniała biegi, Linda, żeby jej to

umożliwić, przytulała się mocno do niego. Nie musiał wracać prosto do domu, uprzedził Minę, że będzie później z powodu

poszukiwań maski, przyjął więc zaproszenie na herbatę, a tymczasem siedział przyciśnięty do drzwi samochodu, słuchając, jak Linda opowiada matce o swoim pierwszym dniu w nowej

szkole. Kręty podjazd doprowadził ich pod duży dom z czerwonej cegły stojący wśród drzew, między którymi prześwitywało

opadające długim łukiem ku jezioru wrzosowisko. — A ta rezydencja — Linda wskazała na jezioro, kiedy obchodzili z boku dom, i na widoczny między drzewami budynek — to Kenwood

House. Mają tam dużo starych obrazów, które można oglądać za darmo. Między innymi *Autoportret* Rembrandta, najszlachetniejszy obraz na świecie. — Henry zastanawiał się, co wobec tego z *Moną Lisą*, ale wszystko to razem zrobiło na nim wielkie wrażenie.

Matka przygotowała herbatę, Linda zaś zabrała Henry'ego, żeby mu pokazać swój pokój: szli korytarzem wyłożonym puszystym chodnikiem tłumiącym ich kroki. Korytarz prowadził do obszernego holu rozciągającego się u stóp szerokich schodów, które dzieliły się na dwa ramiona, połączone podestem w kształcie podkowy, z zegarem szafkowym w jednym końcu i masywną

skrzynią pokrytą mosiężną blachą ozdobioną tłoczonymi postaciami w drugim. Była to licząca czterysta lat skrzynia wyprawowa, jak mu wyjaśniła Linda, gdzie wkładano prezenty dla panny młodej. Weszli na górę jeszcze innymi schodami — czyżby cały ten dom należał do nich? — Kiedyś należał do taty, ale tata wyjechał i teraz należy do mamy. — A dokąd on wyjechał? —

Chciał się ożenić z kimś innym, więc rodzice wzięli rozwód. — I wobec tego ofiarował ten dom twojej m...matce, żeby jej to jakoś wynagrodzić? — Henry'emu słowo „mama” nie przechodziło

przez gardło. Pokój Lindy można by określić jako jedną wielką graciarnię z łóżkiem pośrodku: podłogę pokrywały, blokując

drzwi, wózki dla lalek, lalki, ich ubranka, gry i ich części; na ścianie wisiała tablica; łóżko było niezaścielone, wywleczone prześcieradła sięgały aż na środek pokoju, gdzieś za tym wszystkim poduszka, na toalecie flakoniki i szczotki, do tego różowe ściany, jakies obco dziewczęce — wszystko to razem

bardzo podniecające. — Czy ty nie musisz tu sprzątać? — Rano walczyłyśmy z mamą na poduszki. Lubię mieć bałagan, a ty? —

Henry poszedł za Lindą na dół, zawsze dużo lepiej robić to, co się chce, jeśli się naturalnie ma takie miejsce, w którym można to robić.

Przy herbacie matka Lindy powiedziała, żeby mówił do niej

Claire, i potem, kiedy go spytała, czy może ma jeszcze na coś ochotę, a on odparł: — Nie, dziękuję, Claire — Linda o mało się nie zakrzuszyła herbatą, której miała pełne usta, i musieli ją walić w plecy, a potem dalej śmieli się właściwie z niczego i Linda musiała się go trzymać, żeby nie upaść. Nagle, w trakcie tego wszystkiego, w drzwiach kuchennych pojawiła się głowa jakiegoś wysokiego mężczyzny o grubych czarnych brwiach, który powiedział: —

Widzę, że się dobrze bawicie — i zniknął. Kiedy Henry włożył płaszcz, szykując się do wyjścia, i zapytał, kim jest ten człowiek, Linda odpowiedziała, że to jest Theo, który czasem do nich

przyjeżdża, i dodała szeptem: — On śpi w łóżku mamy. — Henry ledwie skończył mówić: — A po co? — natychmiast pożałował

swoich słów, ale już było za późno, bo Linda zaczęła chichotać, wtuliwszy twarz w wiszące na ścianie płaszcze. Znów całą trójką wsiedli do samochodu, stłoczeni na przednim siedzeniu jedno przy drugim, i po krótkiej chwili Linda zarządziła, że mają śpiewać *Frère Jacques*, co robili przez całą drogę, aż do Islington, tak głośno, że słyszeli ich inni ludzie w samochodach, kiedy

zatrzymywali się pod światłami, i uśmiechali się do nich przez okna. Przestali śpiewać, kiedy samochód zatrzymał się pod jego domem, i nagle zrobiło się bardzo cicho. Henry sięgnął do tyłu po swoje torby, dziękując pod nosem za... ale Claire mu przerwała, może by chciał przyjść do nich w niedzielę, na co Linda krzyknęła, że koniecznie na cały dzień, aż wreszcie cała trójka zaczęła mówić naraz: Claire, że jeśli Henry chce, to ona pojedzie po niego samochodem, Linda, że zabierze go do Kenwood House, żeby mu pokazać obrazy, a Henry, że musi najpierw

zapytać Minę, ale jest przekonany, że nie będzie przeszkód. Linda ścisnęła go za rękę. —

Do zobaczenia w szkole — zaczęły się krzyki i machanie rękami, jednym słowem następny chór, który utonął w hałasie

przejeżdżającej ciężarówki. Zostawiły go na chodniku, z torbami, gdzie stał jeszcze przez chwilę, zanim wszedł do domu.

•••

Mina siedziała przy stole, z głową ukrytą w dłoniach, dokoła niej zastawa do herbaty. Nawet nie spojrzała, kiedy powiedział

dzień dobry, więc zmieszany marudził czas jakiś w drzwiach, zdejmując płaszcz i grzebiąc w torbach. Zapytała spokojnie: —

Gdzie byłeś? — a on spojrzał na zegarek, który pokazywał za dziesięć szóstą, czyli miał godzinę i trzydzieści pięć minut spóźnienia. — Uprzedziłem cię, że będę godzinę później. —

Godzinę? — powtórzyła wolno, przeciągając sylaby — to już teraz prawie dwie godziny. — Było coś swojskiego w obcości Miny,

Henry poczuł znaną słabość w nogach. Przy stole zaczął się bawić łyżeczką, przepychając ją przez tunel zrobiony z palców, aż Mina ostro wciągnęła powietrze przez nos. — Odlóż to — warknęła —

pytałam cię, gdzie byłeś? — Drżącym głosem wyjaśnił, że matka koleżanki zaprosiła go na herbatę i... — Myślałam, że wybierasz dla siebie kostium — powiedziała bardzo cicho Mina. —

Wybierałem, ale... — Henry wpatrywał się w swoje palce rozpostarte na stole. — A jeżeli szedłeś do czyjegoś domu, to dlaczego mi nie powiedziałeś? — Teraz już wrzeszczała na całe gardło. — Przecież mamy chyba cholerny telefon, no nie?! —

Żadne z nich się nie odezwało, ale jej głos jeszcze przez pięć minut dźwięczał mu w uszach, po czym Mina powiedziała cicho: — Tak czy owak, masz to wszystko w nosie. Idź na górę się przebrać. —

Wiedział, że są takie słowa, które mógłby powiedzieć i zrobić tak, żeby wszystko było dobrze, ale nie miał ich w głowie, jego uwagę przykuwało tylko to, co widział, a więc własne kłykcie i faktura płótna pod nimi. Kiedy przechodził za jej krzesłem, kierując się do drzwi, Mina odwróciła się do niego nagle i przytrzymała go za łokieć. — Tym razem bez awantury — powiedziała i odepchnęła go silnie. Po wejściu na schody zaczął się zastanawiać nad jej słowami, bez awantury, pewnie jakiś nowy kostium, żeby go

upokorzyć za to, że się spóźnił, że pogwałcił codzienny popołudniowy rytuał. Na łóżku leżał porządnie ułożony ten sam co poprzednio strój dziewczęcy. Bez chwili zastanowienia zaczął się rozbierać, wołając nie wspominać tamtej wściekłości Miny, tego bezwzględnego przymusu robienia z niej kogoś obcego, a potem ogarnął go strach, zaczął się jej bać, zaczął się bać tego

wszystkiego, cały drżący naciągał na gołe ciało zimny materiał i białe rajstopki, spiesząc się, żeby tylko nie pomyślała, że się waha.

Jego palce, jakby je ktoś gonił, gmerały przy cienkich skórzanych sznurowadłach, wziął z łóżka perukę, stanął przed lustrem, żeby ją równo założyć, ale kiedy zobaczył swoje odbicie, zastygł jak porażony i znów to dziwne trzepotanie w dołku, bo oto w jego pokoju była ona, włosy

rozsypane na ramionach, blada napięta skóra, ten nos. Wziął z umywalki lusterko z rączką, by obejrzeć swoją twarz ze wszystkich stron: oczy miały jakby inny kolor, były bardziej błękitne, nos trochę większy. Pierwsze wrażenie, szok pierwszego wrażenia odczuwał w dalszym ciągu. Zdjął perukę, była błazeńska, ale jego krótkie czarne włosy przy wyjściowej dziewczęcej sukni rozśmieszyły go — roześmiał się. Z powrotem jednak nałożył perukę, wykonał krótki taniec, Henry i Linda razem, bliżej siebie niż w samochodzie, on w niej, ona w nim.

Skończyła się udręka, był wolny od gniewu Miny, niewidzialny we wnętrzu tej dziewczynki. Zaczął czesać perukę, tak jak czesała się Linda po powrocie ze szkoły, od czubka w dół, żeby uniknąć

rozdzielania się końcówek włosów — tak mu to wyjaśniła.

W dalszym ciągu stał jeszcze przed lustrem, kiedy weszła do pokoju, nagle, bez uprzedzenia, w tym samym oficerskim mundurze, z twarzą jeszcze bardziej surową niż poprzednio, obróciła go za ramiona, tyłem do siebie, po czym zasznurowała mu suknię, nucąc cicho pod nosem. Ona też uczesała perukę,

przejechała ręką po wewnętrznej stronie jego uda, żeby sprawdzić majtki, a następnie, zadowolona, odwróciła go z powrotem twarzą do siebie. Henry poczuł ten sam paraliżujący strach, widząc tak blisko grube czarne linie jej ucharakteryzowanej twarzy, proste druty natłuszczonych włosów. Nachyliła się nad nim i pocałowała go w czoło. — Może być — powiedziała i w milczeniu

poprowadziła go za rękę na dół. Tym razem to ona nalewała drinki

— dwa pełne kieliszki czerwonego wina — skłoniła się przed nim, wręczając mu jeden z nich, strzeliła obcasami i udając męski głos, powiedziała: — Proszę cię, moja droga. — Henry wziął niezwykły kieliszek z długą barwioną nóżką, która była za krótka na jego dłoń, trzymał go więc oburącz. Na specjalne okazje Mina mieszała mu piwo z lemoniadą, a na co dzień dawała mu zawsze samą

lemoniadę. Teraz stała tyłem do kominka, z łopatkami ściągniętymi do tyłu, trzymając kieliszek równo ze swoją spłaszczoną piersią. — Na zdrowie — powiedziała i wypila dwa duże łyki wina. — Pij — dodała, ale Henry zaledwie zamoczył

czubek języka, z trudem opanowując dreszcz wywołany słodko-gorzkiem smakiem trunku, po czym zamknął oczy i wziął pełny haust wina, spychając je szybko językiem prosto do gardła i unikając w ten sposób tego, co najgorsze, tej całej goryczy, z wyjątkiem jakby pluszowego absmaku, który pozostał mu w ustach. A tymczasem Mina, skończywszy swoje wino, czekała, by on skończył swoje, po czym wzięła jego pusty kieliszek, ponownie go napełniła i następnie zaczęła przynosić z kuchni dania.

Oszolomiony Henry, który tracił powoli kontakt z rzeczywistością, przyniósł jedno z dań, zastanawiając się nad jej milczeniem.

Usiedli do stołu, Henry i Linda, Linda i Henry. Podczas posiłku Mina unosiła kieliszek, mówiąc „zdrowie”, i czekając, żeby i on uniósł kieliszek, zanim wypije, raz nawet wstała, żeby znów nalać wina. Teraz wszystko zaczęło mu się wymykać, wszystkie rzeczy, na które patrzył, jak gdyby odpływały, a jednak zostawały na miejscu i przestrzeń między nimi jakoś tak dziwnie falowała, twarz Miny, popękana, ruchoma, przechodziła płynnie z jednej w drugą i dlatego Henry chwycił się krawędzi stołu, żeby zatrzymać pokój w miejscu; zauważył, że Mina to widzi, zobaczył jej zębaty uśmiech, który jak gdyby go zachęcał, zobaczył, jak Mina odpływa, ciężko,

niezdarnie, po dzbanek kawy, pokonując ruch pokoju

zawieszonoego na swoich trzech osiach, a kiedy zamknął oczy...

kiedy zamkniesz oczy, możesz spać z krawędzi świata, bo ten świat przechyła się w górę, poczynając gdzieś od twoich nóg. I przez cały ten czas Mina coś mówiła, coś chciała wiedzieć na temat tego, jak spędził popołudnie, co robił w tamtym domu, więc żeby jej opowiedzieć, uruchomił język, odkleił go od podniebienia pokrytego jakimś klajstrem, obojętne zresztą czym, usłyszał swój głos, słaby, wąty, jakby dochodzący z drugiego pokoju. — My i...

wzięliśmy, ona nas wzięła... — ale bardzo szybko się poddał, uległ

rykom i śmiechom, i szczekaniu Miny. — O, moja biedna mała

dziewczynka, trochę za dużo wypła — i jednocześnie mówiąc to, zaczęła się do niego skradać, a następnie uniosła go pod pachy i na pół niosąc, na pół wlokąc, zataszczyła do krzesła i posadziła sobie na kolanach, obracając tak, żeby jego nogi, przewieszono przez poręcz, dyndały nad podłogą, objęła jego głowę ramionami,

ściskając mocno, gorąco, całego, jak zapaśnik, tak że nie mógł

poruszać ani rękami, ani nogami, żeby się oswobodzić, przyciskała jego twarz do przedziałka między piersiami widocznego w

rozpiętej kurtce wojskowej, wirował w jej ramionach, wiedząc, że jeden nagły ruch i może zwymiotować. Wyglądało na to, że Mina pragnie tej dziewczynki, coraz mocniej przyciskała jego twarz do swoich piersi, bo pod wojskową kurtką nie miała nic, tylko twarz Henry'ego przyciśniętą do lekko uperfumowanej pomarszczonej skóry obwisłych starych cycków, ręką przyciskała go za szyję, nie mógł się wyplątać z brunatnej tkaniny, nie śmiał się szarpnąć gwałtownie, wiedział, że to, co ma w żołądku, nie może się

poruszyć, nawet wtedy, kiedy błędząc drugą ręką w fałdach jego sukienki, w okolicy ud, na pół mówiąc, na pół śpiewając, zaczęła powtarzać: — Lew ma grzywy czuprynę, żołnierz swoją

dziewczyne, żołnierz swoją dziewczynę, żołnierz swoją

dziewczyne — aż te słowa utonęły w rytmie jej oddechu, coraz szybszego i coraz bardziej gwałtownego, i w tym rytmie Henry wznosił się i opadał, czując, że jest coraz mocniej przyciągany, otworzył oczy i widząc szaroniebieską bladość jej piersi, bladość, jaka mu się kojarzyła z twarzą zmarłego, zdążył tylko jeszcze wymamrotać w jej ciało: — Niedobrze mi... — i z jego ust ułała się bezgłośnie w dekolt jej rozpiętej wojskowej kurtki

brunatnoczerwono, kolacja i wino: kolor na tle śmiertelnej bladości. Stoczył się z niej, już nietrzymany, na podłogę, peruka zsunęła mu się na bok, wszystko upapranie na brunatnoczerwono, świeża biel i różowość nagle zbrukane, tandetne, a on ściągając do końca perukę z głowy, powiedział przez zaciśnięte gardło: —

Jestem Henry. — Przez jakiś czas Mina siedziała nieruchomo, wpatrzona w leżącą na podłodze perukę, a potem wstała i

przechodząc nad Henrym, poszła na górę. Z wirującego pokoju słyszał, jak puszcza wodę w łazience, i tkwiąc dalej w miejscu, w którym wylądował, obserwował ruchome wzory dywanu między

swoimi palcami i chociaż teraz, po zwymiotowaniu, poczuł się lepiej, to jednak w dalszym ciągu nie miał siły wstać.

Po chwili wróciła Mina, wykąpana, w codziennej sukni, i

pomogła mu się pozbierać z podłogi, zaprowadziła go do kominka, gdzie rozsnurowała mu sukienkę, którą wyniosła do kuchni i wrzuciła do wiadra z wodą, a następnie podniosła perukę, wzięła go za rękę i poprowadziła na górę, odliczając schody, jak dziecku:

„Raz i dwa, i trzy, i...”. W sypialni Henry znów się na nią zatoczył, a ona rozebrała go do reszty, znalazła jego piżamę, cały czas coś mówiąc, mówiąc o tym, jak to ona upiła się po raz pierwszy... w każdym razie następnego dnia nie pamiętała kompletnie nic, a Henry nie bardzo wiedząc, o czym ona mówi, ale rozpoznając jej przyjazny ton, odnalazł w nim dawną Minę, tak jak przed chwilą jej suknię. Leżał w łóżku na wznak, Mina trzymała mu rękę na czole, żeby choć trochę uspokoić ten pokój, ni to śpiewając, ni to mówiąc tę samą piosenkę co wtedy na dole: —

Lew ma grzywy czuprynę, żołnierz swoją dziewczynę, by szepcząc po cichutku, broniła go od smutków. — Głaskała go po włosach, a kiedy nazajutrz się obudził, peruka leżała obok niego na poduszce, musiała mu w nocy spaść.

Zaraz po przebudzeniu pomyślał o Lindzie, poczuł ból za oczami i z panującej w pokoju ciszy wywnioskował, że rano już minął. Z dołu usłyszał wołanie Miny: — Czy masz ochotę na

lunch, bo pozwoliłam ci zasnąć — ale on już był ubrany do szkoły, zdejmował tornister z wieszaka, już był za drzwiami i po drugiej stronie ulicy słyszał, jak Mina go woła, żeby wracał, czuł we włosach wilgotny wiatr, przykre wspomnienie poprzedniego

wieczoru, ale przynajmniej miał pewność, że Mina coś w ten sposób straciła, że było mu łatwiej uciekać od jej cichnącego głosu. Do Lindy. W szkole usprawiedliwił spóźnienie chorobą, co w nieznacznym tylko stopniu odbiegało od prawdy, był w dalszym ciągu dostatecznie blady, żeby mu uwierzono bez trudu. Zdążył do ławki akurat na początek zajęć popołudniowych, a tam czekała ona, uśmiechnięta, wciskając mu do ręki świstek, na którym było napisane „Czy przyjdiesz w niedzielę?”. Odwrócił kartkę i

odpisał: „Tak”, w tym samym nastroju, w którym wyrwał się dziś rano na wolność, a potem podał liścik pod ławką, czekając, aż jej palce spotkają się z jego palcami, a kiedy się z nimi splotły, pozostały tak przez chwilę lub dwie, zanim się wysunęły z jego uścisku. W dołku i w kroczu poczuł niepokój, poczuł, jak krew uderza w wiosenny kwiat jego męskości, który próbuje się przebić przez fałdy ubrania i w całym tym zamęcie niezauważony liścik spadł na podłogę.

Czy może jej opowiedzieć, jak patrzył w lustro i jak Henry i Linda zlewali się w nim w jedno, i jak poczuł się wolny i tańczył, zanim pojawiła się Mina, pragnął jej to powiedzieć, a także wyjaśnić inne rzeczy na temat Miny; od czego zacząć i jak

wytłumaczyć gry, które nie są grami? Zamiast tego powiedział jej o masce, którą miał kupić po południu, rodzaj potwora. — Ale takiego bardziej do śmiechu, niż żeby się bać — a to znaczyło, że musiał jej powiedzieć także i o przyjęciu — jego imię razem z imieniem Miny na zaproszeniu — wszyscy w przebraniu, nikt nie wie, kim kto jest, każdy może robić, co chce, bo to nie ma

znaczenia. Byli na boisku, pustym już o tej porze, opowiadając sobie różne historie o tym, co można robić, kiedy nikt nie wie, kim jesteś. Czy może chciałaby przyjść? Owszem, chciałaby, nawet bardzo. Przez boisko zbliżała się do nich matka Lindy, pocałowała córkę, Henry’emu położyła rękę na ramieniu i cała trójka ruszyła do samochodu. Linda powiedziała matce o masce Henry’ego i o przyjęciu, Claire pozwoliła jej iść, wyglądało na to, że może być przyjemnie. Następnie pożegnały się.

Henry wstąpił do sklepu, bardzo zdyszany, ze względu na

Minę nie chciał się znów spóźnić do domu. Mężczyzna za kontuarem umiał postępować z małymi chłopcami na swój jowialny, poważny sposób. — Gdzie się pali? — zapytał na widok Henry'ego, który próbując podkreślić swój pośpiech, powiedział szybko: — Przyszedłem w sprawie tej maski. — Sprzedawca wolno przechylił się przez kontuar, w kącikach jego ust drgał dowcip, do którego było mu bardzo spieszno: — Ciekawe, a ja myślałem, że masz ją na sobie — i obserwując minę Henry'ego, czekał na wybuch śmiechu, by samemu móc się do niego przyłączyć. — Pan powiedział, że ją dla mnie zatrzyma. — Henry uśmiechnął się do mężczyzny. — Zaraz, zobaczymy — sprzedawca zrobił wielki show, sprawdzając daty w kalendarzu — jeśli się nie mylę — wstrzymał oddech i powtórzył, przeciągając sylaby — jeśli się nie myyyle, dziś jest wtorek. — Uśmiechnął się do klienta, unosząc brwi i patrząc, jak chłopak się wije. — Czy pan ją jeszcze ma? — zapytał Henry, a on, z uniesionymi w dalszym ciągu brwiami i palcem wycelowanym w powietrze, jak błazen, który nikogo nie śmieszy, odparł: — A no właśnie, na tym problem polega: czy ją jeszcze mam? — i gdy do Henry'ego zaczęło docierać, jak rodzi się przemoc, sięgnął pod ladę. — Popatrzmy, co my tutaj mamy? — z tymi słowy wyjął maskę, maskę Henry'ego. — Czy mógłby mi ją pan zapakować, to musi być tajemnica. — Sprzedawca, Henry zauważył to dopiero teraz, był starym człowiekiem, więc zrobiło mu się trochę przykro. Mężczyzna starannie zapakował mu maskę w podwójny szary papier i nawet znalazł starą siatkę na zakupy, do której włożył paczkę, żeby ją było łatwiej nieść. Był teraz milczący, Henry by wolał, żeby dalej pozwalał sobie na kiepskie żarty, takie zachowanie przynajmniej rozumiał. Ale jedynym słowem, jakie jeszcze mężczyzna powiedział, było „proszę”, kiedy wręczał Henry'emu paczkę przez kontuar. Wychodząc ze sklepu, Henry zawołał: „do widzenia”, ale sprzedawca zniknął na zapleczu i nawet go nie usłyszał.

Mina słowem nie wspomniała o wczorajszym wieczorze, tylko kroić mu ciasto, mówiąc dużo i szybko, zrobiła jedynie zdawkową humorystyczną uwagę na temat tego, w jaki sposób wyszedł z domu. Znów była sobą. W kuchni Henry zobaczył w wiadrze z wodą sukienkę, która mu przypominała rzadki okaz zdechłej ryby. Powiedział z wahaniem: — Rodzina kogoś z moich przyjaciół zaprosiła mnie do siebie, żebym spędził z nimi niedzielę. — Mina była pełna dystansu: — Nie pamiętam, żebym poznała twojego przyjaciela, dlaczego nie miałbyś na przykład zaprosić go na przyjęcie? — Owszem, zaprosiłem, ale oni chcą, żebym do nich przyszedł w niedzielę. — Dlaczego było dla niego takie ważne, żeby nie zdradzić płci przyjaciela? Mina była wykrętna. — Zobaczymy — powiedziała, Henry jednak nie odstępował jej na krok, idąc za nią do kuchni, nalegał: — Ale muszę jutro dać im znać — tonem głosu ciszy, jaka zapadła, domagał się odpowiedzi. Odgarniając mu z uśmiechem włosy z oczu, przyjacielskim, pełnym rezygnacji tonem powiedziała: — Chyba nie, kochanie. Pomyśl o pracy domowej, której nie zrobiłeś wczoraj wieczorem — i z tymi słowy popchnęła go lekko w stronę schodów, gdzie Henry odstąpił na bok. — Ale mnie

zapraszają, ja chcę tam iść. — Mina była wesoła. — Myślę jednak, że nie,  
kochanie. — Ale ja chcę. — Zdjęła rękę z jego ramienia, usiadła na dolnym schodku i z  
brodą podpartą rękami dłuższy czas  
myślała, aż w końcu: — A niby co ja mam robić w niedzielę, kiedy ty pójdziesz sobie  
gdzieś tam z przyjaciółmi? — Nastąpiła nagła zmiana: teraz on miał być tym, co daje, zamiast,  
jak dotychczas, proszącym, on stał, ona siedziała u jego stóp — nie wiedział, co powiedzieć, był  
całkowicie odrętwiały. Po chwili Mina zagadnęła:  
— No i? — wyciągając do niego ręce. Przysunął się trochę bliżej, tak że mogła ująć jego  
dłonie w swoje, spojrzała na niego ponad okularami, które zresztą po chwili zdjęła, i Henry  
zobaczył  
zbierające się w kącikach jej oczu łzy. Tak być nie mogło, to straszne, czuł na sobie  
potworny ciężar, czy ludzie mogą być aż tacy ważni? Ścisnęła go mocniej za palce. — W  
porządku —  
powiedział — zostaję.

Próbowała go przyciągnąć do siebie, ale wyrwał jej rękę,  
ominał ją i uciekł na górę. Zdjął z łóżka brązowy garnitur, powiesił  
na krześle, a sam położył się na wznak z wielkim poczuciem winy, za wszelką cenę  
starając się pozbyć obrazu Lindy sprzed oczu. Po chwili przyszła Mina, usiadła koło jego  
ramienia, patrząc mu w twarz, ale on unikał jej oczu, nie chciał ich widzieć, więc Mina tylko  
bawiła się rąbkiem koca, ujmując go między dwa palce, duży i wskazujący, a potem zaczęła  
przeczesać palcami jego włosy i Henry cały zeszywniał, nie mogąc się doczekać, kiedy  
przestanie, nie życzył sobie jej dłoni przy swojej twarzy, w każdym razie nie teraz. — Czy jesteś  
na mnie zły, kochanie? — Potrząsnął głową, w dalszym ciągu nie patrząc jej w oczy. — Tak,  
jesteś na mnie zły, ja to widzę. — Stojąc przy stole, wzięła z niego surowy kawałek drewna, z  
którego od miesiący próbował wyrzeźbić rybę,  
miecznika, nie potrafił jednak tchnąć w niego siły ani nadać mu węzowego kształtu, dalej  
był to tylko kawałek drewna, dziecięce przedstawienie ryby. Mina obracała i obracała w rękach  
kawałek drewna, patrząc na niego, ale go nie widząc. A na suficie były duże schody, które w  
połowie się rozdzielały, i Linda z Claire walczące w sypialni na poduszki; prawdopodobnie  
Claire chciała rozweselić Lindę w jej pierwszym dniu w nowej szkole, no i ten wysoki  
mężczyzna z grubymi brwiami, który sypiał w tym samym łóżku co Claire. Mina  
powiedziała: — Ty rzeczywiście chcesz tam iść, prawda? — To nie ma znaczenia, to nie jest  
takie ważne — odparł  
Henry. Mina obróciła w rękę kawałek drewna. — Jak masz ochotę iść, to idź. — Henry  
usiadł; był jeszcze za młody, żeby znać różne gierki dorosłych ludzi, był jeszcze na to za młody,  
więc  
powiedział: — No to dobrze, to pójdę. — Mina opuściła pokój z bezsilnym miecznikiem  
w rękę.

• • •

Henry uniósł ciężką kołatkę, a następnie pozwolił jej opaść na białe drzwi. Claire  
poprowadziła go ciemnym korytarzem do kuchni. — Linda zazwyczaj niedzielne poranki spędza  
w łóżku. —



Wyłonili się z mroku korytarza w blasku świetlówek. — Możesz iść do niej na górę i się z nią pobawić, ale na początek proponuję, żebyś porozmawiał ze mną i napił się czegoś gorącego. — Henry oddał Claire swój płaszcz, po czym obrócił się, żeby mogła

podziwiać jego nowy garnitur. — Musimy ci znaleźć coś, w czym mógłbyś się bawić. — Przygotowała mu napój czekoladowy, cały czas zabawiając rozmową, a on nie dość czujny, nie ustrzegł się chwil wielkiego zaskoczenia. Claire była zadowolona z tego, że Henry przyjaźni się z Lindą, mówiła też o tym, że Linda ciągle o nim opowiada. — Namalowała cię nawet i narysowała, ale ci tych swoich prac nie pokaże, już ja ją znam. — Ponieważ Claire była ciekawa różnych spraw, więc zdradził jej, że zbiera różne

przedmioty, które znajduje w sklepach ze starociami, takie jak tekturowy teatrzyk czy choćby stare książki, a potem wspomniał o Minie, o tym, jak wspaniale potrafiła opowiadać różne historie, ponieważ grała w teatrze, jeszcze nigdy nie mówił tyle naraz, zamierzał też powiedzieć jej wszystko o przebieraniu, o upiciu się, ale nie bardzo wiedział, od czego zacząć, więc sobie darował, bo chciał, żeby go Claire lubiła, a gdyby jej opisał, jak bardzo był pijany i jak obrzygał Minę, to mogłaby się do niego zniechęcić.

Przyniosła mu więc jakieś ubranie do zabawy — jasnoniebieski sweter i spłowiałe džinsy Lindy — czy mu to nie będzie

przeszkadzało, zapytała, ale skąd — uśmiechnął się Henry. Claire wyszła z kuchni, żeby odebrać telefon, wołając przez ramię, że sam musi trafić do Lindy: z powrotem tym samym ciemnym

korytarzem i do schodów, tylko dlaczego, nie mógł zrozumieć Henry, światło jest jedynie na dole i na górze? Zatrzymał się na chwilę na podeście, przy masywnej skrzyni, wiodąc palcem po mosiężnych postaciach: korowód bogaczy na początku, być może byli to krewni młodej pary, ulica i chodniki wypełnione ludźmi, których szaty kłębiły się za nimi na wietrze, wszyscy

wyprostowani, dumni, a potem, za nimi, mieszkańcy miasta, zwykły motłoch, każdy z kielichem wina w ręce, szli pijani, zataczając się, zatrzymując sąsiadów i śmiejąc się z tych, co otwierali pochod. Obok były otwarte drzwi, więc Henry zajrzał do środka, do sypialni, największej, jaką widział w życiu, z

ogromnym podwójnym łóżem pośrodku niestojącym pod żadną ścianą. Zrobił kilka kroków w głąb pokoju, łóżko było niezaścielone, wyrzuczone na środku, i teraz Henry zobaczył śpiącego twarzą do poduszki mężczyznę, zamarł, wycofał się szybko z powrotem na podest i cicho zamknął za sobą drzwi.

Przypomniał sobie o rzeczach Lindy pozostawionych na skrzyni, znalazł je i błyskawicznie pobiegł na górę do jej pokoju.

Siedziała na łóżku, rysując coś ołówkiem na białym kartonie, i kiedy się zbliżył, zapytała: — Dlaczego jesteś taki zdyszany? —

Usiadł koło niej na łóżku. — Biegłem po schodach i zobaczyłem w jednym z pokoiów śpiącego mężczyznę, wyglądał jak nieżywy. —

Linda upuściła rysunek na podłogę i zaśmiała się. — To jest Theo, nie mówiłam ci o nim? — Podciągnęła koldrę pod brodę. — Budzę się wcześniej w niedzielę, ale wstaję z łóżka dopiero na lunch. —

Pokazał jej ubranie. — Twoja mama mi to dała. Gdzie mógłbym się przebrać? — Tutaj oczywiście, koło twojej nogi leży wieszak, możesz sobie swoje rzeczy powiesić w szafie. —

Podciągnęła

wyżej prześcieradła, tak że widoczne były teraz tylko jej oczy, które obserwowały pilnie,

jak wieształ garnitur, a potem usiadł koło niej, już bez spodni i marynarki, czując gołymi nogami przez grube koce ciepło jej ciała, całym ciężarem przywalając jej stopy, wpatrzony w złote włosy rozsypane na poduszce jak wachlarz.

Roześmieli się nagle nie wiadomo z czego, Linda wysunęła rękę spod kołdry i pociągnęła go za łokieć. — A może byś przyszedł tu do mnie? — Henry wstał. — Dlaczego nie? — Dała nurka pod

kołdrę i chichocząc cały czas, zawołała do niego stłumionym głosem: — Ale najpierw musisz zdjąć z siebie wszystko. —

Wykonał jej polecenie, wszedł pod kołdrę, jego ciało było chłodniejsze od ciała Lindy, która drżała teraz, kiedy układał się obok niej piersią do jej pleców. Obróciła się twarzą do niego, w różowym mroku uderzył go jej zapach, zwierzęco-mleczny, i był

to, w jego późniejszych wspomnieniach, początek, a zarazem koniec jego niedzieli: łomot serca od poduszki do ucha, raz tylko uniósł głowę, żeby uwolnić jej włosy, cały czas rozmowa, głównie o szkole, jej pierwszy tydzień, wspólni przyjaciele i nauczyciele, wydawało się wprost niemożliwe, że mogli robić jeszcze cokolwiek innego, że Henry włożył jej dżinsy i sweter, że zjedli lunch, a potem wśród tłumów snujących się bez celu po

Hampstead Heath poszli do Kenwood House, gdzie Linda pokazywała mu obrazy przedstawiające zimne, wyniosłe damy, z ich nieprawdopodobnymi dziećmi i gdzie długo stali przed

Rembrandtem, zgodni co do tego, że jest to najlepszy obraz tutaj, a może nawet na całym świecie, chociaż Lindzie nie podobała się ciemność otaczająca postać mistrza, chciałyby zobaczyć jego pokój, a potem siedzieli w letniej altance Samuela Johnsona, bardzo sławnego pisarza — ale co pisał i kiedy? Aż wreszcie szli z powrotem przez Heath wśród tłumów, w pochmurną zimową

pogodę i znów byli w łóżku, razem, aż Henry wystawił głowę spod kołdry, żeby zaczerpnąć tchu, podczas gdy Linda leżała przytulona policzkiem do jego piersi, wreszcie i ona wytknęła głowę i tak razem leżeli, czoło przy czole, drzemiąc z pół godziny — czyżby to wszystko działo się w tym jego półgodzinnym jakby

przedłużonym śnie? A tak naprawdę leżał z pół godziny albo dłużej, a przynajmniej tak mu się wydawało tamtego wieczoru, kiedy już znalazł się w domu, we własnym łóżku.

• • •

Było niezupełnie tak, jak sobie wyobrażał, że będzie, sprawy nigdy nie wyglądają tak, jak je sobie wyobrażamy, w każdym razie niedokładnie, bo kiedy nadszedł ten dzień, Mina zapomniała o czerwonych żarówkach i okazało się, że jest za późno, bo sklepy już były zamknięte, a koperta z przepisem na poncz gdzieś się zawieruszyła i nie mieli czasu jej szukać, więc Mina kupiła całą skrzynkę, głównie wina, bo prawie każdy lubi wino, wyjaśniła, a dla tych, co nie lubią, przygotowała dwie butle jabłecznika. To, co miało zapewnić muzykę, nie było magnetofonem, Henry nigdy

czegoś takiego nie widział, tylko starym gramofonem pożyczonym od syna pani Simpson, a do tego stare płyty pożyczone od jego matki. W wyobraźni, w której Henry już wcześniej

przeżywał

przyjęcie, dom był większy, pokoje przypominały sale, a goście przy wysokich sufitach wydawali się dziwnie mali, zewsząd

dudniła muzyka, egzotyczne przebrania, zagraniczni książęta, upiory, kapitanowie słonych wód i tym podobni, no i on — w

swojej masce. Ale oto nadszedł czas na pierwszego gościa, pokoje, a jakże, są, ale normalnej wielkości, muzyka dochodzi gdzieś z kąta, skrzypiąca i nijaka, pojawiają się pierwsi goście, Henry otwiera im drzwi, na jego twarzy za trzydzieści szylingów —

zaskoczenie: czy ci goście są przebrani za zwykłych ludzi, czy to w ogóle nie jest żadne przebranie? Czy uważnie przeczytali

zaproszenia? Henry stał w milczeniu, trzymając przed nimi otwarte drzwi, a oni mijali go, witając skinieniem głowy, jakby w jego masce nie widzieli nic szczególnego, po prostu czyjś mały syn trzyma drzwi, żeby mogli wejść, więc wałą dwojkami i

czwórkami, śmiejąc się i rozmawiając z umiarem, a potem

nalewają sobie drinki, śmiejąc się i rozmawiając już z mniejszym umiarem, mężczyźni w szarych albo czarnych garniturach, z

rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie, kołyszą się podczas rozmowy do siebie i od siebie, kobiety o siwych wysoko upiętych włosach bawią się kieliszkami — wszystkie jednakowe. Mina była na gorze, zamierzała spłynąć na dół i wmieszać się w tłum gości niezauważona, w przebraniu, Henry rozejrzał się, mogła już tu być, ale nie widział żadnej kobiety, która by ją przypominała, ani nawet mężczyzny. Błądził wśród pograżonych w rozmowie grupki gości, było coś w mężczyznach i w kobietach, biodra jednych, ramiona drugich, niski mężczyzna, łysy, pachnący wodą kolońską, z szyją za cienką do kołnierzyka, z węzłem krawata wielkim jak jego pięść, nachylił się nad Henrym, kiedy chłopak mijał go w

poszukiwaniu Miny. — Ty na pewno jesteś Henry — miał cienki zachrypnięty głos — musisz być Henry, poznaję to po twojej

twarzy. — Mężczyzna wyprostował się i roześmiał, rozglądając się dokoła, czy inni słyszeli jego dobry żart. Henry czekał, tak jak w sklepie, gdzie musiał przeczekać żarty innych. Niski łysy

mężczyzna odwrócił się z powrotem do niego i chcąc załagodzić sprawę, już cichszym głosem dodał: — Oczywiście wiedziałem, mój mały, że to ty, poznałem cię po wzroście. Wiesz, kim jestem?

— Henry potrząsnął głową. Mężczyzna ujął w dwa palce skórę łysiny, odsłaniając nie mózg ani nawet nie kość, ale skręcone czarne włosy, które po chwili na powrót zakrył łysiną. —

Poznajesz teraz? Nie? — Mężczyzna był zadowolony, bardzo zadowolony, nachylił się i wyszeptał Henry'emu do ucha: —

Twoja ciotka Lucy — po czym odszedł. Lucy, jedna z tych

przyszywanych ciotek, przyjaciółek Miny, która rano przychodziła na kawę, zapraszając Henry'ego do swojego niewielkiego zespołu teatralnego, i niezrażona odmowami chłopca wytrwale go

przekonywała. Jednak Mina, być może z zazdrości, wyraźnie sobie tego nie życzyła, nie było więc zagrożenia. Ale co z Miną? Którym z tych mężczyzn o szerokich biodrach, którą z tych tęgich kobiet była Mina? A może czekała, aż goście wypiją więcej? Sączył wino przez maskę, nie zapominając o swoim ostatnim pierwszym razie, o sukience moczącej się w wiadrze — co się z nią mogło stać?

Szybko przełknął wino, unikając jego smaku, uczucie pluszowości na zębach nietkniętych

językiem, wypatrując Miny, czekał na Lindę, która powinna pojawić się lada chwila, bez przebrania —

powiedział jej, że nie musi, bo nikt jej tu nie zna, jest tu obca, a być obcym to tyle, co być w przebraniu. Ale czy takie miało być przyjęcie — gdzie wszyscy stoją i żartują, chodząc od jednej grupki do drugiej, nikt nie słucha gramofonu, którego i tak nie słyhać przez ogólny gwar, nikt nie zmienia płyt — czy tak

właśnie wyglądają przyjęcia? Henry sam zmienił więc płytę, sięgał właśnie po obwolutę, nędzny strzęp tektury, kiedy nagle jakaś ręka złapała go za nadgarstek, była to stara ręka i kiedy Henry podniósł

wzrok, zobaczył starego, bardzo starego mężczyznę, z jednym ramieniem opuszczonym i marynarką z lekka wypchniętą na

plecach, z twarzą porośniętą rzadką bródką, z błyszczącym łysym plackiem nad ustami, gdzie nie rosły żadne włosy, otóż ten właśnie mężczyzna ujął Henry'ego za nadgarstek, ścisnął, po czym puścił

rękę chłopca, która opadła bezwładnie. — Daj sobie spokój, i tak nic nie słyhać. — Henry spojrział mężczyźnie w twarz, w geście obronnym uniósł kieliszek wina. — Czy pan jest w przebraniu, czy wszyscy są przebrani? — Mężczyzna wskazał za siebie, nie robił

wrażenia urażonego: — A jak można się przebrać, mając coś takiego? — To może być przecież część przebrania, coś wypchanego... — Reszta słów Henry'ego utonęła w ogólnym

hałasie, a tymczasem mężczyzna odwrócił się do niego tyłem, wołając: — No, dotknij tego, nie bój się, powiedz, czy to jest wypchane, czy nie. — Z takimi sprawami jest jak z piciem wina: trzeba to robić szybko, szybko to zepchnąć do żołądka. Henry wyciągnął rękę i dotknął pleców mężczyzny, po czym cofnął ją, ale znów, kiedy mężczyzna powiedział, że to za mało, żeby stwierdzić, czy wypchał sobie plecy poduszką, czy nie, wyciągnął rękę

ponownie i tym razem obmacał garb palcami — Henry w swojej upiornej uśmiechniętej masce, z włosami sterczącymi we wszystkie strony, z czerwonymi mokrymi od wina ustami, otóż ten mały uśmiechnięty potwór macał palcami garb starego człowieka jednocześnie twardy i elastyczny, aż do chwili kiedy mężczyzna poczuł się usatysfakcjonowany i obróciwszy się, powiedział: —

Czegoś takiego nie da się ukryć — i odszedł w drugi koniec pokoju, gdzie stał samotnie z dziwnym uśmiechem na twarzy, popijając wino. Henry napełnił swój kieliszek i też się napił, wędrując pomiędzy grupkami rozmawiających gości, których

głosy to się wokół niego wznosiły, to znów opadały, zawodzące organy umilkły, poczuł zawrót głowy, musiał się oprzeć o stół, wypatrując Miny i Lindy. Nieskrępowani sobą nawzajem, ci

rozmówcy, ci amatorzy wina, przyjmując, że są w jakimś przebraniu, wiedzieli, kim są, nie mieli problemów z rozmową, nie było problemów z robieniem tego, co chcieli, kiedy nie jesteś sobą, to jednak w dalszym ciągu jesteś kimś, a przecież ktoś musi wziąć na siebie winę, winę, winę — za co? Henry obiema rękami ścisnął teraz krawędź stołu — jaką winę? Co miał na myśli? Więcej wina, więcej wina, co dziesięć sekund nerwowo zbliżał kieliszek do ust, żeby go nie zauważyli, bo był nikiem na przyjęciu dorosłych, jakimś małym chłopcem, który tylko otwierał drzwi gościom, bo nie było wesoło, tak jak to sobie wyobrażał — z tych wszystkich powodów wypił cztery kieliszki wina. W drugim końcu pokoju

jakiś mężczyzna oderwał się od grupki gości, zatoczył do tyłu, z kieliszkiem w rękę, i

runął w wielki stojący za nim fotel, gdzie leżał rozwalony, śmiejąc się ze swoich przyjaciół, śmiejąc się z niego. Słowa Henry'ego wyświetlały się wolno w jego głowie, jak wielkie cyfry na tablicy, i stopniowo do niego docierało, że jeśli puści się stołu, to upadnie. Czy to ten potwór upadł, czy Henry, czyja to wina? Przypomniało mu się teraz, że przebijając się za kogoś i tego kogoś udając, bierzesz na siebie winę za to, co tamten ktoś zrobił albo co robisz... zrobiłeś... ty jako tamta osoba. Duże cyfry były takie powolne... było coś w tym wszystkim... Kiedy

Mina przebierała się do kolacji, to myślała, że kim jest, kiedy robiła to, co robiła? Sukienka w wiadrze jak dziwne morskie stworzenie, stoją na opuszczonym boisku szkolnym i żartują na temat tego, co można zrobić, będąc w przebraniu, a Claire, która wygląda staro i jednocześnie młodo, idzie do nich razem z

oficerem, który wycierał mu nogę rękawikiem, mężczyzna w łóżku, czarne tło za głową Rembrandta i Linda powiedziała tam, że woli, Linda tam, tam jest Linda, Linda w drugim końcu pokoju, tyłem do niego, kaskada jej włosów jak u Alicji w Krainie Czarów, za dużo różnych głosów, żeby mogła usłyszeć jego wołanie, a on nie może puścić stołu. Linda rozmawia z mężczyzną, który osunął się na fotel, z mężczyzną w fotelu, z mężczyzną w fotelu, te wielkie cyfry, mężczyzna w fotelu ciągnie Lindę do siebie na kolana, Linda i Henry, Henry stoi przed lustrem w swoim pokoju, czuje się wolny, robi parę kroków tanecznych jako Linda i Henry, ciągnie Lindę do siebie, trzyma ją mocno, gdzieś za głową, ale ona jest zbyt przestraszona, żeby się ruszyć, zbyt przerażona, żeby

poruszyć językiem, a zresztą kto by ją usłyszał w tym gwarze?

Jedną ręką rozpina mu koszulę, mężczyzna w fotelu, crescendo głosów, dysonans chóru, nikt nie widzi, mężczyzna w fotelu

przyciska mocno jej twarz do siebie, nie pozwala jej się ruszyć, Henry myśli, czyja to wina? Zaczyna puszczać krawędź stołu, ale niepewnie i bardzo wolno, wino podjeżdża mu do gardła, a on idzie do nich przez zatłoczony pokój.

1 Tarok — gra w karty. 22 karty są figurami o specyficznych nazwach (śmierć, diabeł, cesarz i in.) i stanowią tzw. wielkie arkana; pozostałe 56 kart to tzw. małe arkana. Karty tarokowe bywają używane do celów wróżbiarskich.

2 Wydanie *variorum* — opracowane i opatrzone notami różnych autorów wydanie najczęściej klasyki.

3 *Preludium* — autobiograficzny poemat angielskiego poety Williama Wordswortha (1770—1850).

4 Sir John Everett Millais — dziewiętnastowieczny malarz angielski. Celował w malowaniu scen biblijnych i średniowiecznych, zasłynął też jako wybitny portrecista.

5 Havelock Eblis (1859—1939) — angielski psycholog i pisarz. Jego główne dzieło to siedmiotomowe *Studia nad psychologią seksu*. Mimo że pierwszy tom został skonfiskowany pod zarzutem sprośności, dzieło Eblisa wywarło znaczący wpływ na zmianę stosunku do spraw seksu.

1. 6 Jest to aluzja do taroka; Feste — Kłown ze *Snu nocy letniej* W. Szekspira. Patrz przyp.